

Ursula K. Le Guin

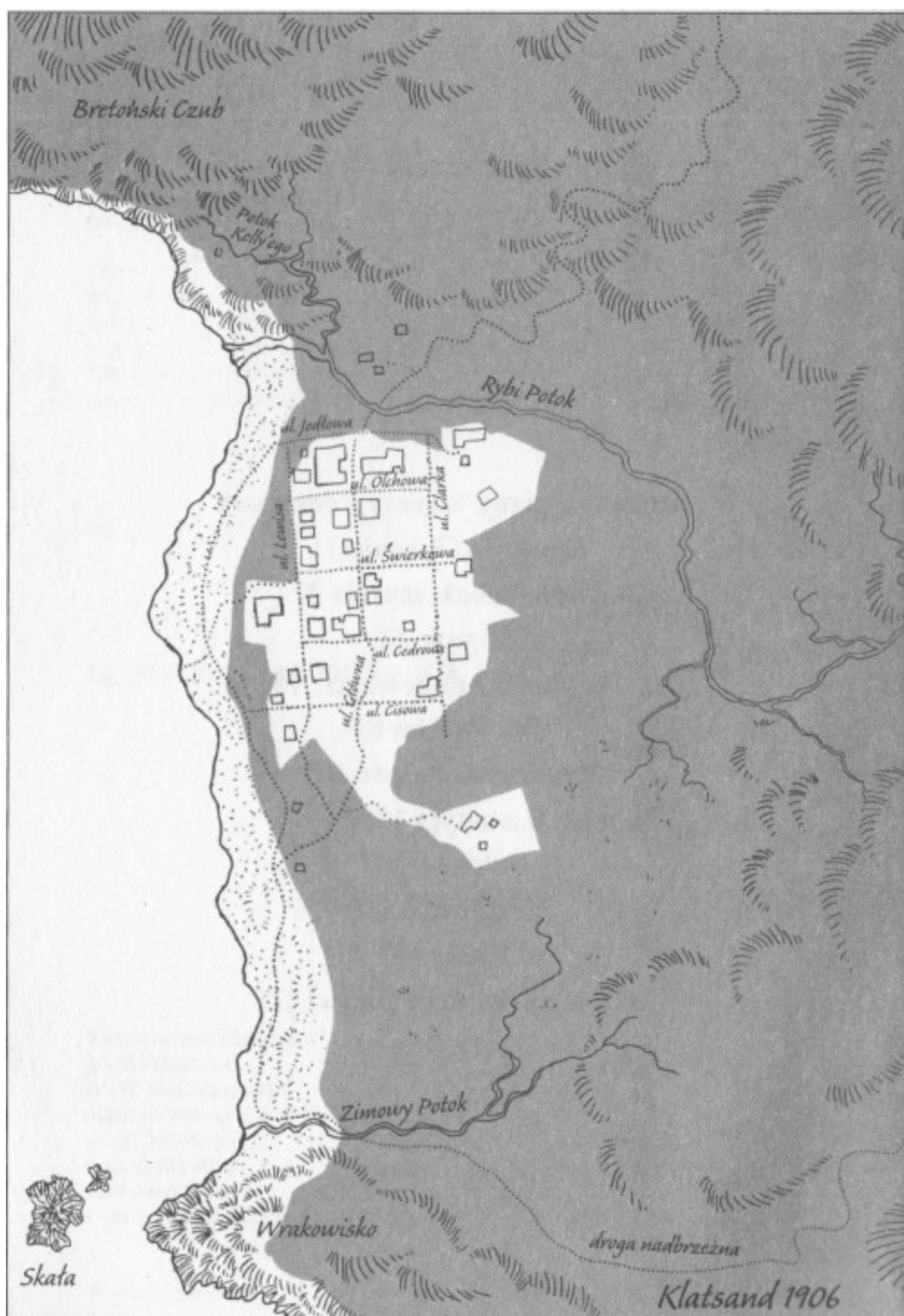
Morski Trakt

Searoad

Przełożyła

Maria Grabska-Ryńska





KOBIETY Z PIANY, KOBIETY Z DESZCZU

Kobiety z piany są wzburzone, unoszą się, toczą - białe, brudnobiałe, żółtawe lub śniade; pędzą szybko wraz z falą, chwieją się, padają i leżą zdruzgotane tam, gdzie porzuciło je morze. Ich nazbyt pulchne ciała, krągłe biodra i trzęsące się pośladki drżą spazmatycznie pod brutalnym naporem wiatru, który bierze je w posiadanie i rozprasza w nicość. Lecz oto nadchodzi kolejna fala i znów tam są - białe, brudnobiałe, żółtawe i śniade, dygoczą tarmoszone przez wiatr i nikną, nim złamie się następna długa fala.

Kobiety z deszczu są rosłe i dumne, noszą głowy w chmurach. Kroczą w tempie sztormowego wiatru, prędko, acz z godnością. To wysmukłe córki wody i światła, które przechadzają się po wydmach na skraju ciemnego lasu, a potem skręcają na północ, w głąb lądu, na wzgórza. Wchodzą w wąwozy, wnikają w rozpadliny gór, stanowiąc i niepowstrzymane. Tak samo światło wnika w mrok, mgła w las, deszcz w ziemię.

BOCIANIE GNIAZDO

Jeśli ktoś chciał znaleźć w Klatsand dobry motel, jechał do Białej Mewy. Od 1964 roku prowadzili go państwo Brinnesi, nie szczędząc trudu i starań. Co parę lat ściany szesnastu krytych gontem chatek malowano starannie na biało. W każdej był kominek, skrzynki z kwiatami przy schodkach, w kuchence lśniący markowy piecyk i lodówka. W ostatnich latach płacono tu sześćdziesiąt dolarów za nocleg w domku z widokiem na ocean, a w sezonie letnim motel nie przyjmował dłuższych rezerwacji, lecz mimo to w każdy weekend było tam pełno. Pani Brinnesi nosiła sukienki, nigdy spodnie, i była religijna. Jeździła na niedzielne msze do kościoła Świętego Józefa w pobliskim miasteczku, brała udział w rekolekcjach i katolickim ruchu kobiet. Potrafiła powiedzieć komuś prosto w oczy, że jeśli chce urządzić głośną popijawę lub w jakikolwiek inny sposób obrażać moralność, może sobie poszukać innego motelu w innej miejscowości. Państwo Brinnesi mieli zasady, ot co. Niestety, syn im się nie udał. W szkole średniej mieli z nim poważne kłopoty, potem uciekł do Portland i został kimś w rodzaju hipisa, nie wiedzieli nawet, gdzie się teraz podziewa. Tim Merion ze stacji benzynowej słyszał od kogoś, że młody Brinnesi ma AIDS i mieszka w San Francisco. Ale państwo Brinnesi byli dobrymi sąsiadami, a Biała Mewa - zajazdem, z którego mieszkańcy Klatsand mogli być dumni.

Z kolei za obwodnicą, w mieszanym świerkowo-olchowym lesie, kryło się Ustronie Hanny. Większość ludzi sądziła, że motel został tak nazwany na cześć jakiejś kobiety, ale od starszych mieszkańców takich jak pan Voder można się było dowiedzieć, że człowiek, który zbudował go dawno temu - jeszcze w czasach wielkiego kryzysu - nazywał się John Hanna, pochodził z Portland, był ekscentrykiem i dorobił się na wyrębie lasów. Klatsand było wówczas zapadłą dziurą z walącym się starym hotelem, sklepem i paroma domami oraz garścią domków letnich rozsianych pomiędzy drogą a plażą. Rolę trasy przelotowej pełniła jeszcze dzisiejsza obwodnica; dopiero później zbudowano drogę szybkiego ruchu wiodącą wzdłuż wybrzeża. John Hanna postawił dla siebie chatę w lesie nad Rybim Potokiem. Zaraz potem wznosił drugą dla swojej żony (było to właściwie coś w rodzaju wieży, dwa pokoje, lecz jeden nad drugim). Twierdził, że żona działa mu na nerwy, kiedy przesiaduje w jego chacie, robiąc na drutach. Potem odwiedził go jakiś znajomek, więc John zbudował chatę i dla niego. A że znajomych miał więcej, skończyło się na siedmiu odrębnych domkach

rozrzucanych na dwóch i pół akra lasu. Spadkobiercy Hanny sprzedali tę parcelę wraz z zabudowaniami. W późniejszym okresie Ustronie Hanny stało się, jak mawiał pan Voder, „zbójceją kryjówką” - chaty wynajmowano grupom mężczyzn, którzy kupowali alkohol na beczki, a kobiety na pęczki i nigdy nie pojawiali się w miasteczku. Następni właściciele wysprzątaali wszystko na błysk i urządzili w lesie półprywatny klub. W latach siedemdziesiątych Ustronie przeszło w kolejne ręce i spadło do rangi trzeciorzędny motelu. Teraz jednak pod okiem państwa Shoto prosperowało całkiem nieźle, głównie na długoterminowych (tygodniowych, a nawet miesięcznych) wynajmach w sezonie letnim, no i zatrzymywali się w nim znacznie milsi ludzie. Pomimo to w atmosferze Ustronia pozostało coś z lekka niesamowitego. Wtulone w gęsty las ciemne chaty o stromych dachach i wyżkach, do których wchodziło się po drabinie, były niewątpliwie czymś zupełnie innym niż zdobna w białe płotki i słoneczne nagietki Biała Mewa, mieszcząca się nieomal w centrum miasta, tuż nad plażą.

W Klatsand był jeszcze jeden motel, Bocianie Gniazdo. W połowie lat osiemdziesiątych, kiedy był już prawie w ruinie, kupili go niejacy Tucketowie. Był to pozbawiony jakiegokolwiek stylu podwójny rząd prefabrykowanych segmentów przegrodzonych co dwa miejscami do parkowania, stojących przy podjeździe w kształcie litery U okrążającym wyleniały trawnik. Na prawo od wjazdu znajdowały się recepcja i mieszkanie właścicieli, a u zachodniego krańca - magazyn, który łączył i zamykał dwa szeregi domków. Cztery segmenty po lewej miały kuchnie i mogły pomieścić pięcioro gości. Trzy po prawej były „dwurodzinne”; w każdej części był pokój z jednym podwójnym albo dwoma pojedynczymi łózkami oraz łazienka. Plastikowe kabiny prysznicowe odpowiadały standardom lat pięćdziesiątych, kiedy zbudowano motel, i obecnie przedstawiały obraz nędzy i rozpacz - poobłamywane, popękane, z brudem wżartym w pęknięcia. Na dodatek ciekły. Kurki chwiały się w gniazdach, a rury wciąż się zatykały. Ciężkie lampowe telewizory stały na topornych stolikach ze sklejki; w mniejszych pokojach trudno się było przecisnąć między odbiornikiem a łóżkiem. Większość odbierała cztery albo pięć kanałów z pakietu minimum (ale żaden całego pakietu). Kapy na łózkach, zasłony i wykładziny śmierdziały papierosami i pleśnią. Wyposażenie kuchenek było równie żałosne: jęczące po nocach lodówki, piecyki z nieczynnymi palnikami, jeden lub dwa cienkie blaszane garnki, odrapana teflonowa patelnia, na której wszystko się przypalało, aluminiowe noże stołowe i widelce z jakiejś charytatywnej zbiórki, jeden tępy nóż kuchenny, niedobre plastikowe talerze i kubki, porysowane, poprzipalane i ściochrane do tego stopnia, że agresywny róż, oranż, szmaragd i żółtozielony zdarły się do jednolitej szarawej bieli. No cóż, sami Tucketowie też wyglądali, jakby lepsze

czasy mieli już za sobą.

Pan Tucket miał na imię Bob, służył ongiś w piechocie morskiej i tylko tyle było o nim wiadomo. Jak długo i kiedy, tego już pani Tucket nie wyjawiała. Rosemarie Tucket była jego drugą żoną. Zazartowała kiedyś, że przy zamążpójściu powinna była przybrać imię Nan (śmiesznie byłoby się przedstawiać: „Nan-Tucket”, prawda?), ale to był oczywiście tylko żart. Ona także była wcześniej zamężna, lecz nic więcej na ten temat nie mówiła. Była miła i grzeczna, o czym ludzie mogli się przekonać, spotykając ją w sklepie. Czasem zamieniała parę słów z Timem przy napełnianiu baku albo z Bigleyem wezwanym do naprawy cieknącej rury. Nie zdołała nawiązać żadnej bliższej przyjaźni, czemu trudno się dziwić, bo motel trzymał ją na krótkiej smyczy. Prawie wszystko musiała robić sama. Nie zatrudniali nikogo do pomocy, zaś pan Tucket był schorowany, a wkrótce po nabyciu Bocianiego Gniazda jeszcze mu się pogorszyło. Nie mógł przesuwac mebli ani wykonywać żadnych cięższych prac. Dostawał zadyszki nawet przy obsłudze topornego starego odkurzacza. Na ogół siedział w pokoiku za recepcją, oglądał transmisje meczów koszykówki, odbierał telefony i wychodził do recepcji, kiedy zjawiał się klient. Motel nie prowadził rezerwacji, bo nigdy nie było tu ruchu, no, może z wyjątkiem długich weekendów przy okazji Memorial Day, Czwartego Lipca i wrześnieowego Święta Pracy, a także Wielkiego Konkursu Zamków z Piasku, organizowanego corocznie w Cannon Beach. Ludzie zwykle skręcali do motelu, widząc znak przy drodze, albo byli tu kierowani z Mewy czy Ustronia, jeśli tamte nie miały wolnych miejsc. Znajdował się przy obwodnicy na południe od miasta. Nie miał widoku na morze, ale tylko kawałek piaszczystej drogi i pas porośniętych rzadką trawą wydm dzieliły go od plaży. To mogłoby być ładne miejsce i z pewnością Tucketowie zamierzali je upiększyć, a w każdym razie taki zamiar miała Rosemarie. Jej mąż wydawał się jednym z tych ludzi, którzy do niczego nie potrafią się rzetelnie przyłożyć, a tylko się złością, kiedy samo nie wychodzi.

Na samym początku Rosemarie napomykała o swoich planach. Miała nadzieję zrobić z Bocianiego Gniazda porządny, miły motel. Zaraz po przyjeździe zasadziła petunie przed budynkiem recepcji. Zawarła dobry kontrakt na wymianę i pranie pościeli i ręczników z pewnym młodym małżeństwem, które właśnie otwarło taką firmę w Astorii. W pierwszym tygodniu od zakupu motelu wyrzuciła wszystkie stare kapy z łóżek (nadawały się tylko na posłanie dla psa albo do owinięcia mebli przy transporcie). Kupiła bladezielone pikowane kapy, które pełniły zarazem rolę ciepłych pledów oraz nakryć na łóżka i były niepalne. Papieros pozostawiał tylko dziurkę o twardych brązowych brzegach. (Kilkoro palących gości w mig to odkryło). W dziesięciu segmentach do nakrycia było sześć królewskich łóżek, dwa podwójne i dwanaście bliźniaczych, toteż zakup kosztował ją więcej, niż się spodziewała. W

efekcie wersalki i rozkładane łóżka musiały się obyć starzyzną. Nabyła jednak dobry zasłonowy materiał, beżowy w bladzielone pasy, i uszyła zasłonki do frontowych segmentów numer 1 i 2 (tych z kuchenkami), ale wszywanie żabek trwało w nieskończoność, były ich setki. Kiedy miała to zrobić? Wieczorem światło było za słabe, żeby szyć. Cały ranek zajmowało jej sprzątanie pokoi, żeby były gotowe na drugą po południu. Poza tym musiała ogarnąć własne mieszkanie, ugotować, pozmywać, a choć odrobinę czasu chciała mieć dla siebie. Czyż nie szukali motelu w małym nadmorskim miasteczku właśnie po to, żeby mieć trochę czasu dla siebie?

Samotność nigdy jej nie doskwierała; przeciwnie, lubiła się nią napawać, jeśli tylko trafiła się okazja. Z góry założyła, że nie będzie się spoufalać z gośćmi. Może było to normą w wymyślnych pensjonatach, w których podawano szampana i sok pomarańczowy i wszyscy zwracali się do siebie po imieniu. Ale zdaniem Rosemarie gość w motelu chce tylko spokojnie odpocząć. Postanowiła więc witać każdego mile, żeby czuł się jak w domu, skasować pieniądze i dać mu klucz, a nazajutrz rano po nim posprzątać. Była w pełni świadoma, co to oznacza. Pomagając przed laty pierwszemu mężowi, który miał warsztat w Tucson, zdążyła się przekonać, co ludzie wyprawiają w cudzych toaletach. Na podłodze mocz i zużyty papier, podrapana farba, wykręcona armatura, nawet powyrywane muszle klozetowe - wyglądało to nieraz jak klatka w zoo zdemolowana przez stado wściekłych małp. Nie oczekiwała, że sprzątanie będzie przyjemne. Czasem zastawała taki gnój, że człowiek miał ochotę wytarzać w nim nos klienta. Inni jednak zostawiali po sobie porządek: używane ręczniki złożone w kostkę, śmieci w kubie, czasem nawet dolarowy banknot pod popielniczką, jak dla kelnerki, ale w końcu liczą się dobre intencje. No i nikt nie urządzał tu dzikich orgii jak w dużych miastach. Większość zjeżdżała z nadmorskiej autostrady, żeby przenocować i rano ruszać dalej. Przeważali samotni mężczyźni, stosunkowo sporo było małżeństw w starszym wieku, rzadziej trafiały się rodziny z małymi dziećmi. Te ostatnie brały segmenty wyposażone w kuchnie, nieraz na parę dni. W czasie gdy dzieci bawiły się na plaży, matki przychodziły do Rosemarie na pogawędkę. Zaczynały zwykle od skarg na lodówkę czy prysznic albo prośby o dodatkowe kubki, ale czasem zaczynały też mówić o swoim życiu i to było ciekawe. W niektórych opowieściach poznawała od razu ból i wyobcowanie, których sama doświadczała; inne z kolei interesowały ją dlatego, że były banalne i przez to swojskie, a ich bohaterki skarżyły się na ten banał pogodnie, bez zdziwienia i bez goryczy. Rozmowy miały na ogół miejsce w recepcji albo przy drzwiach domków. Raz pewna starsza pani, która przyjechała na konferencję kościelną w Seaside i zatrzymała się w Bocianim Gnieździe na cały weekend, zaprosiła Rosemarie na mrożoną herbatę. Rosemarie

czuła, że nie powinna przyjmować zaproszenia, i nie miała ochoty go przyjmować, ale doceniła gest.

Jej własna kuchnia była zagracona, salonik zaś ciemny i śmierdzący skarpetkami Boba, który godzinami oglądał tu telewizję przy spuszczonych żaluzjach. Ponieważ tkwił w mieszkaniu i mógł w każdej chwili wyjść do recepcji, tej jesieni Rosemarie zwykła spędzać sporo czasu w magazynie. Było w nim jedyne wychodzące na zachód okno. Pomiędzy wysokimi czarnymi świerkami widać było porośniętą rzadką szorstką trawą wydmy i - jeśli chciało się usłyszeć - słyszało się szum niewidocznego morza. Kiedy indziej zaszywała się w domku numer 10, którego nie wynajmowali nawet w lecie, bo szwankował w nim zarówno telewizor, jak ogrzewanie. Kładła się na łóżku dalszym od drzwi, przeglądała jakiś katalog wysyłkowy, drzemała albo rozmyślała. Czasem czytała powieści lub czasopisma science fiction z księgarni w Astorii, gdzie można było kupić używane książki w tanich wydaniach. Nigdy nie lubiła tego, co nazywano literaturą kobiecą. Większość powieści fantastycznych też jej się nie podobała - za dużo w nich było wojen, narkotyków i śmierci, całego tego zła znanego na wylot z codziennych gazet. Niektóre jednak opowiadały o przedziwnych, niezemskich miejscach. Nieraz się zastanawiała, skąd pisarze biorą takie pomysły. Rozkładała nietkniętą bladozieloną kapę z powrotem na łóżku i wracała do magazynu, żeby włożyć pranie do suszarki. Patrzyła przez okno na skraj suchego lądu, ostrą trawę gnącą się w podmuchach wiatru od morza, i wyobrażała sobie, że idzie piaszczystą drogą między rzadkimi świerkami, aż wreszcie staje na skraju wydmy i widzi coś zupełnie nowego - nie rozległą brązową plażę, fale przyboju i szary horyzont, lecz inny świat. Może miasto o wieżach z zielonego szkła, szpiczastych jak iglice kościołów. I niezemską istotę, która idzie jej naprzeciw. Mieszkaniec zielonego miasta łśni, jarzy się po brzegach, włosy mu iskrzą, bo nie jest z ciała i krwi jak Ziemianie, lecz z energii. Rosemarie nie ośmiela się ująć go za rękę, chociaż tamten ją wyciąga. Boi się, że dotyk ją zabije, lecz on mówi z uśmiechem: „Nic ci nie grozi”. Rosemarie uśmiecha się do niego, a właściwie do własnych marzeń, i kończy ładować suszarkę.

Napotkany nieczłowiek pozostał w jej pamięci. Był smutny, zatroskany; uświadomiła to sobie innego dnia, kiedy sprzątnęła już dwójkę i szóstkę, włożyła nowe kostki zapachowe do zbiorników toalet i opróżniła worek odkurzacza, żeby Bob mógł go użyć. Otwierała właśnie opakowanie plastikowych kubków łazienkowych. Padało, deszcz bębnił w okno magazynu. Za mokrą szybą rozmyte sylwetki starych świerków poruszały zdrewniałymi ramionami. Grzbiet wydmy zdawał się jaśnieć na tle ciemnoszarej pokrywy chmur. Pomyślała o tym, jak by to było, gdyby jej znajomy wyłonił się zza wydmy i ruszył piaszczystą drogą w

stronę motelu. Potrzebował pomocy. Wygnano go z zielonego miasta, bo pokrewne mu istoty go nie rozumiały. Miał wrogów i był w niebezpieczeństwie - być może dlatego, że potrafił się porozumiewać z ludźmi jej świata.

Poszła do segmentu numer 10 i wytarła z kurzu lampy oraz telewizor, a potem zdjęła kapę, zzuła buty i położyła się na jednym z bliźniaczych łóżek, tym dalszym od drzwi. Mógłby tu zamieszkać, ukryć się w domku numer 10. Tu byłby bezpieczny.

- Możesz wejść - szepnęła.

Bob nigdy nie zaglądał do pomieszczeń dla gości. Sprawa była łatwa. Powiedziała mu, żeby nie wynajmował dziesiątki do czasu, aż naprawią telewizor. Na wszelki wypadek - gdyby wpadło mu do głowy zrobić to samemu - rozstroić odbiornik do reszty. Bob był kiedyś prawdziwą złotą rączką, ale miała wrażenie, że odkąd kupili motel, stracił chęć do jakiegokolwiek pracy. Zamiast wziąć się do wszystkich napraw, które zaplanowali, siedział tylko i oglądał telewizję jak gość, a nie właściciel. A ponieważ roboty naprawdę było dużo, Rosemarie nigdy nie mogła z nią nadążyć. W pewnym sensie było jej na rękę, że deszczową jesienią mieli tak nielicznych gości. Kabina prysznicowa w dwójce, najlepszym segmencie, pękła wzdłuż całej tylnej ścianki. Nastoletnie dzieciaki tych ludzi z Illinois zalały piwem podwójne łóżko w czwórce. Mimo że spryskała cały materac aromatyzowanym detergentem, wciąż śmierdział piwem, tyle tylko że zmieszany z balonową gumą do żucia. Może kiedy wyschnie, zapach się ulotni i następni klienci nic nie zauważą. A przecież chciała, żeby tu było ładnie. Nie wystawnie, lecz przytulnie. Tak, żeby przyjeżdżali tu co roku mili ludzie, małżeństwa z małymi dziećmi. W przeciwieństwie do wielu innych hotelarzy Rosemarie nie przeszkadzały niemowlęta. Lubiła wyciągać ze składziku i odkurzać starą tradycyjną kołyskę. Dzieci sześć- lub siedmioletnie dawały niezłego łupnia odbiornikom telewizyjnym, poza tym niewiele szkód mogły tu narobić, a zresztą czy to miało aż tak wielkie znaczenie?

- Gdybym użył swojej energii... - odezwał się jej przyjaciel z urzekającym uśmiechem, a ona powtórzyła:

- Gdybyś użył swej energii...?

- Wszystkie pokoje byłyby pomalowane na białe. To na początek.

- Oj, nie - zaprotestowała. - Chciałam, żeby każdy był inny. Jedyńka różowa, dwójka brzoskwiniowa, trójka turkusowa, czwórka jasnożółta...

Uśmiechnął się, potrząsając jasnopromienistą głową.

- Czysto białe - powtórzył. - Energetyzująca biel. Ale w każdym inny dywan. I zasłony. W kratkę czerwono-białą, błękitno-białą, żółto-białą...

- Zasłony... - bąknęła żałośnie i serce jej się skurczyło na myśl o wielkiej beli

materiału w beżowo-zielone pasy.

Znów się roześmiał. Śmiał się z niej tak życzliwie, że musiała mu zawtórować.

- W porządku. Ja się tym zajmę - powiedział.

I zajął się, w każdym razie przez pewien czas.

Rosemarie nie straciła głowy. Czytywała w „Sun” lub „Enquirerze” artykuły na temat odwiedzin przybyszów z kosmosu i bardzo je lubiła, ale były tym samym, czym opowiadania science fiction. Jeśli ktoś w nie wierzył, to znaczyło, że powinien się zacząć o siebie martwić. Jej „znajomość” zaliczała się do innego gatunku, była bowiem tylko grą wyobraźni, a poniekąd i zesłanym jej darem. Przede wszystkim to ona była mu potrzebna. W historiach o latających spodkach kosmici zawsze wszystko wiedzieli i przybywali, żeby ratować ludzi. Wymarzony przyjaciel starał się jej pomóc, ale znalazł się w Klatsand, bo sam był w tarapatkach.

Po Bożym Narodzeniu Bob miał atak woreczka żółciowego. Myślał, że to zawał, i omal nie umarł ze strachu. Objawy przypominały jednak poprzedni atak woreczka sprzed dwóch lat, toteż Rosemarie zachowała spokój, chociaż nocna jazda do szpitala - nadbrzeżną szosą w strugach czarnego deszczu, z przerażonym Bobem, który z trudem łapał powietrze - przypominała koszmar. Bob nie chciał słuchać, kiedy starała się go uspokoić; ba, nie słuchał też lekarzy i nawet po powrocie ze szpitala (choć faktycznie ograniczył nieco ilość spożywanych przed telewizorem ziemniaczanych chipsów, chrupków i popcornu) wciąż się upierał, że miał atak serca. Słyszała, jak mówił do gościa w recepcji: „Miałem ostatnio trochę problemów z sercem, muszę teraz bardzo na siebie uważać”. Z niektórymi gośćmi - nie zdołała odgadnąć którymi i dlaczego - rozmawiał jak człowiek; w stosunku do innych był cierpki i niegrzeczny jak stara hiena.

- Co innego było w styczniu, kiedy byłeś chory, a i tak nikt tu nie zajeżdżał. Jeśli jednak masz urzędować w recepcji, m u s i s z się golić - oznajmiła mu w marcu. (Tego właśnie dnia czteroosobowa rodzina z Waszyngtonu - miłe młode małżeństwo z dwójką ślicznych dzieci: - obejrzała numer 3, bąknęła z zażenowaniem „dziękujemy”, po czym wsiadła do samochodu i odjechała na południe).

- Ogołę się, kiedy zechcę, psiakrew - warknął. I przestań wiecznie zrzedzić!

Jak gdyby od tamtej nocy, od upiornej jazdy do szpitala, powiedziała mu choć jedno przykre słówko! Hamowała irytację i współczuła mu nawet wtedy, gdy się demonstracyjnie uskarżał na rzekome „kłopoty z sercem”. Ale teraz ją zranił, odepchnął od siebie, całkiem jakby brutalnie zatrzaskał jej drzwi przed nosem. Porośnięta siwą szczeciną broda Boba budziła w niej odrazę. Chciało jej się płakać z obrzydzenia. Wyszła bez słowa i udała się do

magazynu, choć właściwie nie miała tam nic do roboty. Było późne popołudnie, w całym motelu zajęty był tylko jeden segment. Wczoraj, jeszcze przed południem, wynajął go młody mężczyzna o niezdrowej cerze człowieka żywiącego się głównie czipsami i pospolitej, nie rzucającej się w oczy twarzy w rodzaju tych, których zdjęcia drukują później w gazetach. Sąsiedzi mówią: „Był zawsze taki spokojny”. Okazuje się potem, że facet zabił najpierw żonę, następnie czteroletnie dziecko, potem niemowlę, jego niańkę, a na końcu siebie, zamiast od tego zacząć. Rosemarie nie odczuła lęku, ale wczorajszy gość zrobił na niej dziwne wrażenie. Umieściła go w dziewiątce, gdzie telewizor odbierał tylko dwa kanały, ponieważ ten właśnie pokój wydał jej się dla niego odpowiedni. Poza tym nie mogła zwalczyć w sobie głębokiego poczucia, że lepsze segmenty powinna trzymać dla miłych rodzin, które być może nadjadą później, wieczorem. Młody człowiek zapłacił gotówką i nie zgłaszał żadnych skarg. Po południu starsze małżeństwo z Montany poprosiło o pokój z kuchenką. Dała im jedynekę, wciąż oszczędzając trójkę dla miłej rodziny z dziećmi (która rzeczywiście przyjechała, lecz Bob ją wypłoszył). Małżeństwo z Montany zapłaciło kartą Visa i Rosemarie czuła, że zostawia po sobie porządek. Już po ósmej z chrzęstem żwiru zahamowała na podjeździe furgonetka na kanadyjskich tablicach. Trzasnęły drzwi i nim Rosemarie zdążyła dotrzeć do recepcji, gość już tam był, mówił głośnym, tubalnym, z lekka zapijaczonym głosem:

- Wszystko czego mi trzeba, to kawałek wyra. Padam z nóg!

Bob ulokował go właśnie w trójce (czego Rosemarie by nie zrobiła) i skasował dwadzieścia dolarów więcej za możliwość korzystania z kuchni, której Kanadyjczyk nie potrzebował. Ale on także się nie skarżył, pięć minut później w jego pokoju zgasło światło. Wyjechał jeszcze przed wschodem słońca; Rosemarie słyszała chrzęst opon na podjeździe. Dopiero potem jak co rano rozwrzeszczały się wrony, a z olchowego zagajnika w głębi łądu doleciały świergoty drobniejszego ptactwa.

Wstała wcześniej i sama zjadła śniadanie. Posprzątała trójkę, a potem, gdy przygotowała śniadanie dla Boba i ujrzała, że samochód z Montany też odjeżdża - również jedynekę. Jak się spodziewała, został w niej wzorowy porządek. Kiedy wychodziła z wiadrem, mopem i workiem śmieci, napotkała młodego człowieka z dziewiątki, który szedł jej naprzeciw, nie patrząc na nią.

- Pomyślałem, że zostanę jeszcze na jedną noc - wymamrotał tonem, który mógł się wydać kpiący.

Prawdopodobnie chłopak był po prostu nieśmiały - młodzi ludzie często zachowują się dziwnie, żeby pokryć nieśmiałość - ale mimo to sposób, w jaki spojrział przez nią na wylot, nie był przyjemny. Rosemarie kiwnęła głową i odparła:

- Mąż jest w biurze, proszę mu powiedzieć i zapłacić za kolejną noc. Czy potrzebne panu ręczniki albo cokolwiek?

Minął ją bez słowa. Mocno ją tym zirytował. Oczywiście nikt nie ma obowiązku tryskać serdecznością, ale można przecież zachować maniery, nie traktować innych jak powietrze. Młody człowiek nie musi zachowywać się po chamsku, a niektórzy to robią, odnoszą się do każdej kobiety po trzydziestce jak do własnej matki, kompletnie ją lekceważąc. Dzięki Bogu, nie była jego matką. Co z tego, że jest młody? Pora zacząć dostrzegać istnienie bliźnich. Nie miał dziewczyny, inaczej cóż by tutaj robił, mężczyzna niewiele po dwudziestce bez towarzystwa, najwyraźniej bez żadnych planów. Nie wyrzwał nawet na plażę. Poszedł tylko do miasteczka, zapewne coś zjeść, i wrócił przed dziewiątą. No cóż, takim zachowaniem nie zyska wielu przyjaciół. Wobec niej nie zdobył się nawet na „nie, dziękuję”. Obrócił się i poszedł. Cham.

Stała przy oknie w magazynie, patrząc na piaszczystą drogę niknącą za garbem wydm, lecz tym razem nie była w stanie myśleć o swoim przyjacielu. Musi coś zrobić, żeby mili ludzie obejrzawszy pokoje, nie jechali gdzie indziej. Bo nie tylko Bob był temu winny. Ale w każdy pokój trzeba byłoby włożyć tyle pracy i pieniędzy, a oni nie mogli się już bardziej zadłużać. Wojskowa emerytura Boba szła na jedzenie. Rentę z ubezpieczalni dostaną dopiero za trzy lata. Ma przecież ten materiał w beżowo-zielone pasy, maszynę do szycia i żabki. Może uszyć zasłony. To najprostsza rzecz, którą jest w stanie zrobić i powinna. Materiał był drogi. Ale jakoś nie mogła się przymusić do wszywania setek żabek pasujących do starych niemodnych karniszy. Poszła do dziesiątki, otworzyła swoim kluczem. Mały pokoik był ciemny i duszny. Śmierdziało brudem.

Położy się, tylko na chwileczkę, pomyślała Rosemarie bardzo wyraźnie, jak gdyby słowa same się mówiły, a ona ich słuchała. Zdjęła nową kapę z łóżka, tego dalszego od drzwi. Złożyła ją na drugim łóżku i rzuciła buty. Przez chwilę leżała nieruchomo i nareszcie zaczęła widzieć piaszczystą drogę. Ktoś po niej szedł, zwrócony do niej plecami; słyszała niepokojący dźwięk, którego nie potrafiła nazwać. Ktoś płacze, uświadomiła sobie po chwili. Ten młody z dziesiątki jest u siebie i płacze. Wezglowie jego łóżka dzieliła od niej tylko cienka ścianka. Słyszała, a może raczej czuła, jak trzęsie się posłanie. To nie był stłumiony szloch, lecz głośne, straszne, ochryple jęki bólu, żalu lub strachu.

- Nie zniosę tego, nie mogę tego znieść, co ja mam robić? - powiedziały słowa w głowie Rosemarie.

Wstała, wsunęła buty, drżącymi rękami rozłożyła z powrotem kapę i spiesznie wyszła z pokoju. Stała w bladym, zasnutym mgiełką słońcu na żwirowej ścieżce przed numerami 9

i 10. Z zewnątrz nie było słycać płaczu. Nie było słycać niczego poza cichym szumem wiatru, morza i samochodów na autostradzie, który zawsze był tu obecny. Miała ochotę zastukać do dziewiątki, ale tego nie mogła zrobić. Nie mogła też otworzyć zapasowym kluczem. Nie miała prawa. Bała się. Myślała tak intensywnie, jak tylko mogła, starając się przesłać mu przez drzwi pozytywną energię, przesłać słowa: „Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. Jesteś młody, przeżyjesz. Nie płacz!”

Czuła, że to nie działa. Nie umiała pomóc ani człowiekowi z zielonego miasta, ani jemu.

DŁOŃ, KUBEK, MUSZLA

Ostatni dom przy Morskim Trakcie stał na polu za pasem wydm. Jego północne okna patrzyły na Bretoński Czub, południowe na Wrakowisko, wschodnie na mokradła, zaś z zachodnich, tych na piętrze, ponad wydmami i falami morza można było próbować dojrzeć Chiny. Dom na ogół był bardziej pusty niż pełny, ale nigdy zupełnie cichy.

Rodzina zjeżdżała się i rozpraszała. Ściągali tu, żeby pobyć razem przez weekend, i natychmiast, odruchowo, od siebie uciekali - jedno do ogrodu, drugie do kuchni, trzecie do biblioteczki, dwoje na spacer plażą, jedno na skały.

Piasek, sól i sztormowe wiatry najwyraźniej nie były w stanie zaszkodzić rosnącym za domem krzewom róż, które opłotły parkan i wypuściły długie jesienne pędy, bezładne i piękne w swym żywiołowym chaosie. Możliwe, że róże najlepiej rosną wtedy, gdy się im nie pomaga, co najwyżej zadba o to, by ich nie zadusiły paprocie i bluszcz. Odmiana Bronze Peace rośnie w takich warunkach równie bujnie jak każda dzika róża - o ile oczywiście wytnie się bluszcz. Paskudne zielsko. W dodatku trujące. Ukradkiem wypęłza zewsząd, pełne okropieństw: pajaków, stonóg, tysiąconóg i miliononóg, szczurów, węży, odłamków szkła, zardzewiałych noży, psich odchodów i oczu wylupionych lalkom. Muszę go wykarczować aż do płotu, pomyślała Rita, ciągnąc za giętką odnogę, która zaprowadziła ją do opatulonego liśćmi głównego pędu, grubego jak wąż strażacki. Muszę tu częściej zaglądać i nie dopuścić do tego, żeby bluszcz piął się po świerkach. Choćby ten: zabije drzewo w ciągu roku. Szarpnęła. Bluszcz był oporny jak stalowa lina. Zawróciła w stronę ganku, wołając:

- Czy mamy jakiś duży sekator?

- Z tyłu na ścianie wisi ten do drzewek - odkrzyknęła Mag z kuchni. - W każdym razie p o w i n i e n tam wisieć.

*

Mąka też powinna być w pojemniku, lecz okazał się pusty. Albo zużyła ją w sierpniu i zapomniała, albo Phil i chłopcy robili naleśniki, kiedy byli tu w zeszłym miesiącu. Gdzie jest bloczek? Musi zapisać, że trzeba kupić mąkę, zanim wybierze się do Hambletona. Też nigdzie nie można go było znaleźć. Powinna kupić bloczek, żeby mieć gdzie zapisać: „kupić bloczek”. W szufladzie z rupieciami znalazła przezroczyste zielone pióro kulkowe z wytłoczoną reklamą: HANK NARZĘDZIA I CZĘŚCI SAMOCHODOWE. Na miękkim

papierowym kuchennym ręczniku zapisała: „mąka, fasola, sok pomarańczowy, płatki, jogurt, bloczek”, wycierając nadmiar tuszu w róg arkusika. Wszystko toczy się kolidując, a przynajmniej spiralnie. Od poprzedniego października minęła ledwie chwila, w każdym razie znacznie mniej niż dwanaście miesięcy, i oto znów jest w tej samej kuchni, depta po własnych śladach. To nie *déjà vu*, tylko *déjà vécu*, jak wszystkie wcześniejsze październiki, a mimo to w jej śladach stoją dziś inne stopy. Przede wszystkim - pół numeru większe niż w zeszłym roku. Ciekawe, czy będą się rozbijać bez końca, aż zostanie skazana na męskie trampki rozmiar 12? Stopy matki nie robiły jej takich niespodzianek. Zawsze nosiła siódmkę, nosi siódmkę i będzie nosić siódmkę. Z drugiej strony zawsze nosiła i nosi ten sam rodzaj butów, kształtne czółenka na całowych obcasach albo mokasyny. Nie eksperymentuje z sabotami, japońskimi adidasami ani najmodniejszymi szpilekami, których projektant nie przewidział miejsca na paluch. To nawyk kobiety, która musiała się ubierać w pewien określony sposób - jako żona dziekana, lecz także jako córka swego ojca, małomiasteczkowa księżniczka, która nie szuka, tylko wie.

Pchnęła zabezpieczone siatką drzwi i wyjrzała na taras.

- Wybieram się do sklepu, potrzebujesz czegoś? - zawołała do matki, która wojowała z bluszczem w ogrodzie.

- Raczej nie. Idziesz pieszo?

- Tak.

*

To jednak prawda, pomyślała Rita, trzeba się przemóc, żeby powiedzieć proste „tak”, powstrzymać się przed jego zmiękczeniem, zabarwianiem... *Raczej tak, chyba tak, tak sądzę...* Pozbawione ozdób „tak” było lakoniczne niemal do grubiaństwa, trąciło testosteronem. Gdyby ona sama powiedziała „nie”, zamiast „raczej nie”, zabrzmiałoby to obcesowo albo świadczyło, że jest wzburzona. Mag z pewnością by to wychwyciła, starała się dowiedzieć, dlaczego matka nie mówi matczynym językiem.

*

- Idę do sklepu - rzuciła Mag, mijając Phila, który klęczał przy biblioteczce w ciasnej ciemnej sieni, i wyszła. Cztery drewniane schodki ganku, potem ścieżką do furtki, odciążenie zasuwki i zamknięcie jej z powrotem. Potem skręt w Morski Trakt wiodący do miasteczka. Znajome ruchy sprawiły jej przyjemność. Szła poboczem od strony wydm, zerkając między ich grzbietami na ocean, grzywiaste fale, których widok odbierał człowiekowi mowę. Milczała. Porośnięte rzadką trawą wydmy odsłaniały skrawki plaży, po której włościły się jej dzieci.

Greta doszła do samego końca plaży, zamkniętej brunatną bazaltową ostrogą naprzeciw Wrakowiska. Znała ścieżkę pod górę, której nikt inny nie używał, wiodącą stromiznami i półkami cypla. Wspięła się, usiadła na smaganej wiatrem trawie, patrząc na fale rozbijające się o Wrakowisko i rafę, którą tato nazywał Dziadkiem do Orzechów, i w dal na widnokrąg. Mogła iść jeszcze dalej, to znaczy teoretycznie mogła, ale teraz człowiek już nigdy nie był sam. W trawie leżała puszka po piwie, do palika nad szczytem urwiska przywiązany był kawałek pomarańczowej plastikowej taśmy, helikopter straży z łoskotem patrolował wybrzeże do Bretońskiego Czuba na północy i znów z powrotem. Wszyscy okradali wszystkich z samotności. Chciała się zresetować, zrzucić nagromadzony osad, pozbyć się z myśli Davida, egzaminów semestralnych, babci, tego, co ludzie pomyślą, i samych ludzi. Musiała od tego uciec. Uciec jak najdalej. Dawniej było to łatwe, łatwo było odejść, trudniej wrócić, ale teraz rzadko udawało jej się naprawdę uwolnić. Jaki sens ma wpatrywanie się w ocean, kiedy równocześnie myśli o głupim Davidzie i na co jest ten palik, i dlaczego babcia tak dziwnie patrzy na moje paznokcie? Co się ze mną dzieje? Czy zostanę już taka na resztę życia? Nie będę widzieć oceanu, tylko głupią puszkę po piwie?

Wstała wściekła, cofnęła się, przymierzyła, kopnęła puszkę płaskim szybkim łukiem do kłębiącego się pod skałą morza, żeby nie było jej widać. Potem wdrapała się na wierzchołek, zaparła kolanami w wilgotnych paprociach i wyrwała palik wraz z pomarańczową taśmą. Cisnęła go na południe; wpadł między paprocie, które go pochłonęły. Wstała, otrzepała dłonie i roztarła miejsca, gdzie szorstkie drewno zadrasnęło skórę. Wiatr był zimny, czuła jego chłód na zębach wyszczerzonych ze złości jak u rozwścieczonej małpy. Na wysokości oczu miała szarą taflę morza, które natychmiast ją objęło, sprowadziło do swego poziomu. Tam nie było tłoku, nie było śmieci. Kiedy posiadała opuszek kciuka i zęby nareszcie się rozgrzały, pomyślała: moja dusza jest szeroka na dziesięć tysięcy mil i niezmiernie, niezgłębialnie głęboka. Jest wielka jak morze; większa, bo je w sobie mieści. Nie sposób jej wtłoczyć do puszki po piwie ani pod paznokieć, rozparcelować i wziąć w posiadanie. Utoniesz w niej i nawet tego nie zauważysz.

*

Ależ jestem stara! Przyjechałam nad morze i nawet na nie nie spojrzałam! To straszne. Pognałam prosto do ogrodu, jakby wycinanie bluszczu było najważniejsze. Jakby morze stało się domeną dzieci.

A żeby potwierdzić swoje prawa do oceanu, zaniósła wycięte pędy za dom i upchnąwszy je do kubła, wyprostowała plecy, spoglądając na wydmy, za którymi szumiał. Amory stwierdziłby, że nie ucieknie. Po chwili namysłu ruszyła dalej do furki, przeszła na

drugą stroną zawianą piaskiem drogi i dziesięć kroków dalej, w zagłębieniu pomiędzy trawiastymi grzywkami wydm, zobaczyła rozlewający się Pacyfik. Tu jesteś, stary szary potworze, pomyślała. Ty nie odejdziesz, ale ja tak. Brązowe mokasyny, odrobinę przyduże, już były pełne piasku. Zejść na plażę, gdzie wiatr zechce ją porwać? Rozglądając się z wahaniem, dojrzała czyjąś głowę wyłaniającą się spośród wysokich traw. Mag wraca ze sklepu. Zbliżająca się wolno czarna rozchybotana głowa, jak muł z wysiłkiem drepzący pod górkę do zarośniętego bylicą rancza... Stary muł Bill, kiedy to było? Mulica Mag drepcze uparcie, w milczeniu.

Rita zeszła na drogę i stanęła najpierw na jednej nodze, a potem na drugiej, żeby wytrzeć piasek z butów. Uporawszy się z tym, ruszyła na spotkanie córki.

- Co słysząc u Hambletonów?

- Zdrowi i żwawi - odparła Mag. - Kiedy przyjeżdża ta, jak jej tam?

- Około południa. - Westchnęła. - Wstałam o piątej. Chyba powinnam się zdrzemnąć przed jej przybyciem. Mam nadzieję, że nie spędzi tu całego dnia.

- Kim ona właściwie jest?

- No kiedy właśnie...

- Chodzi mi o to, kim ona jest z zawodu?

Rita zrezygnowała z bezowocnych prób przypomnienia sobie nazwiska.

- Pomocnicą biografą, jak sądzę. To znaczy zbiera materiały dla tego akademika, który pisze książkę o Amorym. Zapewne ktoś zwrócił mu uwagę, że będzie to wyglądać dziwnie, jeśli skończy biografię, nie zamieniwszy ani słowa z wdową po jej bohaterze. Ale oczywiście jego interesują tylko idee Amory'ego. W dzisiejszych czasach naukowcy ograniczają się do teorii. Myśl, że za każdą z nich stoi realny człowiek, śmiertelnie ich nudzi. Naturalnie sam profesor nie zniżyłby się do wizyty w kurniku, przysłał więc tę dziewczynę.

- Żebyś go nie pozwała.

- Naprawdę tak myślisz?

- Oczywiście, że tak. Kooptacja. W posłowniu podziękuje ci za bezcenną pomoc, a po tobie jeszcze żonie i maszynistce.

- Co to było, ta straszna rzecz, którą mi mówiłaś o żonie Tolstoja?

- Przepisała mu ręcznie „Wojnę i pokój” sześć razy. Chociaż z drugiej strony, to chyba lepsze niż sześciokrotne przepisanie większości innych książek.

- Shepard.

- Co?

- Ta dziewczyna. Nazywa się Shepard, imienia nie pamiętam.

- Za której bezcenną pomoc profesor Jakmutam z wdzięcznością... nie, to tylko studentka, magistrantka, prawda? Będzie miała szczęście, jeśli w ogóle o niej wspomni. Mężczyźni są mistrzami w splataniu dla siebie zabezpieczających sieci. W każdym węźle tkwi jakaś kobieta.

Ta kąśliwa uwaga mogła w równym stopniu dotyczyć Amory'ego Inmana, toteż Rita nie odpowiedziała. Pomogła córce rozpakować kupioną mąkę, płatki kukurydziane, jogurt, herbatniki, banany, winogrona, sałatę, awokado, pomidory i cukier (o bloczku Mag zapomniała). Potem mruknęła:

- To ja idę. Zawołaj mnie, kiedy przyjedzie ta dziewczyna. - Wyszła do sieni i ominąwszy zięcia siedzącego na podłodze pod biblioteczką, wspięła się na schody.

Piętro domu było proste, praktyczne i białe. Mały prostokątny hol, w środku łazienka, w każdym rogu sypialnia. Mag i Phil od południowego zachodu, babcia od północnego zachodu, Greta - północnego wschodu, chłopcy - południowego wschodu. Starsi mogli się rozkoszować światłem wieczoru, młodzi brzaskiem. Wyjrzała na wydmy. Podchodził do nich przypyływ, wiatr cesał grzywy białych koni. Położyła się i spojrzała z przyjemnością na wąskie, malowane na białą deski sufitu, podświetlone od dołu niepodobnym do innych blaskiem odbitym od powierzchni morza. Nie miała ochoty spać, ale piekły ją oczy i nie wzięła ze sobą na górę książki. Z dołu dobiegł dziewczęcy głos, właściwie dwa, przenikliwe, lecz miękkie - jak głos oceanu.

*

- Gdzie babcia?

- Na górze.

- Przyszła ta kobieta.

Mag weszła do saloniku, dzierżąc ścierkę do naczyń, w którą właśnie wycierała ręce - flagę sygnałową: „Jestem zajęta w kuchni, nie zwracajcie mi głowy wywiadami!”. Oczywiście Greta zostawiła tę dziewczynę na ganku.

- Może pani wejdzie?

- Jestem Susan Shepard.

- Mag Rilow. A to jest Greta. Gretka, skocz na górę i powiedz babci, że pani przyszła, dobrze? - Obróciła się do przybyłej. - Może wołałaby pani zostać na tarasie? Jest tak ciepło. Napije się pani kawy? Piwa? Czegokolwiek?

- Bardzo chętnie. Kawa... hm...

- To może herbaty?

- Tak, bardzo dziękuję.

- Ziołowej?

Każdy, kto w Faldzie Czasowej Klamath rościł sobie prawa do intelektu, pił ziołową herbatę. Miętowo-rumiankowa będzie najlepsza. Mag usadziła dziewczynę w wiklinowym fotelu na tarasie i wróciła do środka, omijając Phila, który nadal czytał na podłodze w sieni.

- Weźże tę książkę do światła - powiedziała, a on odparł z uśmiechem:

- Tak, zaraz - i przewrócił kartkę.

- Babcia za chwilę zejdzie - obwieściła Greta, schodząc ze schodów.

- Idź, porozmawiaj z tą panią. Ona też studiuje.

- Co?

- Nie wiem. Porozmawiaj, to się dowiesz.

Greta prychnęła ze złością i zawróciła.

- Nie wygodniej byłoby ci czytać przy świetle? - sarknęła, ostrożnie okrążając ojca.

- Tak, zaraz - odrzekł pogodnie i przewrócił kolejną kartkę.

Greta wyszła na taras i powiedziała:

- Podobno studiujesz na uniwerku.

W tejże samej chwili przybyła zagadnęła:

- Studiujesz, prawda?

Greta kiwnęła głową.

- Robię magisterium z pedagogiki - podjęła dziewczyna. - Zbieram materiały dla profesora Nabe'a do jego książki. To naprawdę bardzo emocjonujące, że przeprowadzę wywiad z twoją babcią.

- Czy ja wiem? Mnie się wydaje dziwaczne.

- Uniwersytet jako taki?

- Nie.

Na chwilę zapadła cisza, którą zaraz wypełnił szum morza.

- Jesteś na pierwszym roku?

- Pierwszym. - Greta cofnęła się o krok w stronę schodków.

- I co dalej? Pedagogika?

- O, nie. Broń Boże.

- Wybacz. Pewnie wielu ludzi tak zakłada, skoro twój dziadek zyskał sławę w tej dziedzinie. Twoja matka też jest pedagogiem, prawda?

- W każdym razie uczy. - Greta dotarła do skraju tarasu i postawiła nogę na pierwszym stopniu. Tędy biegła teraz najkrótsza droga ucieczki. Wcześniej zamierzała się schronić w swoim pokoju, ale zaskoczyło ją pojawienie się tej dziewczyny.

W otwartych drzwiach stanęła babcia, znużona i pełna rezerwy.

- Dzień dobry. Jestem Rita Inman - powiedziała swoim politycznie poprawnym tonem z politycznie poprawnym uśmiechem.

Sue Magistrantka rozpromieniła się i omal nie podskoczyła z emocji. Greta wróciła na taras, ominęła je i weszła do domu.

Tato wciąż siedział na podłodze w ciemnej sieni i czytał. Wyjęła z kontaktu sznur biurkowej lampy stojącej na stoliku przy sofie, zaniósła ją do sieni, postawiła na biblioteczkę i przekonała się, że sznur nie sięgnie do kontaktu. Ocenivszy krytycznie odległość, postawiła ją na podłodze o metr od ojca i wetknęła wtyczkę.

Jaskrawe światło zalało strony książki.

- O, cudnie. Dzięki. - Uśmiechnął się i przewrócił kartkę.

Greta poszła na górę do swojego pokoju. Ściany i sufit były białe, kapy na dwóch wąskich bliźniaczych łóżkach - niebieskie. Na drzwiach szafy przypięty był obrazek błękitnych gór, który namalowała na zajęciach plastycznych w dziewiątej klasie, i zmierzwszy go długim uważnym spojrzeniem raz jeszcze przyznała, że jest piękny. To był jedyny dobry obraz, jaki kiedykolwiek udało jej się stworzyć, i do dziś nie mogła się mu nadziwić. Był darem, który ofiarowała samej sobie, niespodziewanym i niezasłużonym. Otworzyła plecak, rzucony na łóżko po przyjeździe, wyjęła z niego podręcznik do geologii oraz marker, położyła się na drugim łóżku i zaczęła powtarzać materiał do egzaminu śródsesemestralnego. Dotarłszy do końca rozdziału o subdukcji, podniosła głowę, żeby jeszcze raz spojrzeć na swoje błękitne góry, i pomyślała: ciekawe, jak by to było? W każdym razie takimi słowami można by streścić uczucie zaciekawienia, radości i podziwu, które budziły w niej wizje małych postaci rozproszonych po olbrzymim polu lawowym, badawczych wypraw, równin ciągnących się po horyzont, pustynnych płaskowyżów okrywających sprasowane jak bibułka skamieliny, moren, długich żył rud i kryształów uspionych w mroku pod ziemią. Skupiona, przejęta, obróciła stronicę i zaczęła następny rozdział.

*

Sue Shepard uruchomiła swój przenośny komputer. Buzię miała pyzată, różową, okrągłe oczka; Ricie nie bez trudu przyszło świadome zaklasyfikowanie jej jako intelektualistki. To pojęcie nijak nie chciało się związać z różową cerą, wysokim głosem i pewną dziewczęcą trzpiotowatością, choć wpasowałyby się gładko w różową twarz, wysoki głos i chłopięcą niezdarność młodego mężczyzny, gdyby przyszedł tu mężczyzna. Rita zdawała sobie sprawę, że wciąż utożsamia umysłowość z męskością, wskutek czego - nawet po tylu latach, po wszystkich osiągnięciach Mag - intelektualistki widzi tylko w kobietach

naśladowujących mężczyzn. Możliwe zresztą, że Sue Shepard maskuje swój intelekt, czego Mag nigdy nie robiła. Żargon wydziału edukacji sam w sobie był tu bardzo skuteczną maską. Dziewczyna wyglądała na bystrą, miała żywy umysł, a profesor Jakmutam mógł się irytować, czując na plecach oddech kogoś tak młodego i tak inteligentnego. Pewnie wolał studentki płoche i przymilne, jak je określał Amory. Ale przymilna Sue już odłożyła na bok cały arkusz pytań profesora, kwitując je jako stratę czasu, i najwyraźniej z własnej inicjatywy z dużym zaciekawieniem wypytywała Ritę o jej dzieciństwo.

- No cóż... Kiedy się urodziłam, mieszkaliśmy na ranchu w okolicach Prineville, w górach. Pustynia bylicowa, rozumie pani. Ale z tamtych czasów nie pamiętam wiele. Ojciec był tam bodajże buchalterem. To był bardzo duży majątek, olbrzymi, sięgał chyba aż do John Day River. Kiedy miałam dziewięć lat, ojciec wziął w zarząd tartak w Ultimate w Górach Nadbrzeżnych. Nie ma już po nim śladu. W tej chwili do Ultimate nie dochodzi nawet żwirowa droga. Połowa stanu tak wygląda. To w ogóle jest przedziwne. Przyjeżdżają tu ludzie ze wschodnich stanów i myślą, że mają przed sobą nietkniętą dziką przyrodę, gdy w rzeczywistości deptają po indiańskich cmentarzyskach zaoranych przez farmerów, a dziś zarosniętych samosiejkami. Po całych miasteczkach, których nikt już nie pamięta. Drzewa i chwasty nie czekają ani chwili, odrastają błyskawicznie. Jak bluszcz. Skąd pani pochodzi?

- Z Seattle - odpowiedziała Sue mile, ale tonem nie pozostawiającym wątpliwości, kto z kim robi wywiad.

- Bardzo mnie to cieszy. Coraz trudniej jest mi się porozumieć z ludźmi ze wschodu.

Sue zaśmiała się, chociaż chyba nie zrozumiała.

- Zatem do szkoły chodziła pani w Ultimate? - podjęła.

- Tak, do podstawówki. Potem zamieszkałam u ciotki Josie w Portland i tam skończyłam stare liceum Lincolna. Najbliższa Ultimate szkoła średnia oddalona była o trzydzieści mil, jechało się tam po leśnych drogach, nadających się co najwyżej do zwózki drewna, a zresztą zdaniem ojca nie była dość dobra. Bał się, że wyrosnę na prostaczkę albo wyjdę za prostaka...

Palce Sue przebiegły po klawiaturze maleńkiego komputera, a Rita pomyślała: ale jakie zdanie miała na ten temat mama? Czy naprawdę chciała wysłać trzynastoletnią córkę z domu, żeby zamieszkała w mieście z jej szwagierką?

Pytanie to otworzyło przed nią niezbadany dotąd obszar, któremu przyjrzała się zafascynowana. Wiem, czego chciał ojciec, ale dlaczego nie poznałam zdania matki? Czy płakała? Nie, oczywiście że nie. Czy ja płakałam? Chyba nie. Nie pamiętam nawet, czy w ogóle z nią o tym rozmawiałam. Tamtego lata szyliśmy dla mnie sukienki; to wtedy nauczyła

mnie robić wykroje. A potem po raz pierwszy pojechałyśmy do Portland. Zatrzymałyśmy się w starym hotelu Multnomah. Mama kupiła mi mocne buciki do szkoły i drugie, jedwabne pantofelki w kolorze ostryg - do elegancji. Takie z kieliszkowym obcasem i jednym paskiem; szkoda, że już dziś ich nie robią. Już wtedy nosiłam ten sam rozmiar co ona. Zjadłyśmy lunch w tej restauracji, gdzie podawali wodę w kryształowych kieliszkach. Byłyśmy tam we dwie... a gdzie wtedy był ojciec? Pomimo to nigdy się nie zastanowiłam, co ona o tym sądzi. Nigdy jej o to nie spytałam. Podobnie nie wiem, co naprawdę myśli Mag. Jest jak skała, a te się nie zwierzają. Patrzcie na jej usta, szczelina w skale, zupełnie jak usta mojej matki. Dlaczego Mag została nauczycielką? Mówi i mówi, całymi dniami musi gadać, gdy w rzeczywistości w ogóle niechętnie się odzywa. Nie jest wprawdzie takim mrukiem jak Gretka, ale też Amory by na to nie pozwolił. Dlaczego w ogóle nie rozmawiałam z matką? Ona była twarda. Jak skała. Spodobało mi się w Portland, a ona została w Ultimate...

- Tak, bardzo - odpowiedziała na pytanie zadane przez Sue Shepard. - Lata dwudzieste były bardzo przyjazne nastolatkom. Rozpieszczano nas, nie jak tę dzisiejszą biedną młodzież. W dzisiejszych czasach niełatwo jest mieć trzynaście lub czternaście lat, prawda? My chodziłyśmy na lekcje tańca, ich straszy się AIDS i bombą atomową. Moja wnuczka wydaje mi się dwukrotnie starsza ode mnie, kiedy byłam w jej wieku. Pod pewnymi względami, rzecz jasna. Pod innymi wciąż jest zdumiewająco dziecinna. To wszystko zresztą jest bardzo złożone. Proszę sobie przypomnieć Julię Capuletti. Młodość nigdy nie jest prosta, prawda? Ale w szkole średniej żyło mi się bardzo miło i niewinnie, na studiach zresztą też. Aż do kryzysu. W trzydziestym drugim, kiedy byłam na drugim roku, zamknięto tartak. Prawdę mówiąc, moje pokolenie wciąż dobrze się bawiło. Ale dla moich rodziców i braci to był cios. Z tartaku zwolniono wszystkich, do ostatniego człowieka, przyjechali szukać pracy w Portland. Wszyscy zjeżdżali się tam szukać pracy. Zrezygnowałam ze studiów, ponieważ w czasie wakacji pracowałam w rachubie uniwersytetu i zaproponowali mi pełny etat. Wzięłam go, bo nikt inny w całej rodzinie nie zarabiał. Dopiero jakiś czas później matka zatrudniła się na nocną zmianę w piekarni. Dla mężczyzn tamten okres był nie do zniesienia. Mojego ojca wpędził do grobu. Dzień w dzień szukał jakiegokolwiek pracy, bez skutku; tymczasem ja wykonywałam pracę, do której on był kwalifikowany, tylko rzecz jasna robiłam to gorzej i za skandalicznie niską pensję. Sześćdziesiąt dolarów miesięcznie, wyobraża to sobie pani?

- Tygodniowo?

- Miesięcznie. Ale przynajmniej były. Mężczyzn z pokolenia mego ojca wychowano w poczuciu odpowiedzialności za innych. To do nich należało utrzymanie rodzin. Zamiar sam w sobie szczytny, ale nie dopuszczał fiaska. Nie wolno im było zawieść, zdać się na innych,

choć przecież w życiu każdy na kimś polega. Moim zdaniem to skrajny brak realizmu. Taki... jak wy to dziś nazywacie? Podwójny przekaz?

- Podwójny przekaz - potaknęła natychmiast Sue, czujna jak terier, niemal bezgłośnie pisząc na klawiaturze laptopa, podczas gdy dyskretna taśma dyktafonu rejestrowała wspomnienia i dygresje starszej pani.

Rita westchnęła.

- Jestem pewna, że dlatego zmarł tak młodo - powiedziała. - Miał zaledwie pięćdziesiąt lat.

Matka nie poszła w ślad za mężem, nie umarła młodo, choć jej starszy syn wyjechał do Teksasu i (przynajmniej z jej punktu widzenia) został żywcem pożarty przez zazdrosną żonę, a młodszy chlał whisky, chociaż był cukrzykiem, i wykończył się wkrótce po trzydziestce. Mężczyźni są tacy nieodporni... Co trzymało przy życiu Margaret Jamison Holz? Niezależność? Przecież została wychowana tak, by być zależną! Poza tym nikt nie zdoła wyżyć na samej niezależności; ci, którzy próbują, kończą wożąc dobytek wózkami z supermarketu i śpiąc po bramach. Matka się tego ustrzegła. Siadywała tu, na tym tarasie, patrząc na piaski - drobna, twarda stara kobieta. Nie miała oczywiście żadnej emerytury i tylko nędzne grosze z ubezpieczenia, zgodziła się więc, by zięć opłacał jej dwupokojowe mieszkanie w Portland, ale była niezależna do samego końca. Odwiedzała ich w uniwersyteckim kampusie raz lub dwa razy do roku, no i każdego lata spędzała miesiąc tutaj. Zajmowała ten pokój, który teraz ma Greta. Jakież to wszystko dziwne, jak bardzo się zmieniło! Ostatnio Rita budziła się w środku nocy lub tuż przed brzaskiem i leżała w łóżku rozmyślając, nie z trwogą, lecz swoistym ożywym przestraszaniem: jakież to dziwne, jakie to wszystko jest dziwne!

- Kiedy wróciła pani na studia? - zapytała Sue Shepard.

- W trzydziestym piątym - odparła, przyrzekając sobie, że przestanie pleść trzy po trzy i zacznie trzymać się tematu.

- I poznała pani doktora Inmana, uczestnicząc w jego zajęciach?

- Nie. Nigdy nie studiowałam pedagogiki.

- O. - Sue Shepard była wyraźnie zbita z tropu.

- Poznałam go w rachubie. Pracowałam tam nadal na pół etatu, żeby opłacić studia. Przyszedł, bo nie wyplacono mu pensji za trzy miesiące. Ludziom zdarzało się wówczas mylić, podobnie jak dziś komputerom. Ustalenie, jakim cudem zgubiono go z listy plac wydziału, zajęło nam sporo czasu. Czy powiedział komuś, że u niego studiowałam i tak się poznaliśmy? - Sue Shepard nie zamierzała tego przyznać, była dyskretna. - Zabawne. To była

inna kobieta, z którą przez jakiś czas był związany. Musiało mu się popłatać. Wszystkie studentki się w nim kochały. Był niezmiernie atrakcyjny. W duchu zawsze porównywałam go do Charles'a Boyer, tyle że bez francuskiego akcentu.

*

Przechodząc przez sień i po raz kolejny omijając męża, Mag słyszała, jak śmieją się na tarasie. Stojąca na podłodze lampa biurkowa świeciła Philowi w oczy, za to książkę miał w cieniu.

- Phil.

- Tak?

- Idź z tą książką do saloniku.

Uśmiechnął się, nie przerywając czytania.

- Znalazłem taką...

- Jest tu ta dziewczyna, która przeprowadza wywiad z mamą. Zje z nami lunch. Siedzisz w przejściu. Od dwóch godzin wszyscy cię muszą omijać. I czytasz po ciemku. Dwa metry dalej masz normalne dzienne oświetlenie. Wstań i przenieś się do saloniku.

- Będę przeszkadzał.

- Tutaj przeszkadzasz! Salonik jest pusty. Czy ty naprawdę... - Pomaszrowała dalej, wściekła, niesiona falą nienawiści i współczucia, które wyzwoliły w niej własne słowa, choć nie powiedziała wszystkiego, co miała na języku. W milczeniu skręciła na klatkę schodową.

Weszła do południowo-zachodniej sypialni i zaczęła szukać porządnej koszuli w zapchanej szafie. Bawełniany sweter, w którym Phil przyjechał z Portland, był za ciepły na łagodną nadmorską jesień. Przeglądając półki, odruchowo wyjmowała i sortowała letnią odzież, swoją, a potem Phila. Na samym dnie znalazła sztywne od farby, wystrzępione na kolanach dżinsy i kraciastą koszulę bez czterech guzików, wepchnięte do szafy, choć były brudne. Ubrania jej ojca nawet tu, w letnim domu, zawsze były nieskazitelne, pachniały czystością, przyzwoitością, cnotą. Zamachnęła się i cisnęła koszulę do kosza na śmieci. Trafiała, choć część pozostała na zewnątrz, krótki rękaw sterczał żałośnie, jakby tonął i wzywał pomocy. Czy można tonąć przez dwadzieścia pięć lat...?

Okno było otwarte na oścież, słyszała szum morza i dochodzący z tarasu głos matki, która odpowiadała na pytania dotyczące męża - znamienitego pedagoga, człowieka o czystym ciele. Jak pisał? Kiedy zerwał z teoriami Johna Deweya? Gdzie wydelegował go UNICEF? Dalejże, rumianolica słuźko sławy, zapytaj mnie o mojego męża! O znamienitego specjalistę od prac dorywczych. Opowiem ci, jak rzucił studia w połowie, a potem rzucił także pracę w firmie tynkarskiej i poszerzał sobie horyzonty na nocnej zmianie w punkcie ksero. Phil

Nieudacznik, jak sam siebie nazywał z czarującą szczerością, kryjącą ohydną pychę, pod którą z kolei prawdopodobnie, acz nie na pewno, kryła się rozpacz. Jedno było pewne: nikt na całym świecie nie wiedział, jak bardzo, jak dogłębnie Phil nim gardzi. Cechował go absolutny brak szacunku lub choćby uznania dla wszystkiego, co ktokolwiek robił bądź sobą reprezentował. Jeśli ta obojętność była mu początkowo tarczą, przerosła go na wylot. Teraz był nią ściśle opancerzony, nie sposób go było zranić. A ludzie tak bardzo się starali nie sprawić mu przykrości! Kiedy słyszeli, że ona ma doktorat, a on jest bezrobotnym tynkarzem, automatycznie zakładali, że taka sytuacja musi być dla niego trudna do zniesienia. Dowiadując się, że tak nie jest, podziwiali go za brak kompleksów i męskiego szowinizmu oraz pogodę ducha, z jaką stawiał czoło życiowej porażce. W istocie znosił ją znakomicie, napawał się nią, pławiał w niej, chełpił, że robi tylko to, co chce, i nic więcej. Nie dziwota, że był taki łagodny, spokojny, wyluzowany. I nic dziwnego, że Mag w końcu wybuchła. W zeszłym tygodniu, omawiając „Samotnię” Dickensa, naskoczyła na tępawą uczennicę, która nie była w stanie pojąć, co można zarzucić Haroldowi Skimpole’owi.

- Nie rozumiesz, że jego zachowanie jest skrajnie nieodpowiedzialne?! - wykrzyknęła Mag uniesiona słusznym gniewem, a to głupie cielę odwarknęło:

- Nie widzę powodu, dla którego k a ż d y miałby się zachowywać odpowiedzialnie.

W gruncie rzeczy był to klasyczny taoistyczny *kōan*. W wersji dla żon. Ciężko jest być żoną człowieka, który żyje w ciągłym *wuwei*, i nie wpaść w totalne *wei*. Trzeba bardzo uważać, inaczej kończy się, piorąc dziesięć tysięcy koszul.

Ale oczywiście o koszule ojca dbała zawsze mama.

Dżinsy nie nadawały się nawet na szmaty. Może w Związku Radzieckim płacą za takie sto dolców, nieważne. Cisnęła je w ślad za koszulą i kosz się przewrócił. Lekko zawstydzona podniosła spodnie, potem koszulę i wsadziła do plastikowego worka, który tkwił w przegródce. Niewątpliwą korzyścią z abnegacji Phila było to, że z pewnością nigdy jej nie zapyta, gdzie się podziały jego ulubione dżinsy i koszula w kratkę. Nie przywiązywał się do odzieży; nosił to, co mu dano. „Nie lubię okazji, które wymagają nowych ubrań”. Ależ ten Thoreau był zarozumiały! Dziesięć do jednego, że chodziło mu o śluby, ale nie miał odwagi powiedzieć tego wprost ani tym bardziej sam się ożenić. Phil w istocie lubił nowe ubrania, lubił je dostawać na Gwiazdkę albo urodziny, cieszył się prezentami, ale ich nie celebrował.

- Phil to święty! - powiedziała do niej matka niedługo przed ich ślubem. Mag ze śmiechem przyznała jej wówczas rację, uznając to stwierdzenie za wybaczalny wyraz macierzyńskich uczuć. Tymczasem nie było ono komplementem, lecz ostrzeżeniem.

Ojciec miał nadzieję, że ich związek wkrótce się rozpadnie. Nigdy nie powiedział tego wprost, ale Mag to czuła. Obecnie kwestia jej małżeństwa w relacjach między nią a matką nie istniała, była zakopana na wiele mil głęboko. Między nią i córką wisiała w powietrzu jak pytanie, którego nie wolno zadać. Każdy starał się oszczędzić uczucia pozostałych. To było głupie; przez to ona i Greta tak niewiele ze sobą rozmawiały. Zresztą owo niewypowiedziane pytanie mijalo się z istotą problemu. Byli małżeństwem. Pozostawało jednak pewne „ale...”. Nikt go nigdy nie poruszał, a sama Mag nie wiedziała nawet, jak je sformułować. Może gdyby to potrafiła, jej życie uległoby zmianie. Pozbawiony głowy tors Apollina przemówiłby: *Du musst dein Leben ändern*. Tylko czy naprawdę tak bardzo chciała zmian w swoim życiu?

- Nigdy nie opuszczę pana Micawbera - mruknęła pod nosem, sięgając do kolejnej przegródki, gdzie odkryła kolejny plastikowy worek, a w nim rdzawą włóczkową dzianinę. Patrzyła na nią tępo, dopóki nie rozpoznała swetra, który kupiła kilka lat temu na wyprzedaży z myślą o prezencie gwiazdkowym dla Greta i o którym kompletnie zapomniała.

- Gretka! Patrz tylko! - zawołała, biegnąc przez hol. Zapukała i wpadła do pokoju córki. - Wesołych świąt!

Po krótkich wyjaśnieniach Greta włożyła sweter. Jej ciemna chuda twarz wynurzyła się z przecudnie rdzawych fałd z poważną miną. Z uwagą przejrzała się w lustrze. Bardzo trudno ją było zadowolić, wołała sama kupować sobie ubrania, a te, które lubiła, nosiła dotąd, aż zostały z nich strzępy. Do pewnego stopnia dbała też, żeby były czyste.

- Rękawy są chyba trochę przykrótkie, prawda? - powiedziała w matczynym języku.

- Trochę. Pewnie dlatego go przecenili. Pamiętam, że był niewiarygodnie tani. Kupiłam go w Sheep Tree parę lat temu. Spodobał mi się kolor.

- Faktycznie ładny - przyznała Greta, wciąż pełna rezerwy. Podciągnęła rękawy do łokci. - Dziękuję.

Lekko zarumieniona uśmiechnęła się i zerknęła za siebie, na książkę, która leżała otwarta na łóżku. Coś wisiało w powietrzu, bliskie wypowiedzenia. Greta nie wiedziała, jak to powiedzieć, a Mag - jak jej to umożliwić; obie miały kłopot z wyrażaniem myśli we własnym języku. Matka poczuła się nagle niezręcznie, jak natręt. Wycofała się, mówiąc:

- Lunch będzie około wpół do drugiej.

- Trzeba ci pomóc?

- Właściwie nie. Szwedzki stół na tarasie. Z tą dziewczyną od wywiadu.

- Kiedy ona wyjeżdża?

- Mam nadzieję, że przed obiadem. Ładnie ci w tym kolorze. - Mag wyszła, zamykając drzwi za sobą, jak ją nauczono.

Greta zdjęła rudy sweter. Był trochę za ciepły na tę porę roku, a poza tym nie była jeszcze pewna, czy jej się podoba. Trochę potrwa, nim do niego przywyknie, i dopiero wtedy będzie wiedzieć na pewno. Pomyślała, że chyba jednak go polubi. Czuła się w nim tak, jakby miała go już kiedyś na sobie. Włożyła go do szuflady, żeby nie ranić matki. To było w zeszłym roku: kiedyś mama weszła do jej pokoju i rozejrzała się wokół, a Greta nagle zdała sobie sprawę, że jej spojrzenie nie wyraża dezaprobaty, lecz ból. Nieporządek, brud, brak poszanowania dla przedmiotów były dla niej równie dotkliwe jak popchnięcie lub uderzenie. Ciężko musiało się jej z tym żyć. Wiedząc o tym, Greta starała się uprzątać rzeczy. Teraz zresztą niewiele ją to kosztowało, większość czasu spędzała w akademiku. Mama nadal zrzędziła, komenderowała i cierpiała, a tato i chłopcy w ogóle się tym nie przejmowali. Jak w jakimś cholernym serialu komediowym. Gros rodzin i gros ludzi w ogóle funkcjonowało kropka w kropkę tak jak w serialach. Na przykład ona - siedzi i czeka na telefon Davida. No czy to nie przypomina brazylijskiej opery mydlanej? Wszystko dzieje się tak samo, jak już się zdarzyło innym ludziom, powtarza wciąż i wciąż od nowa, równie małostkowe, trywialne i głupie, i nie ma od tego ucieczki. Tak zwane życie przywiera do człowieka, tamuje mu ruchy, więzi. Miała kiedyś sen: była w pokoju wyklejonym tapetą, która za najłżejszym muśnięciem lepiała jej się do rąk, pleców, głowy.

Otworzyła podręcznik i zaczęła czytać o składzie i budowie gabra, a potem o genezie łupków.

*

Chłopcy wrócili z plaży minutę przed lunchem. Zawsze mieli wycucie czasu. Jak dawniej, kiedy nabrzmiała mlekiem pierś zaczynała już boleć i w tej samej chwili odzywało się niemowlę w sąsiednim pokoju. Hałaśliwy wyścig do łazienki nareszcie przepłoszył Phila z podłogi w sieni. Zaniósł półmiski na stół na tarasie i jął zabawiać rozmową tę dziewczynę, a ona poróżowiła i zaczęła się uśmiechać. Phil był taki niepozorny - drobny, zarośnięty, podstarzały i nijaki że kobiety nie podejrzewały zagrożenia do chwili, gdy podbite, padały mu do stóp. Śmiało, Phil. Dziewczyna wygląda na inteligentną i jest aż za poważna. A Phil jej nie skrzywdzi. Kochany stary Phil nie skrzywdziłby nawet muchy. Święty Filip, rozdawca łask erotycznych.

Przyjrzała im się z uśmiechem.

- *Come and get it!* - powiedziała.

*

Sue Magistrantka wykazała się dobrymi manierami; rozmawiała z tatą o pożarach lasu lub czymś w tym rodzaju. Tato, ubrany w swój towarzyski półuśmiech, także wykazywał

dobre maniery. Zresztą sądząc po tym, co dziewczyna mówiła, wcale nie była głupia. Okazała się wegetarianką.

- Jak nasza Greta - powiedziała babcia. - Co się porobiło z tymi studentami? Dawniej żywili się surowym mięsem łośia.

Dlaczego babcia zawsze ją krytykuje? O chłopcach nigdy nie mówi takich rzeczy. Dobrali się do salami, nałożyli sobie kopiaste talerze i dopiero wtedy zaczęli robić kanapki. Mama przyglądała im się z tym swoim wyrazem twarzy zamyślonej jastrzębicy. W zgodzie ze swoją biologiczną niszą. W tym cały problem z biologią - wszędzie sztampa i powtarzalność; istny sitcom. I nisze. Matka karmiąca. O ileż lepsze są płaszczyzny ciemnego łupku i bazaltowe równiny. Tam wszystko może się zdarzyć.

*

Była zmęczona. Poszła po butelkę wina, zje później. Musi chwilę pobyć sama, ta króciutka drzemka rano niewiele pomogła. Miała za sobą długi, męczący poranek; sama podróż z Portland trwała wieki. A wspomnianie dawnych czasów to koszmar. Wszystkie te utracone szanse, osoby, rzeczy... Miasto, do którego nie dochodzi już żadna droga. Z dziesięć razy musiała mówić: „już nie żyje”. Raził ją czas terazniejszy w tych utartych zdaniach. Lepiej chyba używać słowa „umarł” lub nawet eufemistycznie „odszedł”. Czas terazniejszy należy do terazniejszości, a zmarli wcale nie żyją w nas, jak twierdzą mówcy na pogrzebach. Owszem, wpłynęli na nas kiedyś, zmienili nas. Ona sama jest dziś zupełnie inna, niż byłaby bez Amory’ego. Ale Amory umarł i nie było go ani w jej wspomnieniach, ani w jego książkach, ani gdziekolwiek indziej. Przestał istnieć. Wykrętne sformułowanie „odszedł” nie było w gruncie rzeczy takim idiotyzmem, jakim się zdawało. Przynajmniej funkcjonowało w czasie przeszłym, zdecydowanie i bezwarunkowo przeszłym. Amory przyszedł do niej, a ona do niego, uczynili wzajemnie swoje życie tym, czym było, a potem on odszedł. W gruncie rzeczy to wcale nie był eufemizm. Matka natomiast...

Rita zawahała się w rozmyślaniach, napiła wina. Z matką było inaczej, ale właściwie czemu? Jakby nie obróciła się w proch, lecz w skałę. Oczywiście umarła; mimo to nie miało się wrażenia, że odeszła jak Amory.

Wróciła do stołu, dołała sobie wina, nałożyła na ciemny chleb salami, ser i zieloną cebulkę.

*

Teraz była piękna. W ciasnych, krótkich, brzydkich sukienkach z lat sześćdziesiątych, kiedy Mag po raz pierwszy spojrzała na nią z dystansu i odważyła się na jakikolwiek osąd, wydawała się za duża. Z kolei po śmierci Amory’ego i kiedy miała te kłopoty ze szpikiem

kostnym, była zbyt chuda. Teraz budziła zachwyty: linia policzka, długie miękkie wargi, oczy o wypukłych powiekach poznaczonych siateczką zmarszczek. Co to mówiła o surowym mięsie łosia? Dziewczyna nie dosłyszała, a gdyby dosłyszała, nie zrozumiałaby, nie dotarłoby do niej, że właśnie poznała opinię pani Inman na temat instytucji, której luminarzem był jej zmarły mąż. W gruncie rzeczy zawarła w tym jednym zdaniu to, co z powiększającego się dystansu, z pozycji starej kobiety, sądzi o wszystkich ludzkich instytucjach. Biedna mała Jakjejtam, schwytna w potrzask wielkich dzieł i mrocznych machinacji tego najtrwalszego epigona wieków średnich - uniwersytetu. Mielona w żarnach asystentur, grantów, konkurencji, egzaminów, dysertacji; wszystkiego tego, co oddziela mężczyzn od chłopców, a jednych i drugich od reszty świata. Nie ma i nie będzie miała czasu, żeby podnieść głowę, rozejrzeć się, dowiedzieć, że istnieją takie puste, przestronne miejsca jak to, w którym mieszka Rita Inman.

*

- Ładny, prawda? Kupiliśmy go w pięćdziesiątym piątym roku, kiedy było tu jeszcze całkiem tanio. Nie widziała go pani w środku? A to wstyd; po lunchu musimy to naprawić. Obejrzy pani dom, a ja się chyba położę na godzinkę. A może chciałaby pani przejść się po plaży? Dzieci znają tu każdy kąt, zaprowadzą panią wszędzie, jeśli oczywiście ma pani ochotę. Mag, Sue zajmie mi jeszcze godzinkę lub dwie. Pozostało nam kilka... - pauza - ...profesorskich pytań. Obawiam się, że wciąż odbiegam od tematu.

Jakim surowym pięknem emanuje Mag, te usta niczym szczelina w skale, ciemny wodospad włosów, srebrzący się tu i ówdzie. Jak zwykle sprawna, efektywna, wszystkiego dopilnowała. Lunch był wyśmienity.

Nie, matka zdecydowanie nie umarła w taki sam sposób jak ojciec, Amory, Clyde, Polly, Jim i Jean; tu zaszło coś innego. Naprawdę musi zostać wreszcie sama i gruntownie to przemyśleć.

*

- Geologia.

Słowo padło. Zostało wypowiedziane. Mama zastrzygła uszami jak kot, uniosła brwi, choć jej oczy i usta pozostały beznamiętne. Tato zachował się tak, jakby od dawna wiedział o jej decyzji; może zresztą wiedział, choć niby skąd? Sue Magistrantka oczywiście zaczęła się dopytywać, kto wyklada i co się robi po tych studiach. Greta знаła tylko parę nazwisk i zrobiło się jej głupio, że nie więcej. Powiedziała więc:

- Och, podejmuje się pracę w firmach górniczych, naftowych czy innych, pod warunkiem że niszczą matkę Ziemię. Znajduje się uran na terenach indiańskich rezerwatów...

Przezań, skarciła się w duchu. Sue Magistrantka chciała dobrze. Wszyscy chcą dobrze. W tym cały dramat. Kokon dobrych chęci zaciera kształty, pozbawia je ostrości.

- Oto po dwudziestu latach spędzonych samotnie na pustyni wchodzi posiwiata stara profesorka, kulejąc i klnąc na swego muła - powiedział tato i Greta wybuchnęła śmiechem, bo to było zabawne. Tato potrafił być zabawny, ale przez jedną króciuteńką chwilę poczuła, że się go boi. Był niesamowicie przenikliwy. Zrozumiał, że to jest dla niej ważne. Czy on też chciał dobrze? Kochał ją, lubił ją, byli do siebie podobni, ale czy lubił w niej również te cechy, którymi się od niego różniła?

Mama stwierdziła, że za czasów jej studiów geologia była jałową, uschłą gałęzią nauki, ale teraz wszystko się zmieniło wraz z pojawieniem się nowych teorii.

- Tektonika płyt kontynentalnych nie jest wcale nowa. - Przezań, przezań! Mama chce dobrze.

Sue Magistrantka i mama wdały się w rozmowę na temat możliwości kariery akademickiej w naukach ścisłych i z zainteresowaniem porównywały obserwacje w nader koleżeńskim tonie. Sue była na renomowanym uniwersytecie, ale ustępowała mamie wiekiem i dorobkiem naukowym. Mama skończyła prowincjonalną uczelnię, ale była starsza i do tego miała doktorat z Berkeley. Tato nie brał w tym udziału. Babcia zasypiała na stojąco, a Tom i Sam wyjadali resztki z półmisków.

- To zabawne - powiedziała. - Właśnie przyszło mi na myśl, że my wszyscy, to znaczy cała nasza rodzina, przeminiemy i nikt nie będzie nawet wiedział, że kiedyś żyliśmy. Dziadek jest wyjątkiem. Tylko on był rzeczywisty.

Sue zagapiła się na nią łagodnie. Ojciec pokiwał głową ze zrozumieniem. Mama spojrzała na nią twardo, jastrzębica, która ma się na baczności. Babcia powiedziała dziwnym, nieobecny tonem:

- Tu akurat jestem innego zdania.

Tom rzucał mewie okruszki chleba, ale Sam, kończąc salami, odezwał się nagle tonem ludzako podobnym do głosu mamy:

- Sława to najlepszy doping!

W tym momencie jastrząb drgnął, zamrugał i pochylił się nad ofiarą:

- Co masz na myśli, Greto? Rzeczywistość sprowadza się do stanowiska dziekana wydziału edukacji?

- Był kimś ważnym. Ma biografię. Żadne z nas nie będzie jej miało.

- I chwała Bogu - powiedziała babcia, wstając. - Mam nadzieję, że mi wybaczycie, ale jeśli teraz na chwilę się położę, później będę dysponować znacznie żywszym umysłem, w

każdym razie taką mam nadzieję.

Wszyscy ruszyli się z miejsc.

- Chłopcy, stać. Tom, zmywasz naczynia.

*

Uślułali bez sprzeciwu. Uczuła potężny, wręcz śmieszny przyptyw miłości, ciepłej i niepohamowanej jak łyż lub mleko, albo duma - z nich, z siebie. Byli kochani. Kochani chłopcy. Czerwonoręcy, niezgrabni i patykowaci jak żrebaki, sarkając pod nosami, prędko i zgrabnie zebrali naczynia ze stołu. Sam docinał Tomowi bez przerwy zaczynającym się mutować głosem, Tom odpowiadał na dwóch wysokich nutach, z interwałem, jak drozd: du-pek, du-pek...

- Kto idzie na spacer nad morze?

Chęć wyraziła Mag, ta magistrantka, Phil, a nawet, co zaskakujące, Greta.

*

Przeszli na drugą stronę Traktu i ruszyli gęsiego przez wydmy. Kiedy zeszli na plażę, Mag się obejrzała, zobaczyła frontowe okna i dach sterczące znad rozkołysanych traw i jak zawsze poczuła tę samą czystą radość co wówczas, gdy je ujrzała po raz pierwszy w życiu. Greta i chłopcy znali ten dom od urodzenia, ale dla niej był darem, który wciąż tak samo cieszył. Kiedy była dzieckiem, jeździli na wakacje do cudzych letnich domów w takich miejscowościach jak Gearhart i Neskowin, domów należących do dziekanów i prewotów oraz ludzi bogatych, którzy zabiegali o znajomość z władzami uniwersytetu, bo pozwalało im to kreować się na intelektualistów. Później, kiedy trochę podrosła, dziekan Inman zabierał ją i matkę na konferencje w co bardziej egzotyczne zakątki świata jak Beczua, Brazylia czy Bangkok, aż w końcu Mag się zbuntowała.

- Ale przecież to są ciekawe miejsca! - powiedziała matka z przyganą. - Naprawdę cię nie cieszy, że możesz je zobaczyć?

- Mam serdecznie dosyć wakacji, na których się czuję jak biała żyrafa! - zawyła Mag.

- Dlaczego nie mogę zostać w domu, gdzie wszyscy są tego samego rozmiaru?!

I w jakiś, nie pamiętała dokładnie jaki, ale niezbyt długi czas potem przyjechali do Klatsand obejrzeć ten dom.

- Co sądzicie? - spytał ojciec, stojąc w saloniku.

Sześćdziesięcioletni luminarz, autorytet, z uprzejmości zadający retoryczne pytanie. Nie musiał pytać. Wszyscy troje zakochali się szaleńczo w tym domu od chwili, gdy go zobaczyli na krańcu długiej piaszczystej drogi biegnącej między morzem a mokradłem.

- To będzie mój pokój, dobrze? - powiedziała wtedy, wychodząc z południowo-

zachodniej sypialni. Spędzili w niej później z Philem miesiąc miodowy.

Spojrzała na Phila. Szedł samym skrajem wody, cofając się bokiem w głąb plaży, ilekroć przybój sięgnął dalej niż inne, a potem wracał w ślad za cofającą się falą, skupiony jak dziecko, drobny, przygarbiony, nieuchwytny. Skręciła, biorąc kurs na spotkanie.

- Phil-utek - powiedziała.

- Mag-nolia.

- Wiesz, ona miała rację. Jak sądzisz, co ją skłoniło do tego stwierdzenia?

- Próbowwała mnie bronić.

Jak łatwo to powiedział. Jak łatwo przyjął takie założenie. Jej nie przyszło na myśl.

- Możliwe. A ona sama? A ja? No i ta geologia... Ciekawa jestem, czy to zwykłe zauroczenie czy coś poważniejszego.

- Ona do wszystkiego podchodzi poważnie.

- To mógłby być dla niej dobry kierunek. Chyba że geolodzy siedzą dziś tylko w laboratoriach. Nie wiem, u nas przerabia się ją tylko pobieżnie na wstępnym kursie nauk przyrodniczych. Zapytam Benjiego, czym w dzisiejszych czasach zajmują się geolodzy. Mam nadzieję, że używają jeszcze młotków. I szortów khaki.

- Ta powieść Priestleya, którą znalazłem w bibliotece... - rzekł Phil i zaczął o niej opowiadać, wtrącając nawiązania do powieściopisarzy współczesnych Priestleyowi.

Mag słuchała z uwagą, idąc obok niego mokrym skrajem kontynentu. Gdyby Phil nie rzucił studiów przed obroną, zaszedłby na uczelni znacznie dalej niż ona, po części dlatego, że mężczyznom łatwiej było wówczas robić karierę, ale przede wszystkim dlatego, że był do niej stworzony - miał odpowiedni temperament, niezbędną bezstronność i pasję badacza. Interesowała go angielska literatura początków dwudziestego wieku i podchodził do niej z idealnie wyważoną mieszanką dystansu i fascynacji. Byłby w stanie napisać doskonałą monografię twórczości Priestleya, Galsworthy'ego, Bennetta i im podobnych, wartą uczciwej profesury na dobrej uczelni. A już na pewno dającą mu poczucie własnej wartości. Ale takie poczucie nie przystoi świętemu, nieprawdaż? Dziekan Inman miał go pod dostatkiem, szanował się nie mniej, niż szanowali go bliźni. Czy ona sama starała się uciec od różnych form szacunku, kiedy zakochała się w Philu? Nie. Wciąż czuła ich brak i starała się go wypełnić. Zakochała się w Philu, bo sama była silna, a ludzie silni czują przemożny pociąg do słabości. Gdybyś ty nie był słaby, jakaż byłaby moja siła? Zajęło jej to lata, wiele lat, aż do dzisiaj, by zrozumieć, że siła łąknie innej siły - tych kochanych chłopców zmywających naczynia, Grety, która się wyrzywa z szokującym stwierdzeniem przy lunchu. W niej może spocząć, nabrać i nauczyć się prawdziwej płodnej słabości, która się nie opiera i nie broni.

Greta nie broniła Phila ani nikogo. Phil musiał to tak odebrać. Powiedziała to, bo miała w sobie taką słabość. Dziekan Inman by tego nie zrozumiał, ale to by go nie zmartwiło. Widziałby, że wnuczka go poważa, i dla niego znaczyłoby to, że poważa także siebie. A Rita? Mag nie potrafiła sobie teraz przypomnieć, co takiego matka powiedziała przy lunchu, kiedy Greta zakwestionowała ich realność. Nie było w tym dezaprobaty, tylko dystans. Odsuwała się od nich jak te mewy, o, tamte, które przenoszą się kawałek dalej, ilekroć ludzie się do nich zbliżą. Wygięte skrzydła i uważne, beznamietne oczy. Stworzone do lotu lekkie, puste w środku kości. Obejrzała się. Greta i Sue szły powoli pogrążone w rozmowie, daleko z tyłu; dystans między nimi a nią i Philem też się powiększał. Jęzor przyływu rozdzielił ich na chwilę, krzyżujące się prądy pokreśliły piasek siatką linii i cofnęły się, sycząc, do morza. Na horyzoncie wisiała błękitnawa mgielka, ale słońce wciąż grzało mocno.

- Ha! - Phil podniósł z ziemi ładnego białego piaskowego dolara. Zawsze znajdował te nieoszacowane skarby, monety niewymienialnej waluty, podobnie jak każdej zimy zbierał na tej plaży japońskie szklane pływaki do sieci, choć Japończycy już dawno zrezygnowali ze szkła na rzecz plastyku i od lat nikt inny ich nie znajdował. Niektóre porośnięte były skałoczepami, brodate od mchu, w zielonej szacie, unosiły się przez wiele lat na wielkich falach, maleńkie trwałe bańki, przejrzystozielone ziemskie sondy w galaktykach piany, na przemian to oddalające się, to zbliżające.

- Zastanawiam się jednak, ile jest z Maupassanta w „Opowieści starej babki” Bennetta - zagadnęła. - Mam na myśli próbę ogarnięcia kobiecości.

Phil, chowając do kieszeni gażę wypłaconą mu przez morze, odpowiedział, tak jak kiedyś ojciec odpowiadał na jej pytania, a ona słuchała jego i morza.

*

Matka Sue zmarła na raka narządów rodnych. Zeszłej wiosny Sue wróciła do domu jeszcze przed końcem roku akademickiego, żeby być z nią w ostatnich chwilach. Konała cztery miesiące. Sue nie była w stanie opanować przymusu, żeby o tym mówić, a Greta musiała słuchać. Wbrew woli znosić narzucony jej zaszczyt, dostępować inicjacji. Od czasu do czasu unosiła głowę, żeby spojrzeć w bok na szarą płaszczyznę oceanu albo w górę na Bretoński Czub, albo w przód, na matkę i ojca idących obok siebie jak dwa flegmatyczne bojowniki skrajem morza wyznaczonym przez koliste pasma piany - albo w dół, pod nogi, na brązowy piasek i własne uszargane tenisówki odciskające na nim ślady. Ale potem znów odwracała głowę do Sue, skupiała się na niej, bo Sue musiała mówić, a ona musiała słuchać, musiała poznać wszystkie narzędzia tortur, kajdany, wyciągi, noże i szczypce; musiała poczuć, jak to jest, gdy świadek staje się współprawcą, i dowiedzieć się wreszcie, czy po

tylu wysiłkach prawda ujrzy światło dzienne.

- Ojciec był wściekły, kiedy dotykali jej pielęgniarze - mówiła Sue. - Protestował, że to praca dla kobiet, starał się, żeby przysyłali pielęgniarki.

Mówiła o cewnikach, przerzutach, transfuzjach, a każde słowo było żelazną dziewicą, zębatą waginą. Kobięca praca.

- Onkolog twierdził, że gdy podadzą jej morfinę, przyćmi pracę mózgu i będzie lepiej. Ale było gorzej. Ten ostatni tydzień był najgorszą rzeczą, jaka mnie kiedykolwiek w życiu spotka.

Sue mówiła z pełną świadomością i to było wstrząsające. Móc powiedzieć coś takiego znaczy, że człowiek nie musi się już niczego bać. Ale trzeba drogo zapłacić za taką pewność.

Umykający wzrok Greta napotkał matkę i ojca, którzy zatrzymali się u podnóża Bretońskiego Czuba i brodzili w ślad za łamiącymi się falami do miejsca, gdzie morze stawało się gładkie. Kiedy była w liceum, ktoś jej powiedział, że gdyby człowiek skoczył z wierzchołka Czuba, uderzyłby o wodę jak o asfalt.

- Nie miałam zamiaru ci tego wszystkiego mówić. Przepraszam. Po prostu jeszcze się z tym nie uporałam.

- W porządku - mruknęła Greta.

- Twoja babcia jest... ona jest piękna. Wszyscy jesteście piękni, cała wasza rodzina. Wydajecie się właśnie... prawdziwi. Naprawdę się cieszę, że mogłam tu przyjechać.

Przystanąła i Greta musiała także przystanąć.

- To, co powiedziałaś przy lunchu... że twój dziadek jest sławny...

Greta kiwnęła głową.

- Kiedy zasugerowałam profesorowi, że powinien porozmawiać z rodziną dziekana, zebrać wspomnienia, które nie są ogólnie znane, dowiedzieć się, jak jego teoria edukacji współgrała z życiem prywatnym i tak dalej, wiesz, co powiedział? Powiedział: „Ale przecież ci ludzie są zupełnie nieważni”.

Ruszyły dalej plażą.

- Zabawne - uśmiechnęła się Greta. Schyliła się po czarny kamyk. To był oczywiście bazalt, cały ten odcinek wybrzeża zbudowany był wyłącznie z bazaltu - pokryw lawowych z wielkich tarczowych wulkanów kolumbijskich i lawy poduszkowej z podmorskich ujść. To po nich skakali teraz mama i tato, po wielkich twardych poduszkach twardego łoża oceanu.

- Co znalazłaś? - zacięła się Sue, przejęta jak zwykle.

Greta pokazała jej matowy czarny kamyk, a potem cisnęła go w fale.

- K a ż d y jest ważny - powiedziała Sue. - Zrozumiałam to tego lata.

Czy to była ta prawda, którą wykrzykuje zdarty od krzyku głos po długotrwałych torturach? Greta nie bardzo mogła w to uwierzyć. Nikt nie jest ważny. Ale nie mogła tego powiedzieć Sue. Zabrzmiałoby tanio, głupio, jak słowa tego głupiego profesora. Kamyk był tak samo nieważny jak one. Morze też nie było ważne. Nie chodzi o to, żeby coś było ważne. Rzeczy nie mają rangi.

- Chcesz wyjść na szczyt Czuba? Jest tam coś w rodzaju ścieżki.

Sue zerknęła na zegarek.

- Nie chciałabym, żeby twoja babcia musiała na mnie czekać, kiedy się obudzi. Lepiej już wróć. Mogłabym jej słuchać godzinami. Jest zdumiewająca.

Miała ochotę powiedzieć: „Szczęściara z ciebie!” Powiedziała to.

- Taak - mruknęła Greta. - Ktoś, zdaje się, że jakiś Grek, powiedział, że nie należy tego mówić o nikim, póki żyje. - Podniosła głos: - Mamo! Tato! Hej, hej!

Pokazała gestem, że wracają z Sue do domu. Dwie małe figurki na wielkich czarnych poduchach pokiwały głowami i pomachały w odpowiedzi. Wiatr przyniósł wołanie matki jak krzyk jastrzębia lub mewy, z którego morze wypłukało wszystkie spółgłoski i cały sens.

*

Wrony darły się na mokradłach w głębi łądu. Był to jedyny dźwięk poza szumem morza, który wpadał przez okno i wypełniał pokój. Cały dom pełen był tego dźwięku jak muszla, w której słyszysz morze, choć w rzeczywistości to coś innego, podobno tętnienie krwi w twoich własnych żyłach - ale jak to możliwe, że słysząc je w muszli, a nigdy w uchu albo w zwiniętej dłoni? W kubku do kawy słysząc podobny dźwięk, tylko znacznie słabszy i stały w przeciwieństwie do szumu morza, który nasila się i cichnie. Zbadała to dokładnie w dzieciństwie - dłoń, kubek, muszlę. Kra, kra! Czarne, ciężkie myśliwce nurkujące, z lekka upiorne. Niepodobne do niczego światło na białych deskach sufitu. Język za zębami. Co miało na celu to dziecko, mówiąc, że tylko Amory był rzeczywisty? Paskudną ma opinię o rzeczywistości. Musi bardzo uważać; jest taka silna, silniejsza nawet od Maggie. Dlatego, że jej ojciec jest słaby. Oczywiście to wszystko jest na odwrót, ale ciężko poukładać myśli o czymś, co świat uparcie wywraca do góry nogami. Tylko ona wie, że jej wnuczka musi bardzo uważać, żeby jej nie przyłapano. Kra, kra! - kraczą wrony na bagnach. Co to za dźwięk, który wciąż słysząc? Wiatr, to wiatr wiejący przez porośnięte bylicą pustkowia. Ale tamto było gdzie indziej, daleko. O czym to chciała pomyśleć, kiedy się kładła?

RAMOLE

Pomyśl, żeby weekend spędzić nad morzem, spadł na niego jak objawienie - coś, co jego profesor literatury angielskiej nazywał epifanią. W istocie zawdzięczał go Debi, swojej sekretarce.

- Wyglądasz na zmęczonego, Warren - powiedziała. - W zeszły weekend zostawiłam dzieci z Patrickiem, pojechałam do Lincoln City, znalazłam motel, w którym przesiedziałam cały wieczór, czytając nudną książkę, zasnęłam o dziewiątej, a rano poszłam na długi spacer po plaży. Przemaszerowałam co najmniej milę. To było jak balsam. Mówię ci to na wypadek, gdybyś nie zauważył, jaka radosna i błyskotliwie inteligentna byłam przez cały tydzień.

Zwykle słuchał tego, co mówi Debi, choć czasami gubił się w szczegółach. Tym razem jej słowa wróciły do niego w blasku epifanii, kiedy wracał samochodem do domu.

Na sobotę miał zaplanowany lunch z radnym hrabstwa Curry, na którym zamierzał omówić strategię rozwoju południowej części hrabstwa, ale wystarczył telefon, żeby przełożyć lunch na wtorek. Warren wsiadł do samochodu w dzinsach i wiatrówce, z walizką, do której wrzucił piżamę, adidas, dres i szczoteczkę do zębów - i ruszył w drogę.

Wiedział, że jest niewolnikiem nawyku, grzęznącym w każdej wyżłobionej koleinie. Wiedział też, że pomaga mu to efektywnie wykonać wszystko, co zaplanował. Ale Debi miała rację, potrzebny mu krótki urlop. Zresztą właśnie stateczność i nużąca rutyna pozwalały mu się rozkoszować każdym niecodziennym doznaniem, smakować je w całej pełni. Od rozwodu nie dał sobie wiele takich okazji. Teraz jednak był wolny i nie jechał tylko do Lincoln City, ale dalej, by samemu odnaleźć jakieś nieznanne miejsce, ukryty skarb. Powie potem: „Zupełnym przypadkiem trafiłem do tego cudownego miasteczka na wybrzeżu...”

Cutlass zdawał się frunąć krętym wąwozem Rzeki Wilsona (Boże, jak tu pięknie! Naprawdę powinien częściej wyjeżdżać z miasta!) do rozjazdu w Tillamook. Teraz decyzja: trasą 101 na południe w stronę Tijuany czy na północ ku Fairbanks? Nie wahał się, losowo skręcił na północ i docisnął gaz.

Zapomniał, że sto jedynek na północ od Tillamook zbacza dość znacznie w głąb lądu. Zanim wrócił na wybrzeże, słońce już zaszło, a na drogowskazach do nadmorskich moteli wisiały tabliczki: BRAK WOLNYCH MIEJSC. Kiedy zobaczył znak zjazdu numer 251 do

Klatsand (PROSZĘ OGRANICZYĆ PRĘDKOŚĆ), zaryzykował i skręcił z autostrady. W mieście na pewno coś się znajdzie.

Było. Wolne miejsca noclegowe miał motel Biała Mewa, pełen nagietków w drewnianych skrzynkach. W gęstniejącym zmierzchu kwiaty zdawały się gorzeć własnym światłem.

- Ma pan szczęście - powiedziała niska kobieta za biurkiem z takim uśmiechem, jakby zazdrościła mu tego szczęścia. - Zarezerwowali cały motel, ale przyjechały dwie osoby mniej, a płacą tylko za zajęte pokoje. Minimum dwie noce. Numer czternasty jest na samym końcu, tam - pchnęła w jego kierunku klucz, nie zadając żadnych pytań co do jego życzeń i nie podając żadnej informacji odnośnie do kosztów. Miał szczęście, to wystarczy.

Pogodził się z tym i podał jej kartę kredytową. Wielu ludzi w Salem rozpoznałoby jego nazwisko, ale nie mógł na to liczyć w tej dziurze. Kobieta, do której najwyraźniej odnosiła się stojąca na biurku tabliczka z napisem: WITAMY CIĘ Z RADOŚCIĄ - JOHN I MARY BRINNESI, GOSPODARZE, przejechała z rozmachem kartą przez czytnik.

- Miłego dnia - powiedziała, choć była już prawie dziewiąta wieczorem. - Może pan zaparkować gdziekolwiek. Tamci są autobusem.

Najwyraźniej miała na myśli to, że pozostali goście Białej Mewy przyjechali olbrzymim autokarem, który majaczył w mroku, zajmując kilka miejsc parkingowych. Mijając go w drodze do numeru 14, Warren przeczytał napis biegnący wzdłuż karoserii:

CHRZEŚCIJAŃSKI KLUB TURYSTY SENIORA CEDARWOOD

Noc będzie spokojna, pomyślał z rozbawieniem. Obejrzał czystutki pokój, olbrzymie łóżko nakryte pluszową kapą z cygańską tancerką na czarnym tle, wiszący na ścianie obrazek szkunera na morzu o zachodzie słońca, wciągnął w nozdrza opar detergentu o zapachu balonowej gumy do żucia i udał się na kolację. Wjeżdżając do miasta, zauważył restauracyjkę niejakich Mayfieldów. Wyglądała zachęcająco. Bardzo lubił małe rodzinne knajpki.

Lokal był w środku większy, niż wydawał się z zewnątrz, i całkiem elegancki, z białymi obrusami i świecami płonącymi w okrętowych latarniach. Był prawie pełen, głosy krzyżowały się ciepło pod belkowanym stropem. Jakiś chłopiec podbiegł, żeby wskazać mu stolik.

- Czy jest pan z grupą?

- Nie - odparł Warren z uśmiechem.

- Bo właśnie myślałem, że trochę się pan spóźnił - oznajmił szczerze chłopiec, prowadząc go do niewielkiego ciemnego stolika pod zwisającą paprotką.

- Większość je już deser. Jestem Josh. Czy życzy pan sobie coś z baru?

Rose Ellen, która wyglądała na matkę Josha, przyniosła Warrenowi kieliszek chardonnay. Czekając na smażonego łososia, przyglądał się turystom seniorom, których białe, szare i łyse głowy poruszały się w świetle świec. Siedzieli przy stolikach po czworo lub sześcioro, byli weseli, pełni werwy, dowcipkowali podniesionym głosem, żeby było ich słychać przy innych stolikach, i śmiali się głośno, choć nigdzie nie widział kieliszka po winie. Silni liczbą, zachowywali się tak, jakby lokal należał do nich. Skoro jednak dobrze się bawili, czyż można ich było winić? Nagle poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw. Sympatyczna starsza pani nachyliła się ku niemu od sąsiedniego stolika.

- Może chciałby się pan do nas przyłączyć? Zapraszamy. Jesteśmy strasznie hałaśliwi, prawda?

- Och, nie, dziękuję bardzo - odparł z uśmiechem, którym zawsze robił wrażenie na sponsorach. - Z przyjemnością się państwu przysłuchuję.

- No cóż, siedzi pan sam, nie chciałam, żeby poczuł się pan wykluczony! - Starsza dama kiwnęła serdecznie głową i obróciła się z powrotem.

Sól ziemi, pomyślał Warren, kiedy podano mu łososia. Amerykanie.

Kilkoro wyszło w czasie, kiedy jadł. Zatrzymywali się przy kolejnych stolikach mówiąc „dobranoc” i opowiadając kolejne dowcipy. Mieli, zdaje się, niewyczerpany powód do śmiechu, związany w jakiś sposób z mężczyzną o imieniu Wayne i połowem pstrągów. Kiedy Wayne we własnej osobie opuszczał lokal, wołając: „Do zobaczenia nad potokiem!”, fala gromkiego śmiechu przetoczyła się przez restaurację. Większość została, jedli ciastka i pili kawę. Warren wymknął się z ukłonem w stronę miłej staruszki przy sąsiednim stoliku. Uśmiechnęła się, mówiąc:

- Niech pan dba o siebie.

Z jego pokoju nie było widać morza, ale słyszał szum fal dobiegający zza pasma wydm. Wydobył z walizki przyciśniętą butami aktówkę, w której miał dokumenty komitetu Amonsona. Przeglądał je przez pięć minut, ale dał sobie spokój, włączył gigantyczny telewizor i zaczął oglądać końcówkę jakiegoś kryminału. Kiedy zdał sobie sprawę, że przespał strzelaninę, wstał, umył zęby i położył się do łóżka. Stłumione odgłosy pożegnań seniorów, którzy rozstawali się przed jego drzwiami, mieszały się z przeciągłymi wdechami i wydechami morza. Zasnął.

Obudził się - gdzie? Ktoś bębnił w drzwi - jakie drzwi?

- Och, najmocniej przepraszam! Myślałem, że Jerry i Alice śpią w tym domku. Jeszcze raz proszę o wybaczenie! - I oddalający się śmiech.

Dochodziła siódma. Leżał chwilę, rozkoszując się błogim lenistwem, a potem wstał, gotów do joggingu po plaży. Przypomniała mu się Debi, taka dumna, że przeszła całą milę. Większość kobiet w pewnym wieku przestaje dbać o formę. On sam czuł się tego ranka jak młody bóg.

Po schowanym za pasiastymi zasłonami ciemnym motelowym pokoju bezkresne poranne niebo omal go nie oślepiło. Na piasku kładły się jeszcze chłodne niebieskawe cienie wydm, lecz fale przyboju i całe morze w letnim słońcu płonęły bielą jak salina. Choć ledwie minęła siódma, na plaży było już sporo osób, spacerowały albo przemieszczały się truchcikiem w parach i grupkach. Kiedy mijał ich biegiem, kiwali głowami, mówiąc: „Dzień dobry! Dzień dobry!” Siwi lub łysi, w purpurowych dresach lub kwiciastych koszulach. Seniorzy. Też dbali o formę.

Wyprzedzili go jacyś młodzi ludzie, śmignęli obok niczym para jeleni. Ruszył za nimi. Ich stopy dotykały piasku w odstępach dwukrotnie dłuższych niż jego własne. W miarę jak biegł, seniorów zaczęło ubywać. Pokonawszy połowę drogi do wysokiej skały, która zamykała plażę od południa, został sam, jeśli nie liczyć tych dwojga młodych, którzy zdążyli już dobiec do skały i właśnie wracali. Ominęli go pędem, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, pogrążeni w rozmowie prowadzonej czystymi głosami bez zadyszki.

Do skały było daleko. Kiedy tam dotarł, wyrównał oddech, siedząc na czarnym głazie nad odsłoniętym przed odpływ zagłębieniem, a potem wolno potruczał z powrotem. Nie musiał się forsować. Plaża była teraz pusta jak świeżo stworzona specjalnie dla niego pierwszego człowieka. Był za nią wdzięczny.

Wziął prysznic i wyszedł poszukać miejsca, gdzie mógłby zjeść śniadanie. „Nadmorski Grill u Toma” wydał mu się stosowny. Obrusy w biało-czerwoną kratkę, zaaferowane kelnerki.

- Pańska grupa siedzi w oranżerii - poinformowała go pulchna jasnowłosa dziewczyna roznosząca menu.

- Nie jestem z żadną grupą - odparł Warren z odrobiną irytacji.

- Aha. Wobec tego proszę tędy - powiedziała tak obojętnie, że miał prawo się poczuć urażony, i zaprowadziła go do stolika przy oknie wychodzącym na ulicę. Defilowało teraz przed nim całe miasto.

Kiedy towarzystwo siedzące w oranżerii zaczęło wychodzić parami i grupkami i zbierać się przed Grillem Toma, Warren odniósł wrażenie, że całe Klatsand zamieszkane jest

wyłącznie przez dotkniętych turystyczną obsesją seniorów. Ale oczywiście, wytłumaczył sobie w duchu, spory procent stałych mieszkańców tych nadmorskich miejscowości to emeryci. To nasunęło mu niewesołe refleksje natury demograficzno-fiskalnej i poczuł ulgę, widząc przechodzącą młodą kobietę z dwójką małych dzieci. Potem zobaczył parę, może już nie tak młodą, ale jeszcze nie starą. I psy - duże, biegające samopas wesołe pomorskie psy zatrzymywały się od czasu do czasu, by grzecznie obwąchać jakiegoś seniora.

W menu był oczywiście „zestaw seniora”: plasterek chudego bekonu lub kiełbaska, jajecznica bez cholesterolu, tost pszenny, niskokaloryczne masło roślinne i marmolada śliwkowa.

Warren zamówił dwa mocno wysmażone jajka sadzone z frytkami. Kawa przypominała raczej słodką brązową wodę, ale posiłek był ciepły i sycący, wysokokaloryczny.

Rano popracuję, a po południu posiedzę na plaży, powiedział sobie. Lubił wiedzieć z góry, co będzie robił, wyryć swoją koleinę nawet na jeden dzień. Zadowolony pomaszzerował z powrotem do Białej Mewy. Nagietki płonęły w słońcu.

- Witam! Piękny dzień, prawda? - zaczął go jakiś mężczyzna. Zwalisty stary mężczyzna, brodaty, z opaloną łysą czaszką. Warren próbował sobie przypomnieć, skąd go zna. (Hrabstwo? Stan?) Po chwili rozpoznał w nim niejakiego Wayne'a, poławiacza pstrągów.

- A, dzień dobry - odparł. Już miał dodać: „Idzie pan na ryby?”, lecz ugryzł się w język. Sprawiłby staremu ramolowi przyjemność, ale sam nie wiedząc czemu, wołał się z nikim tu nie spoufalać.

Czytał, robił notatki, sformułował zarys oferty. Choć oświetlenie w pokoju było stanowczo za słabe, pracował szybko i łatwo, bo nic go nie rozpraszało, i nagle zrobiła się pierwsza. Przy pracy zdążył strawić sute śniadanie i był głodny. Wrócił na główną ulicę miasteczka i przeszedł się najpierw jedną stroną handlowego odcinka obejmującego trzy przecznice, a wrócił drugą. Rozkoszował się słońcem, z przyjemnością oglądał zszarzałe na słonym wietrze kryte gontem sklepy i domy mieszkalne (wszystkie parterowe, żadnych neonów ani sieciowych barów z fast foodem). Mieli tu mądrą radę miasta z przemyślaną polityką. „Obiady u Edny” oferowały szansę na lunch. Zerknął najpierw przez witrynę. Sześć stolików, przy jednym młode małżeństwo z dzieckiem. Żadnych siwych ani łysych głów. Wszedł. Kobieta o posturze pnia drzewa przybranego w krótką sukienkę i fartuszek powitała go z drzwi prowadzących do kuchni:

- Pańska grupa jest w „Tańczących Piaskach” oznajmiła stanowczo.

- Nie jestem z żadną grupą - odparł równie stanowczo.

- O, przepraszam - mruknęła bynajmniej nie zmieszana. - Proszę usiąść, gdzie pan chce.

Usiadł. Kobieta zniknęła w kuchni.

Sola była za grubo panierowana i nasiąknięta olejem. Warren mógłby się założyć, że w „Tańczących Piaskach” podają delikatne niskokaloryczne filety.

Po lunchu powalał się po miasteczku i odzyskał dobry humor, a także świadomość, że jest w dobrym humorze. Oglądał wystawy sklepików z pamiątkami. Wróci tu, żeby kupić dla Debi popielniczkę ozdobioną imitacją zamku z piasku. Wciąż paliła, choć rzecz jasna nie w pracy. Przez chwilę bawił się myślą, by zostać właścicielem jednego z tych małych domków na wschód od głównej ulicy, które stały błogo i sennie w zarośniętych ogródkach, wystawiając do słońca srebrzyste dachy. Klatsand nie miało tradycji ani starych fortun jak Gearhart, nie mogło się poszczycić prestiżową lokalizacją jak Salishan, lecz emanowało czymś w rodzaju spokojnej elegancji. Mając dom w Klatsand, wyróżniałby się z tłumu, sygnalizował swoją niezależność. To mój znak firmowy, pomyślał. Niezależność. Nie chadzam z grupą.

Idąc bez celu, musiał przeciąć dziwny, podmokły teren i przejść skrajem ciemnego lasu o ciężko obwisłych gałęziach, żeby dostać się z powrotem na wydmy. Tu, na południe od centrum miasteczka, były wyższe. Wspiął się na nie, nabierając tonę piasku do butów, i stanął nad szeroką plażą, już znajomą: wielka urwista skała u południowego krańca, zielony wysoki cypel na północnym, a pomiędzy nimi piaszczysta połać upstrzona seniorami w szortach i strojach kąpielowych, opalającymi się, brodzącymi w wodzie, grającymi w siatkówkę.

Znalazł sobie zagłębienie, z którego widać było ocean, lecz nie plażę. Dochodzące z daleka okrzyki i śmiechy mieszały się z niskim pomrukiem oceanu. W dołku było niewiarygodnie gorąco, choć omiatał go morski wiatr, kiwając pierzastymi chorągiewkami traw. Po dwudziestu minutach Warren zdał sobie sprawę, że potrzebny mu albo krem z filtrem, albo kapelusz.

Spacerując po mieście, zauważył niewielką aptekę przy ulicy Świerkowej. Pokonał z powrotem wydmy i ruszył szeroką piaszczystą drogą pomiędzy nimi a rzędem domów. Najlepsza byłaby posesja z widokiem na ocean, ale nawet w takim miejscu należało się spodziewać dość wygórowanej ceny. Równocześnie jednak byłaby to dobra inwestycja - teraz, gdy Kalifornijczycy wykupywali pacyficzne wybrzeże na południu. Właściwie niektóre z tych małych domków po przeciwnej stronie głównej ulicy podobały mu się bardziej, ale wydawały się zaprojektowane dla emerytów, a to poważna wada.

Prócz leków w aptece sprzedawano też upominki, pocztówki i przeróżne badziewie. Za to dziewczyna za kontuarem była piękna - ruda, ciemnooka, świetlista! Nie odzywała się, ale oglądając kolekcję ohydnych frotowych czapek wiszących obok drzwi i czytając opisy poszczególnych kremów z filtrem, Warren przez cały czas czuł jej obecność. Kiedy w końcu przyniósł wybrane rzeczy do kasy, uśmiechnęła się do niego, a on uśmiechnął się do niej. Miała na piersi czarny plastikowy identyfikator z wytłoczonym złotymi literami imieniem: Irma.

- Wasza wycieczka doskonale się tu bawi - powiedziała. - Aż serce rośnie!

Serce Warrena zapadło się o cal, albo nawet więcej, w głąb piersi.

- Pracuję w Salem - powiedział. Zabrzmiało to dziwnie. Dodał: - To bardzo miłe miasteczko.

Dziewczyna zorientowała się, że czymś go dotknęła, ale nie zrozumiała czym.

- Spokojne - powiedziała. - I cztery, to razem dziesięć. Życzę panu udanego wypoczynku. I niech się pan nie forsuje w tym upale.

„Mam dopiero pięćdziesiąt dwa lata!” - zakrzyknął w duchu Warren.

Trzymał w ręku krem przeciwsłoneczny w małej papierowej torebce, ale nie mógł się zmusić do powrotu na plażę, gdzie hasali seniorzy. Skręcił na północ w ulicę Lewisa, a potem Jodłową do ulicy Clarka. Był tam niewielki park, który dostrzegł po lunchu. Siadł na ławce i nasmaruje sobie czoło i nos.

Tak też zrobił. Rozsiadł się w pstrokatym cieniu pod wielką ciemną kopułą drzewa. Był niesłychanie zmęczony, wręcz senny. Musiał odpocząć, w końcu po to tu właśnie przyjechał. Mewy skrzeczały, wrony krakały, dziecięce głosy nawoływały się na skąpanych w słońcu zachwaszczonych trawnikach miejskiego parku w Klatsand. Ponad wałem purpurowo kwitnących różaneczników ukazało się lecące w powietrzu dziecko. Po chwili to samo dziecko przeleciało jeszcze raz w tym samym kierunku. Fruwające dziecko to w gruncie rzeczy bardzo ładny widok i zgrzany, otępiaty Warren przyjął go jako coś normalnego.

Po chwili nad różaneczniki wzbilo się inne dziecko, większe, ubrane w sportowy sweter w białe, czerwone i niebieskie paski. Poszybowało w górę i wdzięcznie niczym jaskółka spikowało ku ziemi.

Warren westchnął lekko i wstał. Nie spieszył się. Trzecie dziecko mignęło nad krzewem. Wszedł na trawnik i okrążył rozrośniętą kępę.

Miasto Klatsand zbudowało dla swojej młodzieży tor do jazdy na deskorolkach - betonowy owal ze stromo nachyloną ścianą w kształcie cyfry 3, na której dzieciarnia wyfruwała w powietrze z cichym jękiem i klapaniem kółek, jedno za drugim, jedno za

drugim, jak jaskółki z urwiska.

Warren przyglądał im się z tępym, skupionym zaabsorbowaniem człowieka, który walczy ze snem. Były śliczne i prawie zupełnie bezgłośnie. Wzlatywały i spadały, obiegały trawnik z deską pod pachą i czekały w kolejce, żeby znów wzlecieć.

Niedaleko Warrena przystanął jakiś chłopiec, także z deską pod pachą, lecz nie kwapił się stanąć w ogonku.

- Wygląda to na dobrą zabawę - rzeki Warren cicho, poważnie.

- Dzieciaki! - prychnął chłopak.

Był, jak Warren się zorientował, o parę lat starszy niż tamte. Już nastolatek.

- Niech się bawią, póki mogą. Potem nasza kolej - rzucił pobłaźliwie. Nie patrzył na Warrena. Nie musiał. I nie dodał nic więcej. W cieniu różaneczników siedziało kilku chłopców w jego wieku, czekając, aż będą mogli zająć tor.

Warren stał i patrzył na latające dzieci, aż upał zaczął mu pulsować w skroniach. Potem wrócił do motelu. Pani Brinnesi krzątała się przed recepcją, wrywając kielkujące chwasty ze skrzynek z nagietkami.

- Za gorąco na plaży dla pana, co? - odezwała się z tym swoim mściwym uśmiechem, choć musiała przecież widzieć, że nie szedł od strony plaży.

- O, tak - mruknął w odpowiedzi.

Miła kobieta, która wczoraj zapraszała go do stolika, wchodziła właśnie do numeru 16. Uśmiechnęła się do niego:

- Witam! Dobrze się pan bawi?

- Tak - skapitulował Warren. - A pani?

- O, bardzo! Ale na plaży jest teraz za gorąco.

- Byłem w parku. Przyglądałem się dzieciom jeżdżącym na deskorolkach.

- Tak, te deskorolki są okropne, prawda? - ożywiła się przekonana, że Warren się z nią zgadza. - Zanim się człowiek obejrzy, ktoś wjeżdża na niego z tyłu i dosłownie zbija z nóg! Powinno się tego zakazać.

- Tak - powtórzył Warren. - No cóż... - otworzył swoje drzwi. - Miłego dnia.

- Panu także. I niech się pan nie forsuje w tym upale.

WEWNĄTRZ I NA ZEWNĄTRZ

Z płata gliny ćwierćcalowej grubości Jilly wycięła podłużne ściany boczne oraz krótsze, szpiczaste na front i tył. Faktura sztywnej, ziarnistej gliny przypominała masło, do którego wtarto cukier, albo gotowany ozór. Nóż garncarski wydawał się maleńki w grubych palcach Jilly, poruszał się jednak sprawnie, pozostawiając równiutkie cięcia i czyste kąty proste. Praca wymagała skupienia i dokładności, ale nie była trudna.

Ostrzem kuchennego nożyka wycięła okno nisko na jednej z bocznych ścian, mniejsze okienko wysoko na ścianie tylnej i drzwi frontowe. Potem zaczęła szczypać i ugniatać kawał gliny, przygotowując chropawą podstawę, na której kolejno umocowała ściany, starannie ściskając w narożach zwilżone mokrym palcem krawędzie. Frontowa ściana, ostatnia, idealnie wpasowała się pomiędzy boczne. Na umazanej gliną obrotowej drewnianej tacy stał teraz niezadaszony jeszcze domek długi na trzy cale, a szeroki na dwa.

Dziewczynki zostawiły w szufladzie biurka trochę tłustej gliny do modelowania. Jilly lepiała z niej małe zwierzątka i groteskowe głowy, a potem skrupulatnie zgniatała wszystko na powrót w kulę. Wstyd jej było, że bawi się jak dziecko; zresztą w gruncie rzeczy nie warto ich było trzymać, wychodziły niezgrabne, dziecinne. Nie znosiła jednak szyć, a czytania miała już dosyć. Wciąż przychodziły jej na myśl maleńkie domki, które widziała kiedyś w Chinatown, zrobione z brunatnej gliny, misterne, delikatne.

Któregoś dnia Kaye Forrest przyszła posiedzieć z mamą, więc po zrobieniu zakupów u Hambletona Jilly poszła do Billa Weislera z pytaniem, jaką glinę ma kupić do amatorskich prób. Bill dał jej potwornie ciężki papierowy worek pełen suchego proszku, a ponadto dwa noże garncarskie i starą obrotową podstawkę; obiecał też, że wypali wszystkie jej wyroby, o ile tylko wydrąży grubsze bryły, żeby ich nie rozsadziło w wysokiej temperaturze. Chciała już wyjść, ale Bill rozgadał się jak katarynka. Dowiedziała się, jak miesić glinę i nadawać jej pożądaną konsystencję, co można do niej dodać, że na noc trzeba nakrywać tworzywo i zaczęte produkty mokrą szmatą i tak dalej. Kiedy wreszcie udało jej się wsiąść do samochodu, wołał jeszcze, że jeśli chce spróbować toczyć na jego kole, może przyjść, kiedy zechce, byle po południu. Słyszając to, Jilly serdecznie pożałowała, że już nie pracuje. Wzbudziłaby w biurze huczną wesołość, opowiadając, jak to Bill Weisler proponował jej toczenie na swoim kole.

Matce taki żarcik by się nie spodobał. Mężczyzna mógł sobie pozwalać na dwuznaczne uwagi, lecz porządna kobieta nie miała prawa ich rozumieć.

Myśl o jakiegokolwiek bliższej zażyłości ze starym Billem Weislerem była w gruncie rzeczy zbyt odrażająca, aby mogła być naprawdę śmieszna, ale Jilly z zaciekawieniem obejrzała wnętrze jego szopy, niezliczone półki zastawione rzędami mis, dzbanów i donic, które sprzedawał w Portland. Niektóre były jeszcze surowe, inne wypalone i ozdobione barwną polewą. Wiedziała, że Bill utrzymuje się z garncarstwa, ale dotąd nie powiązała tego z faktem, że dzień w dzień, a pewnie i wieczorami, tkwi w tej szopie, żmudnie mieszając i lepiąc.

Okręciła powoli tacę, żeby sprawdzić, czy ściany stoją pionowo i dobrze się ze sobą łączą. Z zadowoleniem zajrzała do wnętrza przez niewielki otwór drzwiowy.

Obróciła rozwałkowany płat gliny na drugą stronę, odmierzyła na nim długość domu i dodała pół cala na okapy, oszacowała szerokość z pewnym marginesem błędu, wytyczyła prostokąt dachu i wycięła go starannie. Zaznaczyła wzdłuż środka linię kalenicy, a potem starym widelcem i paznokciem posiekała gładką powierzchnię rysami, które miały wyglądać jak słomiane poszycie. Podniosła dach na szpachelce i ułożyła go na ścianach. Pasował, tylko okapy były trochę za długie.

Zdjęła dach, przycięła brzegi, podziobała je widelcem, żeby poprawić efekt, a potem zwilżyła górne krawędzie ścian, nałożyła na nie trochę rzadszej glinki, żeby zapieczętować miejsca styku, i ułożyła dach z powrotem, przyciskając go lekko do ścian. Teraz światło wpadało do domku tylko przez otwory. Miał wnętrze - mroczne, trochę zaświatowe miejsce, do którego mogła zajrzeć swoim olbrzymim okiem, ale nie mogła wejść, choć to ona je wzniosła.

Zaczęła ciąć gliniane słupki na framugi drzwi i okien. Szło sprawnie i szybko, bo już miała wprawę. Jej pierwszy dom, przysadzisty i brzydki, suszył się na biblioteczce, obok niego trzy kolejne ulepszone wersje - maleńka wioska jakiegoś bardzo prymitywnego plemienia. Ten, nad którym właśnie pracowała, zapowiadał się znacznie lepiej. Był prawie tak ładny jak domki z Chinatown.

Znów przyszła jej do głowy nawracająca cyklicznie myśl, jak trudno - w każdym razie jej sprawiało to trudność - uświadomić sobie, że większość ludzkich działań jest jednorazowa. Robisz to raz na zawsze. Dany czyn nie jest ćwiczeniem czegoś, co będzie się zdarzać raz po raz, lecz zdarza się i staje faktem dokonanym. Człowiek nie ma okazji nabrać wprawy.

Oczywiście jest całe mnóstwo czynności, które powtarza się codziennie, takich jak sprzątanie domu, praca biurowa czy garnki starego Billa, ale do nich człowiek nie przywiązuje wagi, nawet jeśli tylko to umie robić dobrze. Oszczędza się dla spraw naprawdę

istotnych, a gdy przyjdzie ich czas, jest nieprzygotowany. Tak jak wtedy, gdy grupa pracownic biurowych zaczęła planować cykl spotkań, na których miało się mówić o roli kobiet we władzach miasta. Spontaniczna narada okazała się niesłychanie twórczą burzą mózgów, panie mówiły rzeczy, których dotąd nie sformułowały nawet w myśli, rodziły się nowe idee i nikt na nikogo nie wywierał presji. A potem szefowa administracji Jetza zabroniła swoim podwładnym brać w tym udział i grupa nigdy więcej się nie zebrała. Dopiero się przygotowywały do prawdziwej dyskusji, a tymczasem ona już przeszła w sferę faktów dokonanych i było po wszystkim. Dlaczego tak trudno jest dostrzec, że coś się dzieje, do czasu, aż się stanie? Choćby małżeństwo. Ledwie Jilly dojrzała na tyle, by pojąć, że to, co łączy ją z Davidem, jest właśnie małżeństwem, gdy on już się nim znużył. Może dlatego, że sam też to sobie uświadomił? Kto wie? Albo wycieczka do Chinatown. Nie podróż do Chin - o takiej wiadomo, że będzie jedyna w życiu - lecz zwyczajne zakupy w chińskiej dzielnicy. Widzisz maleńkie gliniane domki, lecz idziesz dalej; myślisz sobie: „Kupię następnym razem, może nawet kilka”. Potem mijają lata i nawet gdybyś wróciła, pewnie by ich tam nie było. Może w ogóle nie byłoby tego sklepu.

To, co właśnie robiła, było zapewne głupie, ale przynajmniej zdążyła nabrać wprawy i tym razem robiła to dobrze.

Przytwierdziła maleńką futrynę drzwiową, kiedy przez pokój przeszła matka. Jilly obejrzała się i powiedziała:

- Jak się masz?

Nie miała zbytniej ochoty obracać się ani odzywać, ale nie była zajęta żadną pracą - bawiła się tylko, lepiała domek zabawkę. Zresztą każda jej czynność była tylko zabawą w porównaniu z zadaniem wykonywanym przez matkę. Właśnie pokonywała drogę ze swojej sypialni przez łazienkę i pokój Jilly do oszklonej werandy na tyłach domu. Miała na sobie kimono, które Jilly kupiła jej w sklepie z używaną odzieżą w Portland, haftowane jedwabiem w barwach jadeitu, moreli i złota. Przepyszna tkanina okrywała wychudzenie i guzy. Matka zatrzymała się w drzwiach, mówiąc:

- Słońce przeszło teraz na tę stronę.

Jilly pochyliła się nad stolikiem i wydała optymistyczny pomruk. Człapanie przeniosło się dalej, na werandę. Tam matka będzie się bawić w czytanie gazety, którą Jilly zostawiła dla niej przy fotelu pod oknem. Będzie udawać, że wygrzewa się w słońcu. Równocześnie jednak będzie wykonywać znacznie ważniejszą pracę: niezmordowanie kroczyć ku śmierci.

Od ostatniej kuracji nie wychodziła na dwór. Nie gotowała, nie sprzątała, nie

szydełkowała i nie grała w brydża. Zrzuciła wszystkie czynności, w których tak długo nabierała wprawy. W chodzeniu wprawę miała jeszcze dłuższą i na razie z niego nie zrezygnowała. Mogła o własnych siłach przejść korytarzykiem do łazienki i nawet całą drogę na werandę. Ojciec Jilly oszklili wychodzący na południe tylny ganek, kiedy pięć lat temu kupił ten dom z myślą, że spędzą w nim z żoną starość. Kazał go od nowa zadaszyć, wprawić porządne okna, kupił żaluzje i rolety, „żeby matce nie wiało, kiedy będzie się grzać w słońku”. Potem poszedł do ogrodu, wziął do ręki motykę, upuścił ją z jękiem, rozrzucił szeroko ramiona i umarł na miejscu bez żadnej praktyki, żadnej wprawy.

Ogród, którego ojciec nie zdążył uporządkować, pozostał dziki. Kiedy Ernest przyjeżdżał z dziewczynkami na Święto Dziękczynienia, przycinał hortensje i strzygł laurowy żywopłot. Jilly czasem poświęcała podczas weekendu godzinę na pielęgnację róż; zawsze sprawiało jej to przyjemność i zawsze była pewna, że w następny weekend zrobi więcej. Odkąd sprowadziła się tu na stałe, rzadko w ogóle wychodziła do ogrodu, bo matka nigdy tego nie robiła. Ani razu nie była na plaży, nawet kiedy była jeszcze zdrowa. Nie lubiła wiatru. Poza tym na dworze były owady.

Zeszłej wiosny, kiedy rak był dopiero w węzłach chłonnych, któryś z lekarzy polecił jej książkę o terapii za pomocą wyobraźni. Jilly kupiła tę książkę i czytała ją matce na głos. Autor zachęcał, by wyobrażać sobie armie Pomocnych Komórek i Walecznych Komórek, toczących zwycięską wojnę z chorobą.

- Myślałam o tej armii, jak mówili - powiedziała rano matka cichym, płaskim, beznamiętnym głosem. - Było ich całe mnóstwo. Skrzydlatych. I jakby przezroczystych.

- Jak anioły?

- Nie. Jak te skrzydlate mrówki, wiesz, te białawe. Oblazły mnie całą. Od środka.

*

Z początku radio grało jej ulubioną muzykę, Williego i Dona i Emmylou, ale potem puścili cztery albo pięć z rzędu piosenek o ciele, oczywiście gorącym i czułym, no i naturalnie o miłości, wymawianej z tym samym lubieżnym przydechem. Kocham twoje ciało, powtarzał gardłowo piosenkarz, aż w końcu Kaye wyłączyła radio. Wszyscy mówią o miłości mieli na myśli seks, w porządku, ostatecznie i tak nikt nie wie, czym dokładnie jest miłość. Ale kiedy przedmiot miłości określa się identycznym słowem jak zwłoki, zadajesz sobie pytanie, czy różnica między żywym a martwym ciałem jest naprawdę aż tak istotna.

Wyszorowała blat do czysta gąbką, usunęła odpadki, wytarła zlew, wypłukała myjki, obrzuciła kuchnię baczynym spojrzeniem, złożyła na stosik rozparcelowane gazety, które Jack czytał przy śniadaniu, i zaniósła je na stolik w saloniku. Potem poszła do pustego pokoju.

Gościnnego.

Okna wychodziły na wschód i były pełne słońca. Wyraźnie było widać brudne, słonawe zacieki na szybach, pozostałe po zimie. Mogłabym umyć okna, pomyślała Kaye i natychmiast odłożyła ulaskawienie, czyniąc z niego nagrodę. Potem. Okna umyje na końcu.

W małym jasnym pokoju nie było wcale brudno, nawet kurzu zebrało się niewiele i wszystko leżało na swoim miejscu. Ale minęło osiemnaście miesięcy. Nadszedł czas, by tu posprzątać jak w pozostałej części domu. Dwa miesiące temu ścierała kurze. Co najmniej dwa miesiące. To było około Bożego Narodzenia? Nie, wcześniej. A zatem cztery miesiące. Czas najwyższy. Sprawy mają swoje pory. Jeśli siostrzenica Jacka rzeczywiście przyjedzie na Wielkanoc, dostanie ten pokój, gościnny. To będzie jej pokój. Pokój Karen. Tak być powinno, żeby ludzie mieszkali w pokojach, opuszczali je i mogli do nich wrócić. Żeby pokoje czekały w tym samym miejscu, nazywane pokojem Sary albo pokojem Karen. To musi mieć związek z miłością. Z tym, dlaczego tak ją denerwuje, kiedy w radiu śpiewają o miłości, jakby wiedzieli, czym jest; jak gdyby miłość dawała się zważyć w słowach.

Jack o tym wiedział. Nigdy nie mówił: „kocham cię”, chyba że musiał i wtedy oboje byli zażenowani. Kaye nigdy nie wypowiedziała tych słów. W dniu świętego Walentego wkładała mu pod talerz przy obiedzie czerwone papierowe serca, wycinanki z serwetek, kartonowe amorki - to było „kocham cię”. I tak było dobrze. W porządku. Ale była też inna strona, ciemna, w której w ogóle nie istniały słowa. Była tym pokojem i nią w tym pokoju, o ciężkości żywego ciała pod nieobecność martwego. O tym w radiu nie śpiewali.

Trzeba by przewietrzyć łóżko. Stało zaścielone przez całą zimę i zawilgło. Odwróciła się plecami do półek, które były najgorsze, zrzuciła z łóżka koce inne koce, tamtych pozbyła się z domu - zwinęła prześcieradło, zdjęła powłoczkę materaca i odsunęła łóżko nieco od ściany, żeby padało na nie słońce. Wyniosła pościel do kosza z brudną bielizną na tylnym ganku, a poszwę materaca rozwiesiła na sznurze. Kiedy wróciła do pokoju, wyglądał jak numer w motelu w porze sprzątanania, rozłożony na czynniki pierwsze, wypatroszony, nieznajomy. Nie czekała dłużej. Od razu podeszła do półek.

Mocno, stanowczo chwyciła zabawki Sary i zestawiała je na biurko, żeby wytrzeć kurz. Właściwie to nie były prawdziwe zabawki. Dwa plastikowe konie, rumak pełnej krwi i appaloosa. Kiedy dziewczynki miały siedem, osiem lat, Jannine przynosiła własne koniki i bawiły się razem na wydmach przez całe popołudnie. Sara je zatrzymała, bo były ładne. Nie służyły już do zabawy, raczej jako bibeloty, do których miała sentyment. Miały prawo tu zostać. Tak było słusznie. Nie wolno przechowywać rzeczy miernych, przeciętnych, zwykłych zabawek lub przedmiotów codziennego użytku - potrzebnych, lecz nie kochanych.

Jack chciał zatrzymać wszystko. Nigdy jej nie wybaczył, że rozdała zabawki, odzież, koce. Mimo iż wiedział, że nie mogła ich zatrzymać. Nigdy z nią o tym nie mówił i pewnie nawet o tym nie myślał, ale i tak jej nie przebaczył. Ludzie nie wybaczą innym tego, że zrobili to, co było konieczne, a czego sami zrobić nie byli w stanie. W telewizji widziała indyjskich pariasów, chudych, drobnych ciemnoskórych ludzi, którzy zajmowali się praniem brudnej odzieży, wywozem śmieci i zwłok. Nikt ich nie dotykał. Jeśli babrasz się w brudach, sam stajesz się brudny. To ma sens. Jack nie chciał, by cokolwiek w tym pokoju zostało potraktowane jak śmieć, wyrzucone. Ale trzeba to było zrobić. Ktoś musiał.

O, ten prześliczny mały tygrys, zapomniała o nim. Zrobiony z czerwonego, złotego i czarnego jedwabiu upstrzonego małutkimi lustrzanymi cekinami. Pochodził skądś z Indii, może dlatego pomyślała o Indiach? Jannine dała go Sarze na ostatnie Boże Narodzenie. Głupawy koci uśmiech i lustreczka na pręgowanych bokach. Odłożyła go na miejsce. Obok podpórki do książek w kształcie statku pod pełnymi żaglami. Jack go wyrzeźbił, jeszcze zanim się pobrali. Robił kiedyś piękne rzeczy, zdobione ażurem i intarsją. Może kiedy przejdzie na emeryturę, wróci do tworzenia tych cudów. Może wtedy będzie go mogła poprosić, żeby zrobił tę szkatułkę, którą wymyślił przed laty, jeszcze w tamtym domu. Na pewno ma gdzieś ten projekt, nigdy niczego nie wyrzucał. Szkatułka z wieczkiem intarsjowanym w morskie stwory, podtrzymywana w czterech rogach przez cztery morskie koniki. W pierwszej chwili człowiek widział na rysunku pogrubiony muszlowy ornament i krzywe nóżki, dopiero potem dostrzegął, że to koniki stoją na podwiniętych ogonkach. Wciąż myśląc o szkatułce, odkurzyła książki, ustawiła je z powrotem i podparła drewnianym statkiem, i nareszcie mogła przejść do łatwiejszych obszarów pokoju.

Słońce świeciło prosto w okna, tak jaskrawo, że przed oczami zaczęły jej latać mroczki i poczuła dreszcze, jakby pokój był zimny, ciemny i ciasny, bardzo ciasny. Zadzwoił telefon w kuchni. Pobiegła odebrać. Uciekła.

- Muszę jechać do Astorii - powiedział Jack.

Jego szorstki, chrapliwy głos zdawał się fizycznym przedłużeniem jego ciała, mięsistego, twardego, mocnego i bezbronnego. - Przysłali mi nie taką izolację jak trzeba. Za każdym razem coś spieprzą.

Sarkał, ale za każdym razem im wybaczał. Nigdy nie oczekiwał, że cokolwiek pójdzie gładko. Sam starał się tylko prześliznąć poprzez rafy, przycupnąć, jak mawiał, żeby gówno przeleciało nad głową. Lekcja z Wietnamu.

- Mam coś kupić?

- Chyba nie.

- Nie będzie mnie na lunchu.

- Zjedz coś w mieście.

- Jasne.

- Czekaj. Słuchaj, gdzie jest drabina?

- W warsztacie.

- Oj, szkoda.

- Przywiozę ją wieczorem. Wziąłem ją do reperacji gzymsów na domu Martina. Na co ci jest potrzebna?

- Chcę umyć okna.

- Od zewnątrz? Zostaw, ja to zrobię.

- Przynajmniej te, których dosięgnę.

- No dobrze. To do zobaczenia.

- Uważaj na siebie.

Postanowiła wobec tego zjeść lunch wcześniej, a potem odwiedzić Joyce Dant. Zadzwoiła do Jilly. Jej głos także był pełen jej ciała, ciepły, pulchny i miękki, odrobinę zdyszany, jakby była podlotkiem, a zarazem trochę speszony, z nutką rezerwy.

- O, witaj, Kaye! - powiedziała serdecznie, a Kaye uczuła, że się narzuca.

- Wpadnę dziś po południu posiedzieć z Joyce. Jeśli masz jakieś sprawy do załatwienia, dzień jest śliczny, w sam raz na spacer.

- To bardzo miło z twojej strony. Właściwie niczego nie potrzebujemy...

- Wobec tego przyjdę i po prostu posiedzę.

Czuła opór Jilly. Ty sama też się opierałaś, miałaś uczucie, że musisz być na miejscu, że właśnie ty musisz przy niej być. Ktoś musi się tak czuć. Zawsze jest ktoś, kto się tak czuje.

- Będę około drugiej - powiedziała i odłożyła słuchawkę. Wiedziała, że Jilly nie będzie się z nią sprzeczać. W takich sprawach Kaye była autorytetem.

*

Jilly wycinała słupki do podparcia zadanej werandy, którą zdecydowała się dobudować od frontu, kiedy z werandy dobiegł głos matki:

- W słońcu jest bardzo przyjemnie!

- Nie wątpię! - zawołała w odpowiedzi Jilly, ale nie wstała z miejsca. Nie miała ochoty iść do matki.

To była jej godzina. Jedna jedyna w ciągu całego dnia. Wróciła do krajania cieniutkich słupków z gliny. Przez okrągłą dobę była na każde zawołanie, robiła co trzeba, ale tę jedną godzinę odłączyła od reszty, zachowała dla siebie, żeby lepić głupie imitacje chińskich

domków z gliny. Cała reszta jej czasu należała do matki; to nie było uczciwe, że próbowała zawłaszczyć i tę godzinę. To był czas Jilly, czas zabawy. Gruba Jilly klepie sobie placki z błota.

Matka znów się odezwała, komentując półgłosem artykuł w gazecie. Jilly nie zapytała: „Słucham?” Udawała, że nie słyszy. W rzeczywistości nasłuchiwała przez cały czas, nie była w stanie przestać. Czasem zdarzało jej się zasnąć kamiennym snem; budziła się zdumiona i zgorziona, że ona śpi, wagaruje, gdy tymczasem matka mozoli się nad swym zadaniem, które miały jej ponoć ułatwić leki. Czy powoli znaczy to samo co łatwo? Ale w tej chwili matka nie potrzebowała jej pomocy. Była tylko zazdrosna.

Zaszeleściły przewracane strony gazety. Jilly z ulgą poprawiła się na niewygodnym krześle i wróciła do kształtowania dachu werandy. Miał on być podparty grubszą beleczką biegnącą między kolumnkami. Kiedy udało się go zamocować, wykończona weranda nadała domkowi stylowy urok. Uchylone drzwi zapraszały do wnętrza, wabiąc tajemnicą. Gdyby wszakże człowiek miał cal wzrostu i rzeczywiście mógł wejść do środka, znalazłby się w pustym pomieszczeniu z podłogą, nagimi ścianami i stropem z mokrej, zimnej gliny. Makabra. Tylko z zewnątrz wnętrze wydaje się ciekawe i piękne, pomyślała Jilly, obracając podstawkę, i właśnie dlatego...

Matka znów się odezwała. Nie rozmawiała tym razem z gazetą, ton był inny. Siedząc sama w zalanym słońcem pokoju, nie w pełni przytomna, ponieważ coraz wyższe dawki leku przyćmiewały świadomość, rozmyślała na głos. Jej mózg pracował nad jakimś pytaniem lub problemem, coś rozgryzał. Powiedziała jeszcze kilka słów szeptem, a potem wyraźnie suchym, apatycznym głosem:

- No dobrze. Trzeba się z tym pogodzić.

Jilly domyśliła się, jak brzmiało pytanie i odpowiedź. Joyce wołała, że na werandzie jest przyjemnie. Dlaczego więc córka nie przyszła mimo wyraźnej zachęty? Bo Joyce nie była już władna zapraszać. Nie mogła powiedzieć po prostu: „Wejź!”; mogła tylko żądać: „Chodź tu!” albo błagać: „Przyjdź do mnie!” A córka nie chciała przyjść. Trzeba się było z tym pogodzić.

Nieprawda. Córka chciała przyjść, lecz nie mogła. Nie potrafiła wejść do jej pokoju. Mogła tylko zaglądać do niego z zewnątrz.

Postawiła skończony domek na półce, żeby wysechł. Zmoczyła ubłoconą ścierkę i okryła nią pecynę niewyrobionej gliny. Ręce miała oblepione gliną, pokryte szarobiałym nalotem; poszła je umyć. Zadzwonił telefon. Idąc do aparatu, zawołała do matki:

- Zaraz do ciebie przyjdę!

*

Joyce chciała obejrzeć popołudniowy serial. Opowiedziała Kaye, o czym ma być odcinek, i ledwie się zaczął, usnęła. Kaye robiła na drutach. Popołudniowe słońce świeciło w okna sypialni, ale rolety były szczelnie zaciągnięte, nie dopuszczały światła ani morza. Kaye zastanawiała się w duchu, czy chciałaby umierać w pokoju z widokiem na morze. Ciekawe, czy Joyce wygląda przez to okno.

Joyce leżała w łóżku jak popsuta kukiełka, z twarzą półobróconą do ściany.

Kaye słabo ją знаła. Sprowadzili się z mężem pięć lat temu; on umarł już w pierwszym roku. Joyce została, cicha, zamknięta w sobie. Pochodziła skądś ze wschodu, zdaje się z Ohio. Miała w sobie gniew, urazę do świata, która przybierała na ogół postać wyniosłego sarkazmu, co było całkiem zabawne. Nosila brązowe i granatowe spódnice oraz rdzawe pulowery. To na pewno Jilly kupiła jej ten olśniewający szlafrok, który leżał na łóżku. Jilly była dobrą córką, w początkowym okresie wdowieństwa Joyce przyjeżdżała tu z Portland na każdy weekend, a teraz sprowadziła się na stałe. Pracowała w magistracie, musiała więc złożyć wymówienie albo wziąć bezpłatny urlop; Kaye niezręcznie było o to pytać. Jilly była znacznie serdeczniejsza od matki, ale jej także daleko było do wylewności. Na propozycję, żeby przespacerowała się po plaży przy tak pięknej pogodzie, odparła, że wolałaby się zdrzemnąć w swoim pokoju przy zaciągniętych żaluzjach. Tkwiły więc wszystkie trzy w szczelnie zamkniętym domu przy zasłoniętych oknach, gdy plaża i morze kąpały się w kwietniowym słońcu, a wiatr był ciepły jak w lecie.

- Gdzie Jilly?

- Poszła się zdrzemnąć - odpowiedziała szeptem Kaye, nie chcąc wrywać chorej z półsnu.

- Nigdy do mnie nie przychodzi.

- No co też pani mówi! - odparła Kaye kojącym, pobłażliwym tonem.

Powieki Joyce zamknęły się z powrotem. Czy kochała córkę? Kaye przyglądała się kościstej opuchniętej dłoni leżącej na kocu. Czy można kochać ludzi, kiedy się umiera?

„Po co mnie urodziłaś? Do tego?”

Ale jej córka miała tylko czternaście lat.

W holu dały się słyszeć ciężkie kroki Jilly zmierzające do łazienki. Po chwili stanęła w progu, zarumieniona jeszcze ze snu. Duża różowozłota kobieta, delikatna i miękka.

- Napijecie się herbaty? - spytała głośno.

Joyce nie odpowiedziała. Przypuszczalnie na jej rytm snu i czuwania niewielki wpływ miało to, co działo się poza jej ciałem. Tym ciałem - zepsutą kukiełką okrytą kocem. „Kość i

szmatka, włosów wiecheć” - tak śpiewał kiedyś ojciec Kaye, drocząc się z mamą, ilekroć kupiła sobie nową sukienkę albo wróciła od fryzjera z podbarwioną trwałą ondulacją. Tym w gruncie rzeczy byli wszyscy, kością i szmatką albo garścią prochu roztopioną w morzu. Bezbronne, miękkie ciała. Czy w ogóle jest o czym śpiewać? Farbujesz i kręcisz włosy, żeby choć dzięki nim wyglądać ładniej.

Jilly wróciła z tacą. Joyce ocknęła się ze snu. Wypiły razem herbatę.

- Pora wracać do domu i brać się do okien stwierdziła Kaye. - Nie mogę tego dłużej odkładać.

- Kiedy zaświeci słońce, widać, jakie są brudne - przytaknęła Jilly.

- Okropnie. Większości i tak nie dosięgnę z zewnątrz, dopóki Jack nie odda mi drabiny, Ale chcę je umyć w środku i dokończyć sprzątanie w pokoju Sary. Siostrzenica Jacka spędzi z nami tydzień wielkanocny, mówiłam wam o niej? Karen Jones. Chodzi do szkoły pielęgniarstwa w mieście.

- Gazeta jest lepsza niż papierowe ręczniki. Do okien. Coś musi być w farbie drukarskiej, że lepiej wchłania. - Joyce przekręciła się w łóżku i odetchnęła z wysiłkiem. Spojrzała prosto na Kaye, jedno krótkie spojrzenie pełne nienawiści. „Nie przychodź tu z tą twoją zmarłą córką”, mówiło.

- Lecę. - Poderwała się. - Potrzebujecie czegoś? Jack bywa w Astorii dwa albo nawet trzy razy na tydzień, może wam coś kupić albo załatwić.

- Nie, niczego nam nie trzeba - odpowiedziała Jilly.

Odprowadziła ją do wyjścia i przystanęły na chwilę, Kaye na ganku, Jilly w sieni, przytrzymując otwarte drzwi. Owionęło je lekkie, słodkie, lotne powietrze. Jilly miała czarne obwódki za paznokciami, jakby ryła nimi w glinie. Kaye dotknęła przelotnie jej ramienia. Nie uścisnęła jej, bo Jilly nie oczekiwała uścisku, a to utrudnia każdy gest, nawet matce, która chciałaby objąć córkę.

- Nie ma lekko, Jilly - westchnęła.

- Ano nie ma - uśmiechnęła się Jilly, zawracając do środka.

BILL WEISLER

Rzadko schodził na plażę. Była zbyt rozległa, za długa i za płaska, a morze zawsze go niepokoiło. Dlaczego fale niezmiennie bieżą w stronę lądu, nawet jeśli wiatr jest przeciwny? Wydawałoby się, że powinny uderzać o brzeg tylko w czasie przyływu, a przy odpływie - odbiegać, lecz choćby był odpływ, a wiatr wiał ze wschodu, one ślepo waliły wprost na brzeg, gdzie kończyły żywot. Ich szum, stanowiący tło wszystkich innych dźwięków w życiu Billa, był właściwie kojący, ale widok tego bezsensownego szturmu działał mu na nerwy. A wielka połać piasku i wody napawała lękiem. To nie była jeszcze panika, której bał się tak bardzo, że jego umysł ledwie ośmielał się jej dotknąć dwoma palcami dwóch słów - czarna dziura - a tylko niewytłumaczalne poczucie, że się kurczy, staje nieważki w otchłannej pustce wiatru. Bawiąc się w dzieciństwie na plaży, bardzo lubił to uczucie niknięcia, wyzwalania się, ale to było dawno. Poza tym wówczas plaża bywała pusta. Teraz zawsze ktoś się po niej snuł. Miasto było pełne letników nawet w dni powszednie. Nie sposób było ich uniknąć. Pozostawało zaszyć się w domu i pracować.

Naładował za dużo piasku. Brudnopomarańczowe plastikowe wiadro nie wyglądało na ciężkie, ale kiedy je chwycił, metalowa rączka omal się nie wyłamała z gniazda. Usypał część piasku z powrotem na plażę. Kiedy została połowa, ostrożnie podniósł kubełek, zataszczył go przez wydmnę do Traktu i wstawił na pakę. Potem wsiadł i sięgnął do prawej przedniej kieszeni dżinsów po kluczyki. Kieszeń była pusta.

Rozejrzał się po kabinie i zawrócił na wydmy po swoich śladach, które jako jedyne znaczyły piasek. Zgięty w pół, przepatrywał nadmorskie trawy. Za pochyłością pozostał niewielki dołek w miejscu, z którego wybierał czysty piach, a potem część odsypał. Ukląkł i przez dłuższą chwilę apatycznie przesiewał go przez palce. Klucze musiały być albo tu, albo w furgonetce. Prawda?

Wrócił, dokładnie sprawdził fotele i podłogę kabiny. Potem obszedł wóz dookoła, zaglądając pod przednie koła i podwódmie. Powiedział sobie stanowczo, że musiał mieć ze sobą kluczyki, skoro przyjechał samochodem. Przyjechał tu po piasek. Zawsze wkładał klucze do prawej przedniej kieszeni spodni. Jeszcze raz obmacał pustą kieszeń. Nie była dziurawa. Przeszukał pozostałe. Też puste. To nie miało sensu. Ponownie wrócił na wydmnę, opadł na czworaki, rozgarniając suche, ostre źdźbła traw. Wiatr sypnął mu piaskiem w twarz.

- Czy pan czegoś szuka?

Drgnął, głowa odskoczyła mu na bok, pogłębiając dezorientację. Dźwignął się, podnosząc wzrok. Skąd ona się tu wzięła? Wcześniej w zasięgu oka nie było nikogo, jeśli nie liczyć ludzi spacerujących plażą u jej południowego krańca. Starsza kobieta nie stanowiła zagrożenia, ale wyraźnie czekała na odpowiedź. Jej głos był z wierzchu lekko rozbawiony, pod spodem zaś chłodny. Pewnie wzięła go za podejrzanego włóczęgę.

- Zgubiłem kluczyki - mruknął.

Musiała przyjść z tamtego białego domu, ostatniego przy Trakcie, letniego domu jakiegoś profesora. Nie pamiętał ich nazwiska, choć przyjeżdżali do Klatsand od bardzo dawna.

- A, pan Weisler! - powiedziała, jakby nagle go rozpoznała. - Kluczyki do samochodu? Pomogę panu szukać. To straszny kłopot. Ma pan drugi komplet?

- W domu. - Kiwnął głową w stronę miasteczka i udał, że szuka kluczy w trawie. Nie mógł szukać naprawdę, póki ona tu była. Okrążyła furgonetkę, uważnie przepatrując ziemię. Bill podszedł do wozu i wsiadł, kiedy była odwrócona.

- Jadę po drugi komplet - oznajmił, z odległości paru metrów ujrzał jej zaskoczoną minę i zdał sobie sprawę, że nie może jechać, bo nie ma kluczyków.

Wysiadł. Ruszył w stronę miasteczka. W głowie mu dudniło, kolana się ugiwały. Kobieta wołała coś za nim, ale wołał nie słyszeć. Po chwili się domyślił, że chce go podwieźć. Musiał jej uciec. Wołał uciec. Poszedł skrótem, przez miasto, przyspieszając kroku.

Pozostał w domu na tyle długo, by mieć pewność, że nie zostanie na wydmach tamtej kobiety. Potem wyszedł i znów szybkim marszem ruszył wzdłuż strumienia, a dalej ścieżką przez Błota Macdowella. Nikogo po drodze nie spotkał, choć słyszał dzieci nawołujące się po lesie. Kiedy wyszedł na Trakt, rozejrzał się nerwowo, lecz droga była pusta, a kobiety nigdzie nie było widać. Furgonetka czekała na niego smętnie, cierpliwie. Uruchomił silnik zapasowym kluczykiem i odjechał, rezygnując z dalszych poszukiwań. Zgubił je, to zgubił, trudno.

Dopiero po powrocie pomyślał z wdzięcznością o tej starszej kobiecie, która chciała mu pomóc. Wystraszyła go, pojawiając się znikąd, gdy myślał, że jest sam. Problem z kobietami polega na tym, że nie bardzo wiadomo, jak z nimi rozmawiać. Mężczyźni przerażali go znacznie bardziej niż kobiety, ale istniało kilka, kilkanaście tematów, które można było poruszyć: pogoda, ostatni mecz Blazersów, jak interesy, czy ryby biorą i tak dalej. Zagadnięty odpowiadał albo sięgał po inny temat z żelaznego zestawu, Bill odpowiadał

i było po rozmowie. Jeśli jednak istniał taki przybownik dla kobiet, to Bill go nie znał. Męski system z nimi nie funkcjonował, one chciały rozmawiać. Kobieta z tamtego kwadratowego domu też chciała z nim rozmawiać. Ale próbowała mu również pomóc i choć o to nie prosił, docenił jej życzliwość i potrafił życzliwie o niej myśleć. Zawsze podobał mu się tamten dom. Ona była tak samo przysadzista, solidna i włosy też miała prawie białe. „Pan Weisler” - powiedziała, kiedy go poznała. Może miała krótki wzrok, poza tym faktycznie pełzał na czworakach. Miło z jej strony, że zwróciła się do niego per „pan”. Większość ludzi zagadywała go po imieniu, a ona powiedziała „pan”, lecz nie było to odpychające. Ludzie z jej pokolenia mówili sobie „pan” i „pani”, dopóki się lepiej nie poznali. Przedstawiając się, Bill zawsze podawał imię i nazwisko. Gdyby znał nazwisko tamtej kobiety, także zwróciłby się do niej „pani”. Zorientowała się, że jest zdenerwowany z powodu kluczyka, i z miejsca uczyniła wysiłek, żeby coś w tej sprawie zrobić. To było ujmujące. Wdzięczność do niej sprawiała, że czuł się miło i solidnie. Strata już go nie martwiła, zapomniał o rozpacz, która go ogarnęła pośród wiatru i piasku, i kłoniących się ostrych traw, w olbrzymiej pustaci, która pochłonęła jego klucz.

Miał pudełko rzemieni, przewlekał je przez uszka małych naściennych doniczek, które świetnie się sprzedawały na sobotnim targu w Portland (Conrad miał tam stoisko). Nawlekł zapasowy kluczyk do stacyjki, związał rzemień, rozwiązał i dodał klucz do warsztatu i ponownie zawiązał. Dwa klucze łatwiej znaleźć, a klucz do warsztatu może równie dobrze nosić ze sobą, jak trzymać za obłuzowaną deską - i tak nigdy go nie zamykał.

Piasek w pomarańczowym kubie przeznaczony był do pokrycia zewnętrznej powierzchni cylindrycznych ażurowych lampionów, kolejnego produktu, na który Conrad miał stały popyt. „Piaskowe latarnie”. Ludzie płacili za nie po czterdzieści pięć dolców. Cena wydawała się Billowi przesadzona - robota nie była ani trudna, ani pracochłonna - ale to Conrad ustalał ceny i on się na tym znał.

- Skoro coś jest łatwe, prędko się nudzi. I za to musisz mieć zapłacone! - stwierdził. Było w tym sporo prawdy, choć Bill mimo wszystko uważał, że jego nuda nie jest warta więcej niż dwadzieścia pięć dolarów od sztuki.

Wziął się do pracy, zanim glina przeschnie, bo wtedy nie utrzyma piasku, a miał dwadzieścia lampionów, które musiał ozdobić ciemnoszarym bazaltem, śmietankowym kwarcytem i lśniącymi płatkami miki zmielonymi na proszek przez fale Pacyfiku. Jeśli celem nieustannie bijących o brzeg fal było robienie piasku, to całkiem ładnie im wychodził i przynajmniej był z tego konkretny pożytek. Nawet rzeka potrafiła robić piasek, jeśli była dostatecznie duża. Columbia miała piaszczyste brzegi; jadąc kiedyś pociągiem, widział też

wydmy daleko w głębi łądu nad Snake River. Ale większość rzek dawała tworzywo dobrze mu znane, drobnoziarnisty muł i glinę. Nawet miejscowy potok dorobił się kieszeni lekkiej brązowej glinki, którą Bill wydobywał, czyścił i obrabiał jak terakotę, tocząc z niej małe garnki i miski. Chłodne dziurawe walce obracały mu się w rękach, a słowa w myśli; toczyły się, cichły i nikły, wsiąkały w robotę tak samo jak pasma barwnika wsiąkają w mieszoną glinę.

*

Zawsze mieszkał w Klatsand. To znaczy zawsze z wyjątkiem czterech lat spędzonych w wojsku - w Kalifornii, Georgii, Włoszech i Illinois. Jego matka miała piętnaście lat, kiedy przyszedł na świat, a on miał piętnaście, kiedy umarła. Czasem rozmyślał o tych liczbach. Zdawało mu się, że powinny nieść jakieś przesłanie, sumować się do kolejnej liczby mającej własny sens, ale nie potrafił ich do tego zmusić. Przeciwnie, odejmowały się od siebie i nie pozostawiało nic. Jego ojciec, William Weisler, wyjechał z miasta dwa lata po ślubie i nigdy nie wrócił. Matka zmarła na zapalenie otrzewnej i pękniętą śledzionę - po upadku, tak powiedział Ray Zerder. To Ray powiadomił lekarzy w szpitalu, że upadła, a oni nie pytali, jaki to upadek pozbawił jej kochanka dwóch przednich zębów, jej zaś złamał kość policzkową i pokrył obie ręce czarnymi sińcami od przegubów do łokci, a do tego zniszczył śledzionę. Odkąd Ray Zerder się do nich wprowadził, Bill sypiał w starej drewnutni. Kiedy Ray i matka szamotali się po pijanemu, klnąc i wrzeszcząc, szedł na szkolne boisko, a tam czasem spotykał innych chłopców w swoim wieku. Po śmierci matki wzięła go do siebie babka ze strony ojca, pani Robertowa Weisler (nigdy się nie dowiedział, jak miała na imię). Mały domek w lesie za tartakiem został pusty. Babka doprowadziła go do łądu i wynajmowała letnikom. Po ukończeniu osiemnastu lat Bill dostał powołanie do wojska, a w czasie jego służby babka zmarła. Zapisała mu ten domek w testamencie.

List od prawnika zastał go w Illinois, gdzie czekał na zwolnienie do cywila. Przejechał pociągiem cały kraj aż do Portland, stąd autobusem linii Greyhound dostał się do Klatsand, przeszedł przez wielki plac składu drewna, a potem przez świerkowy las do swojego własnego domu. Prawnik pisał, że wprawdzie umowa najmu zawarta z jakimiś portlandczykami jeszcze nie wygasła, ale wobec kłopotów z benzyną nigdy tu nie przyjeżdżali i co ważniejsze, nie płacili czynszu. Bill włamał się więc, popychając mocno kuchenne drzwi zawsze się zacinały i nigdy nie zamykano ich na klucz - i odtąd mógł powiedzieć, że jest w domu. Kapa w czerwone, białe i niebieskie kwadraty, zrobiona przez jego matkę, kiedy miał dziesięć lat, nadal okrywała kanapę w saloniku. Śmierdziało trochę stęchlizną. Nocą w lesie było całkiem cicho, tylko żaby muzykowały nad strumieniem, a jeśli

człowiek się mocno wsłuchał, mógł wychwycić jednostajny chłupot morza.

Żadne z miejsc, które odwiedził w trakcie służby wojskowej, nie nawiedzało go nigdy we wspomnieniach. Jedynie przez kilka lat śniło mu się czasami, że jest w pozbawionym okien pokoju o zdobnych sztukaterią, obryzganych zaschniętą krwią ścianach. To było we Włoszech, a sam Bill nigdy nie był w tamtym pokoju. Nieraz myślał o ludziach, których poznał w wojsku. Niektórzy byli przywoici i z czasem się nauczył, o czym z nimi rozmawiać, ale zawsze przenoszono ich gdzie indziej, tak że nigdy nie zdążył się poczuć członkiem grupy. Z początku bał się kolorowych żołnierzy, później już tylko tych białych, którzy szukali zwady.

Jak Ray Zerder; matka mawiała: „Och, ten Ray, wiecznie szuka zwady!” Bill Weisler starał się unikać zwady. Pewnego razu stanął w jego obronie wielki czarny Murzyn imieniem Sef. Było to we Włoszech, w jakimś mieście, nie wiedział, jak się nazywało. Koledzy próbowali zaciągnąć go do burdelu.

- Chcecie mieć syfa i mendy, to idźcie - oznajmił Sef. - My z Billym nie jesteśmy zainteresowani.

Nikt nie miał ochoty zadzierać z Sefem, zostawili ich więc w spokoju. Tego wieczoru Bill gawędził chwilę z Murzynem, który miał żonę i córkę w Alabamie.

- Nigdy nie byłem z kobietą - powiedział do niego Bill i to był jedyny raz w jego życiu, kiedy rozmawiał z kimś o seksie. Nigdy nie opanował zestawu tematów damsko-męskich poruszanych wśród mężczyzn. Radził sobie w ten sposób, że słuchał i kiwał głową we właściwych momentach, gdy inni rozmawiali o tych częściach kobiecego ciała. Bill znał odpowiednie słowa, lecz umykały mu z głowy, gdy tylko przestawał je słyszeć. Pamiętał jedynie to, co Sef powiedział o swojej żonie, która czekała na niego w Alabamie:

- Ta to się umie śmiać!

I sam śmiał się, kiedy to mówił.

To, co Bill zapamiętał z czterech lat pobytu w armii, pozostało wyraźne, bo tak niepodobne do całej reszty jego życia, ale było tego niewiele - kilka twarzy i słów; zdanie Sefa: „Ta to się umie śmiać!”. Reszta nie miała dla niego sensu. Kiedy próbował znaleźć sens w tym, co widział i robił we Włoszech, ciemniało mu w oczach i miał wrażenie, że leci w przepaść, więc wołał zrezygnować z dalszych prób.

Podobnie nie myślał o tych razach, kiedy rzeczywiście wpadł w czarną dziurę, ponieważ takie myślenie znów spychało go na jej skraj. Zdarzyło się to dwukrotnie. No i jeszcze wtedy, kiedy wypił za dużo piwa w rybnej knajpie, ale wtedy zgasł tylko na dzień lub dwa. Tamte upadki w czerń trwały znacznie dłużej. Jeśli część ludzi w mieście miała go za

wariata (a wiedział, że tak było), to nie bez powodu. Za drugim razem wysłali szeryfa, Toma Jamesa, żeby zawiózł go do szpitala, bo Bill nie wytknął nosa z domu i nie jadł niczego Bóg wie jak długo, wiele dni, może całe tygodnie. To był ten sam szpital w Summersea, gdzie zmarła jego matka. Pamiętał, jak stamtąd wychodzi, ale później nie wiedział, czy to było po śmierci matki, czy wtedy, kiedy go wypisali.

Potem bardzo długo szeryf wpadał do niego raz w tygodniu i pytał:

- Cześć, Bill. Jadłeś?

Szeryf był porządnym człowiekiem i miał jeszcze tę zaletę, że nie trzeba było z nim wiele gadać. Raz po jakimś festynie straży pożarnej stary Hulse Chock, który przez dwie godziny siedział między Billem Weislerem i szeryfem Jamesem, stwierdził:

- Tom, jedyny problem z tobą i Billem to ten, że człowiek w ogóle się nie może dorwać do głosu w powodzi waszych celnych uwag i dowcipów!

Billa wciąż śmieszyło, kiedy o tym pomyślał. Zresztą stary Hulse najwyraźniej zamierzał ich rozśmieszyć, a poza tym lepiej, jeśli inni kpią z człowieka, że mruk, niż gdy się nad nim litują albo nim gardzą.

To sprawiało, że czuł się swobodnie w towarzystwie takich ludzi jak Tom James, stary Hulse i kilkoro innych: Conrad z Portland, pani Hambleton ze sklepu albo ta kobieta, która przysłała do niego zapytać o glinę. Nie brali go zbyt poważnie. Nie szukali zwady. Śmiali się i w ten sposób oczyszczali atmosferę. Conrad, były hipis, wolny ptak obdarzony żyłką handlową, zobaczył ceramikę Billa na początku lat siedemdziesiątych i krok po kroku przeniósł ją z lokalnych sklepów ogrodniczych, w których przez dwadzieścia lat dawała Billowi suchy chleb, na wielkomięskie uliczne bazary, jarmarki, do butików i galerii handlowych. W efekcie Bill pracował po dziesięć godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu, żeby zaspokoić popyt, i dorobił się niewiarygodnych osiemnastu tysięcy dolarów na koncie w banku.

- Człowieku, ty mnie rozwalasz, ty mnie normalnie rozwalasz - mówił Conrad. - Gdzie się tacy rodzą? - Śmiał się, ilekroć Bill coś powiedział, klepał go po plecach albo po ramieniu i mówił: - Stary, ja cię kocham!

Znajomość z Conradem od początku ułożyła się sensownie. Dopiero ostatnimi czasy zdarzało mu się wpadać w poważny nastrój i szukać zwady. W zeszłym miesiącu, kiedy pakowali towar na sobotni jarmark, Conrad zaczął tokować jak gadający łeb z telewizora - taki, co mówi do ciebie, ale cię nie widzi. Rozwodził się nad tym, że machinacje firm ubezpieczeniowych rujnują ludzi, że urząd podatkowy wcale im nie ustępuje, a w Portland rządzi klika.

- Sam popatrz, Bill, jakie pieniądze poszły na nowe centrum konferencyjne! Rozumiesz, co mam na myśli? Dziura bez dna! Szambo, psiakrew!

Mówił tak gniewnie, wymieniał tyle szczegółów, nazwisk i kwot, że Bill prawie zrozumiał - a w każdym razie odniósł wrażenie, że powinien rozumieć; nie miał całkowitej pewności. Zakręciło mu się od tego wszystkiego w głowie, kiedy stawał dzbanki, misy i doniczki na półkach z surowych sosnowych desek.

Conrad był jego łącznikiem z resztą ludzkości z kompetentnymi, pewnymi siebie nabywcami, właścicielami sklepów, młodymi małżeństwami, chłopakami i dziewczynami, którzy grali we frisbee i palili ogniska na plaży; ludźmi, którym poruszanie się w świecie nie sprawiało trudności. Jeśliby utracił tę łączność, znów zostałby całkiem sam, nie miałby możliwości sprawdzić, czy w tym, co myśli, jest jakikolwiek sens. Kiedy Conrad mu mówił: „Chłopie, tyś chyba zwariował!”, Bill się uspokajał, bo Conrad nie powiedziałby tego, gdyby Bill rzeczywiście popadł w obłąd.

Pani Hambleton nie nadawała się do takich prób, bo w gruncie rzeczy w ogóle nie potrafił z nią rozmawiać, a z Conradem tak - czasami. Działała jednak na niego krzepiąco, ponieważ widział, że go rozumie. Rozumiała właściwie wszystko. Nic jej nie dziwiło, nie zbijało z tropu. Miała za sobą ciężkie życie, straciła dwóch synów, wychowywała niedorozwiniętego wnuka i prowadziła sklep spożywczy. Patrzyła na Billa zza lady i pytała: „Jak tam, Bill, dajesz radę?” albo: „Jak idą doniczki?” i śmiała się, bo też czuła się swobodnie w jego towarzystwie. Znali się, bądź co bądź, sześćdziesiąt lat.

Kobieta, która przyszła do warsztatu, była inna. Jej rodzice sprowadzili się do Klatsand przed kilkoma laty, ale ona nie mieszkała wtedy w miasteczku, przyjechała później, żeby zająć się chorą na raka matką. Ojciec już wtedy nie żył, Bill słyszał o tym w sklepie. Kiedy ją zobaczył, nie wiedział jeszcze, że to właśnie ta kobieta. Zaparkowała przy drodze i ruszyła w stronę domu, ale zauważyła go w warsztacie, który mieścił się w znacznie powiększonej starej drewnitni. Przedstawiła się: „Dzień dobry, jestem Takatoataka”; Bill był zaskoczony i zmieszany, przez co nie do końca ją rozumiał. Miała barwę pewnego gatunku róż i azalii. Po jej wizycie przygotowywał szkliwo do następnej partii wysokich wazonów i udało mu się uzyskać prawie ten odcień, różowozłoty, jakby podszyty ciemniejszą brzoskwinową czerwieńią. Niektóre wazony maznął jeszcze lekkim jak smużka dymu pionowym kobaltowym pasmem. Ta kobieta miała pulchne ramiona, cała była zaokrąglona, pełna, namacalna. Odczuł to, kiedy przed nim stała. Tak samo wiedział nie patrząc, jak wygląda kawał gliny, który rzuca na koło - nie musiał go oglądać i szukać słów, by go opisać; wiedział od razu, że jest jednorodny, spoisty, dobry. Ta kobieta też taka była. Opowiadała

coś, co mu umknęło. Chyba o robieniu figurek zwierząt z gliny.

- W zespole szkół mają te, no... - machnął oblepioną dłonią w kierunku południowym
- ... kursy.

Kobieta zrozumiała i odparła, że nie może uczestniczyć w warsztatach ceramicznych, bo musi siedzieć w domu, a poza tym chce spróbować tylko dla zabawy.

- Zrobić cokolwiek, choćby popielniczkę, jak w szkole - dodała z uśmiechem. Mógłby o niej powiedzieć słowami Sefa: „Ta to się potrafi uśmiechać!”

Umiała się uśmiechać.

- No to będzie pani potrzebne... - zaczął Bill i zabrakło mu słów. Odwrócił się, żeby wziąć do rąk potrzebne rzeczy. Kilka funtów suchej gliny, ze dwa noże i jeszcze obrotową tacę, skoro chciała robić figurki. Ta mniej obita kręciła się trochę lepiej; przetarł ją z kurzu, próbując równocześnie wyjaśnić tej kobiecie, jak się miesza i wyrabia glinę. Musiała się nauczyć całego mnóstwa rzeczy.

Kobieta wciąż się uśmiechała, mówiła: „Aha!” i: „Rozumiem!”, kiwając głową, a potem powtórzyła wszystko, co jej powiedział, i w jej ustach zabrzmiało to o wiele bardziej składnie.

- Gotowe proszę przynieść, damy do pieca powiedział. - Wypalam we wtorki. Na ogół. Mogę w inny dzień.

Spojrzała na niego niepewnie i podziękowała z uśmiechem, wycofując się w stronę samochodu, jakby ciągnięta przez niewidzialny sznurek.

- Jeśli chce pani spróbować na kole - dodał, a ona zerknęła na tacę, którą jej dał. - No wie pani... - machnął ręką w stronę wnętrza warsztatu - toczyć na kole, wieczorami zawsze tu jestem. - Postanowił następnym razem wrócić wcześniej z Portland, żeby być na miejscu, gdyby przyszła.

Nie przyszła. Musiała siedzieć przy matce. Często ją wspominał przy pracy. Była dobrym człowiekiem, skoro zrezygnowała ze swobody, żeby opiekować się chorą. Mile się odzywała, uśmiechała się. Myśli o niej sprawiały mu przyjemność. Była po właściwej stronie, jak Sef i ta stara kobieta, która pomagała mu szukać kluczy, jak pani Hambleton i Conrad. Jeśli udawało mu się trzymać po tej samej stronie, nie groził mu upadek w czerń. Ci ludzie byli barwni - brązowi, różowi, złoci i kobaltowi. Byli namacalni.

Kiedy Conrad go zawiódł, wszystko omal się nie rozpadło. Poszło o coś, co powiedział; niby drobiazg, na który Bill w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi, ale ten drobiazg był jak włos, który został pod szklivem - nie widzisz go, bo nie chcesz widzieć, ale i tak wiesz, że tam jest.

Conrad powiedział:

- Nie sortuj osobno drugiego gatunku.

Dopiero kiedy Bill już wracał do domu i mijał tablicę zapowiadającą zjazd z autostrady na wybrzeże, zaczął się zastanawiać nad tym zdaniem. Zdawało się oznaczać, że Conrad sprzedaje niedoskonałe wyroby po tej samej cenie co pierwszy gatunek. Ta absurdalna myśl wracała do Billa raz po raz, a nie potrafił spojrzeć na nią z zewnątrz i sprawić, by nabrała sensu. Nie mógł się też zdobyć na odwagę, żeby zatelefonować do Conrada i spytać wprost, co miał na myśli.

Dwa tygodnie później zawiózł do Portland partię wielkich, półtorametrowych donic, które doskonale się sprzedawały na stoisku „Piękny Ogród” w galerii handlowej. Conrad pomagał mu je rozpakować na zapleczu. Trzeba było to robić bardzo ostrożnie ze względu na ich rozmiar. Bill Weisler nie znosił pianki poliuretanowej, w którą z reguły pakowano takie rzeczy, i używał słomy kupowanej w składzie pasz. Sześć sztuk, które miały skazy, oznaczył jaskrawoczerwonymi nalepkami. Conrad rozwijał jedną z nich ze słomy i przy tej okazji stracił nalepkę kciukiem.

- To drugi gatunek - zwrócił mu uwagę Bill.

- Co jej jest? - spytał Conrad, a widząc zmatowiałe szkliwo u podstawy, dodał: - A, tak. Nic nie szkodzi.

- Drugi - powtórzył Bill.

- To drobiazg. Nie jest pęknięta, prawda? Sprzeda się jako pierwszy gatunek. Klienci nie zwracają uwagi na takie rzeczy, Bill. - Conrad zmierzył go wzrokiem. - To im nie przeszkadza.

Bill podniósł nalepkę z brudnej podłogi zaplecza. Zawahał się. Nie miał śmiałości przykleić jej z powrotem na dużą ładną donicę z niedoskonałą białą-niebieską polewą.

- Powiem dziewczynom, żeby zwracały na to uwagę klientów - odezwał się Conrad. - Okej?

Czekał długą chwilę na odpowiedź, spoglądając to na Billa, to na donicę swoimi głęboko osadzonymi oczyma, które wyglądały, jakby były z obsydianu. Indiańskie oczy. Postarzał się ostatnio, i to znacznie.

- Dla nabywcy to nie jest wada, Bill - rzekł po chwili. - Właściwie nawet zaleta. Dowodzi, że produkt jest robiony ręcznie, nie taśmowo. Do licha, powinniśmy je sprzedawać drożej! Posłuchaj: na pewno widziałeś te katalogi, które rozsyłają pocztą, a w nich jedwabne koszule za sto pięćdziesiąt dolców. W opisie zawsze jest mowa o supełkach czy innych drobnych skazach na dowód, że jedwab jest naturalny. Przyjmij, że to jest właśnie taki

supełek. Autentyczna donica Weislera z prawdziwą skazą w absolutnie ekologicznym szklowie na ludzkiej plwocinie. Czerwona metka: dwie stowy, bez metki taniej. Zrozum, Bill, nic nie jest doskonałe, tylko się tak mówi.

- Bo ja wiem - mruknął Bill.

Conrad wyciągnął rękę nad donicą i poklepał go po ramieniu.

- Ech, stary - powiedział. - Ty jesteś nie z tego świata. Kocham cię, kiedy masz taką smutną minę. No chodź, popłaczemy sobie w drodze do banku.

To wszystko nie miało sensu, więc Bill nie potrafił podjąć tej rozmowy. Bał się powiedzieć cokolwiek. Dotąd wszystko układało się tak dobrze, czyżby teraz miało runąć? Czy Conrad jest na niego zły?

Skრęcając na zachód za tym samym znakiem zrozumiał, że jest jeszcze gorzej. To on był zły na Conrada.

W chwili gdy to sobie uświadomił, furgonetka zatoczyła się gwałtownie. Kierowca jakiegoś forda zmieniający właśnie pas nacisnął mocno klakson. Serce skoczyło Billowi do gardła i łomotało przez wiele mil. Na drodze przez góry były ziejące czarne wyrwy, całe połacie czerni. Kiedy wjechał do Klatsand, z trudem je poznał w dziwnym pomarańczowym świetle zachodzącego słońca przetykanym czarnymi pasmami i dziurami. Wysiadając przed domem, zahaczył butem o podgięty rózek gumowej wycieraczki na podłodze samochodu. Coś zabłysło: kluczyk do stacyjki. Podniósł go i zdziwiony spojrzał na swoje dłonie. W każdej miał kluczyk, jeden na rzemieniu z kluczem do warsztatu, drugi samotny. Dopiero po długiej chwili pojął, skąd wziął się ten drugi.

Wtedy pomyślał o starej kobiecie, która pomagała go szukać na wydmach. Myślał o niej przez całą noc. Spędził ją przy pracy, bo nie mógł iść spać; bał się położyć do łóżka i spaść w czern. Żaby śpiewały nad strumieniem, milkły, a potem zaczynały od nowa. Bill toczył na kole misy, których nie robił już od długiego czasu - szerokie mniej więcej na stopę, o górnej krawędzi zagiętej do środka. „Czara”, przyszło mu na myśl słowo z wystawy ceramiki oglądanej kiedyś w Astorii. Pracował aż do świtu. Potem zasnął na podłodze warsztatu, bez okrycia, z głową pod ławką, w glinianym pyłe.

Dzień był zły. Czuł, że nie wolno mu wejść do domu. Gdyby to zrobił, prawdopodobnie nie mógłby już z niego wyjść. Był brudny; opłukał się pobieżnie pod kranem w warsztacie. Po chwili jednak nie był już w stanie pracować.

Nie mógł iść do starszej pani napotkanej na wydmach, bo nie znał jej nazwiska. Przypomniał sobie za to imię tej drugiej, młodszej, która brała od niego glinę. Pani Hambleton powiedziała kiedyś do niej w sklepie: „Co słyhać, Jilly?” Wiedział, w którym

domu mieszka. Znał każdy dom w Klatsand i jego mieszkańców - może nie z imienia, lecz z wyglądu, barwy i postury. Rozpoznawał ich formy.

Pomyślał o Tomie Jamesie, ale Tom James już nie żył.

Poszedł do szarego drewnianego domu z dobudowaną na tyłach werandą i zapukał do drzwi. Pukał cicho, bo wiedział, że matka jest konająca. Chybotął się na krawędzi czarnej dziury; raz po raz spadał i ratował się przed pochłonięciem. Mąciło mu się w głowie. Cofnął się o krok od drzwi. Drzwi się otwały.

Barwa róży i azalii była bledsza, jakby lekko podpuchnięta, uśmiech nie tak szeroki. Kobalt poszarzał. Powitała go cichym matowym głosem. Bill podał jej woreczek gliny i wygłosił przygotowane zdanie:

- Pomyślałem, że mogło pani braknąć.

Wyciągnęła rękę, mówiąc:

- Dziękuję, choć mam jeszcze całkiem sporo... widzi pan, te rzeczy, które lepię, są malutkie... - Spojrzała na papierowy worek. - Nie mam dość czasu na większe. - Jej uśmiech zmienił się nagle, a potem spojrzała mu w twarz. Bill spuścił wzrok. - Dziękuję panu, Bill - powiedziała głosem, który wznosił się i opadał jak muzyka. Zdał sobie sprawę, że ona płacze.

- Chciałem panią zapytać... - zaczął.

Wstrzymała oddech i skinęła głową.

- Jeśli zrobi pani coś, co niedobrze wyszło...

- Jeszcze żadna rzecz nie wyszła mi dobrze. Zaśmiała się drżącymi wysokimi dwudźwiękami.

- Nie powinno się tego sprzedawać po tej samej cenie co dobry wyrób? - dokończył.

Po chwili podniósł na nią wzrok.

- Chyba się nie powinno - potwierdziła. - Tak myślę.

- Bo to nie ma sensu - rzekł.

Pokiwała głową, a po chwili nią pokręciła.

- Muszę wracać do środka, Bill. Wie pan. Ona...

Wymówiła to w ten szczególny sposób: „Ona...” Kiwnął głową.

- Dziękuję panu - powiedziała raz jeszcze.

- Nie ma za co - odparł i ruszył z powrotem.

Jilly zamknęła drzwi. Furgonetka z cierpliwą miną czekała na niego przy drodze. Kluczyk tkwił w stacyjce. Światło dnia było czyste, bez skazy, jak przejrzysta polewa na materialności rzeczy. Z wielkiej misy dobiegał dźwięk fal bijących o plażę.

PRAWDZIWA MIŁOŚĆ

Kobieta niezwiązana na stałe z mężczyzną, a przy tym zadowolona z życia, zwykle uczy się ukrywać zadowolenie, żeby nie szokować znajomych. Walka z ortodoksją własnej kultury nie ma sensu; w końcu okrzykną cię czarownicą. Teraz zdaję sobie sprawę, że dlatego sama wyszłam za mąż: lepszy ślub niż stos. Po rozwodzie miałam jeden lub dwa romanse... ściślej mówiąc, miałam dwa, dzięki czemu mogę przekonująco używać frazy „...lub dwa”. Jednym z moich kochanków był analityk systemów bibliotecznych i tego doświadczenia nie nazwę udanym. Drugim był księgarz i związek z nim okazał się na swój sposób satysfakcjonujący. Prawda jednak jest taka, iż praktyki kopulacyjne trwonią tylko moją erotyczną energię, więząc ją w sztucznej formie przewidzianej dla niej przez moją cywilizację. Dla mnie seks jest sublimacją. Pozostawione sobie w pierwotnym surowym stanie, moje libido wyżywałoby się bez wytchnienia w samej lekturze.

Ponieważ od dwudziestego roku życia jestem bibliotekarką, mogę bez wielkiej przesady porównać się do sułtana korzystającego do woli z luksusowego haremu - i to jakiego! Przez pierwsze dziesięć lat pół miliona kochanek w głównej wypożyczalni miasta Portland. Nieustająca orgia! Później zaczęłam nauczać w studium bibliotekarstwa, dzięki czemu w ciągu roku mam dostęp do uniwersyteckiego księgozbioru. Tu, w Klatsand, gdzie spędzam wakacje, harem jest malutki, a większość hurys podstarzała, ale ja przecież także. Z biegiem lat moja żądza straciła nieco ognia. Czasem sobie wyobrażam, że zadowolilaby mnie półeczka wysłużonych, szczerych i starannie dobranych Szeherazad. Od czasu do czasu sprowadzałabym im do towarzystwa jakąś szczupłą, młodziutką powieść, z którą mogłabym poflirtować, albo tom nowo wydanych poezji, dzięki którym szlochałabym nocą z nadmiaru rozkoszy.

Antal rzecz jasna objawił się na tle książek, a raczej najpierw pojawiły się książki, a później on. Byłam akurat w Klatsand, w publicznej wypożyczalni zajmującej dwa pokoiki nad apteką. Każdego lata chodzę tam porządkować i katalogować zbiory - raz w tygodniu lub nawet częściej, jeśli suma głupstw popełnionych przez wolontariuszy od ostatnich wakacji przekroczy stan krytyczny. Lubię tę pracę, jest łatwa i często zabawna. Znajduję Louisa L'Amour zaindeksowanego jako romans, a Levi-Straussa w historii ubioru. Nowinę przyniosła mi Shirley Bauer; najpierw przez chwilę bobrowała w koszu z wyprzedzą, a

potem zawołała:

- Frances, słyszałaś, że będziemy mieli księgarnię?

- Tu? W Klatsand?

- Tak. Ktoś wynajął lokal po sklepie z latawcami.

- Obok Toma?

- Mhm. Mary mi mówiła, że gość chce otworzyć księgarnię. Potem byłam na pocztce i dowiedziałam się od pani Brown, że ma tam stertę pak z książkami, przesłaną na nazwisko A. Jakiegoś tam.

Tak więc książki rzeczywiście przybyły pierwsze.

Po przyjeździe Antal zatrzymał się w Bocianim Gnieździe - zapewne z nieświadomości i braku środków. Dla Rosemarie Tucket był jednak prawdziwym darem niebios - po śmierci męża użerała się wówczas z prawnikami i firmami ubezpieczeniowymi rozdrapującymi resztki. W lipcu Antal był chyba jedynym gościem. Pozostał tam do końca swego pobytu w Klatsand - osiem miesięcy, jak się okazało.

Poznaliśmy się dopiero, gdy otworzył sklep, choć wcześniej widywałam go na mieście lub przez zakurzoną witrynę, ilekroć zaglądałam w nią zwiadowczo, usiłując odgadnąć, jakie będzie miał książki. Wyglądały na używane. Prawdziwe. Nie znoszę tak zwanych ogonów wydawniczych - sprawiają wrażenie, że wydawca tak bardzo obawiał się ryzyka, iż zdecydował się na tytuł nie stwarzający ryzyka, że się sprzeda. Zza brudnej nagiej szyby byłego sklepu z latawcami nie widziałam chyba ani jednej kolorowej obwoluty. Sterty i stosy kusząco wytartych, wyszarzałych i niepozornych książek.

Właściciel, tak samo szarobury, przemyskał wewnątrz jak cień, sortując je i rozkładając na półkach. Miałam ochotę zaoferować mu pomoc. W małej bibliotece nie zostało już dla mnie praktycznie nic do roboty, a marzyłam o tym, żeby dorwać się do jego książek. Sortować i rozkładać potrafię nawet przez sen, i faktycznie często mi się to zdarza we śnie. Mam też oko do wyceny. Ale siła mej żądzty nieco mnie przeraziła. Nakazując sobie samokontrolę, poszłam dalej do sklepu spożywczego nad morzem, odpędzając pokusy.

Pomimo to obecność w mieście książek - książek, których nie widziałam i nie czytałam - przyprowadzała mnie o ciągle delikatny zawrót głowy. (W Klatsand nie ma zbyt wielu książek. Większość należy do mnie i moich znajomych i przeczytałam je od deski do deski). Nogi więc wciąż mnie niosły do witryny obok smażalni Toma przy głównej ulicy, a w dniu otwarcia księgarni byłam pierwszą klientką.

Nie będę opisywać pierwszych tête-à-tête z książkami Antala. Moim zdaniem aluzje i przemilczenia malują znacznie bardziej sugestywny obraz niż werystyczne opisy posapywań i

jęków. Zresztą, muszę to stwierdzić otwarcie, zbiór reprezentował bardzo nierówny poziom. Z początku myślałam, że mam do czynienia jedynie z kolekcją wakacyjnych czytań - tych, po które się sięga, kiedy deszcz cię uwięzi w cudzym domku letnim; bestsellerów z lat trzydziestych i pięćdziesiątych, prawdziwych ogni próżności, samopożerających się autodafe na rynkach Sukcesu. Na szczęście te biedactwa nie roznoszą już zarazy, nie powodują syfilisu duszy, wypalone do cna. Przebiegłam pobieżnie dwa szeregi tych starych wywłok, czując się coraz bardziej rozczarowana, gdy nagle moje dłonie (przy półkach z książkami moje oczy i umysł są powolniejsze, bardziej ślamazarne i nie tak mądre jak ręce) napotkały „Dziewczęta”, wczesną powieść Edny Ferber. Namiętnie zapragnęłam przeczytać ją jeszcze raz, teraz, natychmiast! Tak właśnie wytrawny kochanek prowadzi rozedrganą z miłości kochankę od jednej pokusy do następnej. Czas przestaje istnieć, pieniądze się nie liczą. O, jest Phyllis Rose! Nieważne, ile kosztuje, muszę ją mieć!

Oślała ze spełnionej rozkoszy, przyniosłam do kasy tylko - bagatela! - pięć książek.

Właściciel księgarni, co mu się chwali, był przez cały ten czas niewidzialny i niesłyszalny. Nie zapytał nawet, czy mi pomóc. Facet znał się na swojej robocie. Wymieniliśmy grzeczne uśmiechy na powitanie, a potem ani słowa.

Był przystojny, o ciemnych siwiejących włosach i smukłych mocnych dłoniach, bardzo szczupły. Błyszczące ciemne oczy zapowiadały człowieka wrażliwego, inteligentnego oraz nie bez powodu melancholijnego. Nadawałby się na okładkę harlequina. Zagadnął mnie o książki, które kupiłam; czytał trzy z nich i był ciekaw, dlaczego wybrałam pozostałe dwie. Ten człowiek handlował książkami, bo je lubił, był więc dla mnie poniekąd bratnią duszą. Ceny też miał uczciwe. Pięć dolarów za „Krainę bez deszczu” Mary Austin w dobrym stanie to, prawdę mówiąc, grosze.

W okolicach trzeciej mojej wizyty - nadal się kontrolowałam, pozwalałam sobie tylko na przejrzenie dwóch lub trzech półek dziennie - wdaliśmy się w pogawędkę o Fanny Burney. Antal czytał właśnie jej dziennik, wydany w nieokrojonej wersji. Ja też go czytałam, wiele lat temu. Ponieważ dało to asumpt do dłuższej dyskusji, przeszliśmy na drugą stronę ulicy do „Tańczących Piasków” na lunch. Antal powiesił na kłamce tabliczkę z napisem: „Wracam za pół godziny”. (Widywałam ją tam nader często).

- Potrzebna panu jakaś pomoc - powiedziałam.

- A komu niepotrzebna? - odparł.

Zastanowiłam się nad tym w duchu. Kto nie chciałby, żeby mu pomóc? Bardzo interesująca kwestia. Nawet ludzie, którzy kochają swoją pracę jak ja, z wdzięcznością przyjmują pomoc w jej nudniejszych wymogach - czasem trzeba posiekać selery, pomalować

zaplecze, wciągnąć do dziennika korespondencję. Czułam jednak, że nie powinnam się mu narzucać z nieproszoną wyręką.

- No cóż - powiedziałam - kiedy się pan tu zdomowi, na pewno pan kogoś znajdzie.

Na wzmiankę o zdomowieniu się sposepniał. Antykwariat w mieścinie wielkości Klatsand to ryzykowny interes; zdążył już zdać sobie sprawę, że bezpieczniej byłoby w Summersea albo Cannon Beach. Zwabił go śmiesznie niski czynsz za sklep po latawcach. Pomimo to, jak stwierdził, i tak miał zaskakująco wysokie utargi. Spotykałam u niego przypadkowych klientów, a także kilkoro stałych. Shirley była tam kilka razy, a Virginia Herne spędziła sobotnie popołudnie, przeglądając półki tak metodycznie, że z pewnością znalazła kilka perełek, które mi umknęły. Rzeczywistość przerosła więc odrobinę jego skromne oczekiwania. Handlując w Klatsand, mógł się rozglądać za lepszą lokalizacją. Z tego, co mówił, wnioskowałam, że zna swój fach. Wiedział, gdzie w rejonie można kupić książki, ile za nie płać i na ile wyceniać. Jeśli dobrze zrozumiałam, pracował kilka lat w agencji nieruchomości i postanowił otworzyć księgarnię na wybrzeżu. Bardzo romantyczne przedsięwzięcie; w gruncie rzeczy pasowało mu do image'u.

Niepokoila mnie troszkę prowadzona w bibliotece wyprzedaż darowanych książek. Zawsze mamy tam pełny kosz odrzutów, dubli i marnych czytań w miękkich oprawkach. Ceny od dziesięciu centów do dolara. Żaden biznes, ale mógł podciąć gałąź, której trzymał się Antal. Kiedy o tym wspomniałam, uśmiechnął się czarującym, pogodnym uśmiechem i powiedział:

- Kiedy wielkie korporacje toczą wojnę, na Wall Street wybucha panika.

- No cóż, dam panu znać, jeśli pojawi się coś ciekawego. Większość to podręczniki obsługi komputera i francuski do gimnazjum. Ale czasem trafia się jakaś prawdziwa książka. Sprzedajemy tanio, pan sprzeda drożej, każdy swój grosik zarobi.

- Oskarżą nas o zмовę. Lobbing? Czy tak to się nazywa, kiedy wielkie firmy dogadują się ponad głowami innych?

Żadnemu z nas nie przyszło wówczas do głowy cudownie dwuznaczne słowo „trust”. Trochę mnie to wzruszyło; Antal nie był ode mnie starszy i nie powinien jeszcze mieć kłopotów z pamięcią. Zaczęliśmy rozmawiać o wypadających z pamięci słowach i nazwiskach. Podano nam wreszcie kanapki z krabami.

- Jak się panu mieszka w Bocianim Gnieździe? - zapytałam.

Teraz, gdy to opowiadam, może się wydawać, że czuliśmy się swobodnie w swoim towarzystwie, lecz tak nie było. Polubiłam Antala i czułam, że on też jest na najlepszej drodze, żeby mnie polubić, ale oboje byliśmy usztywnieni. Żadne z nas nie grzeszy zbyt

pewnością siebie. Mnie nękała wątpliwość, czy na pewno wypada, abym jadła z nim lunch, świadomość, że mam nieumyte włosy, i strach, że go nudzę. Wiedziałam, że on także - niezależnie od przyczyn - nie czuje się swobodnie. Widać to było w pozycji ciała i uciekającym na boki spojrzeniu. Wątpię, czy w tym napięciu było wiele napięcia seksualnego, a z pewnością nie było go po mojej stronie - przechodzę te same męki z każdym, kogo dobrze nie znam, włączając niemowlęta i małe dzieci. Dobraliśmy się więc jak w korcu maku - zarówno pod względem skrupowania, jak dobrej woli. I choć Antal wyglądem przypominał Heathcliffa, w rzeczywistości był bardziej podobny do pana Rochester; dało się z nim rozmawiać. Na pytanie o lokum zaśmiał się, przegarnął włosy dłonią i powiedział:

- No cóż...

Jak czytamy w powieściach, to jedno słowo mówi wszystko.

- Sidonie nazywa ten motel „ostatnią deską ratunku” - dodałam.

- To prawda - odparł. - Ale pani Tucket jest miłą kobietą. W sumie nie jest tak źle, jeśli pominąć prysznic... Pani Tucket nie może przeprowadzić remontu przed zakończeniem postępowania spadkowego. Na wykonawcę testamentu jej mąż wyznaczył jakiś bank w Arizonie, który jeśli jej wierzyć, jest w zмовie z pierwszą żoną zmarłego. Rosemarie nie wiedziała nawet, że mąż zostawił testament.

- Nie zapisał jej swojej połówki motelu?

- Najwyraźniej nie. Potrzebny byłby tu kompetentny prawnik, ale na takiego oczywiście jej nie stać. Ma zamiar się poradzić Dona Hartona... - Antal przyglądał mi się, czekając na reakcję, wychwycił więc skrzywienie.

- Don Harton to miły staruszek, ale od dawna jest na emeryturze - wyjaśniłam. - W Klatsand przeważa pogląd, że jakakolwiek sprawa zajmie mu resztę życia.

- Raczej nie tego jej trzeba. Moim zdaniem powinna sprzedać wszystko i zacząć od nowa. Ale ona chce odnowić motel, jeśli dostanie cokolwiek ze spadku albo z ubezpieczenia. A tak przy okazji... co właściwie stało się z jej mężem?

- Facet przejechał go ciężarówką na podjeździe do motelu - bąknęłam ostrożnie.

Był bystry. Zwrócił uwagę na mój ton i spytał:

- Z premedytacją?

- To nie jest do końca pewne. Kierowca pracuje w Coos Bay. Wieczór spędził tutaj, w barze „Bliźniak”. Sidonie twierdzi, że wlał w siebie dwa piwa i utrwalacz. Potem wrócił do motelu, miał tam wynajęty pokój. Jeszcze wcześniej pokłócił się ze starym Tucketem, ktoś mi mówił, że o pieniądze; ktoś inny, że o Giantsów. Rosemarie była w mieszkaniu i nie widziała, co zaszło, ale z tego, co słyszała, wnioskuje, że facet chciał odjechać. Może nie zapłacił, a

stary Tucket zastąpił mu drogę? Tamten albo go nie zauważył, albo zauważył, ale i tak w niego wjechał. Może chciał go przestraszyć, myślał, że się cofnie. Tucket się nie cofnął, a gość skosił go zderzakiem i przejechał po nim.

- Dosłownie przejechał?

- Tak, jedna noga dostała się pod koło. Zmarł tego samego wieczoru w szpitalu w Summersea.

- Okropne.

- Owszem. Moim zdaniem Tucket był okropnym staruchem, a kierowca najpewniej okropnym gówniarzem.

- I co? Nie postawiono mu żadnych zarzutów?

- Nie było świadków. Kierowca twierdzi, że nie zauważył starego. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak działa... nazwijmy to wymiarem sprawiedliwości na prowincji. Wszyscy się znają. Rosemarie nie chciała wnosić oskarżenia, tak przynajmniej brzmi wersja oficjalna. Zadowolili się odszkodowaniem z ubezpieczenia kierowcy, unikając rozgłosu i ciągnięcia po sądach. Zważywszy, że prowadzi motel, łatwo to zrozumieć. Tylko że towarzystwa ubezpieczeniowe nie palą się do wypłacania odszkodowań. Firma twierdzi, że to wina starego, sam wlaź pod ciężarówkę. Zauważył pan, jaką ewolucję przeszło ostatnio pojęcie winy? Słyszał pan o tej sprawie z Los Angeles? Molestowanie seksualne w przedszkolu. Sąd orzekł, że dzieci kłamią, i wyraził oburzenie, że na taką sprawę marnuje się pieniądze podatników. Niewinni wychowawcy padli ofiarą wynaturzonych przedszkolaków.

Nie odpowiedział na to. Po chwili rzekł:

- Wreszcie wszystko rozumiem. Niezręcznie mi było wypytywać. Pani Tucket nie lubi mówić o tej sprawie. Skądinąd trudno się jej dziwić.

- Na pewno się cieszy, że pan tam zamieszkał. To raczej ponure miejsce.

- Mnie to nie przeszkadza - odparł. - Nie przywiązuję wagi do tego, gdzie mieszkam. Żyję bez bagażu.

Ludzie na ogół mówią takie rzeczy - „nie przywiązuję wagi do przedmiotów”, „mogę mieszkać byle gdzie”, „nie lubię sytuacji, które wymagają nowych ubrań” - kiedy pozują na ascetów. Z reguły nie ma to nic wspólnego z tym, jak żyją na co dzień. Posiadacz książek po prostu nie jest w stanie podróżować bez bagażu. Niemniej, sądząc po wciąż brudnych witrynach i podłodze księgarni, Antal rzeczywiście nie zawracał sobie głowy wystrojem wnętrza. Wątpię, czy w ogóle zauważył puste skrzynki na kwiaty pod oknami. Interesowały go wyłącznie książki. Ważne było, czy są tam gdzie on, czy nie.

Omówiwszy małomiasteczkową aferę kryminalną, poświęciliśmy resztę lunchu Fanny

Burney, Deanowi Swiftowi i zbiorowi wczesnych oregonianów, który Antal odkrył w Astorii i miał nadzieję kupić.

Jednakże zagadki kryminalne, o ile są cokolwiek warte, mają to do siebie, że nie dają ci spokoju.

Któregoś popołudnia byłam w sklepie, kiedy wszedł tam Antal. Pani Hambleton i Rose Ellen Sissel powitały go równocześnie:

- Jesteśmy z pana takie dumne! - To Rose Ellen, przymilnie.

- Proszę, oto nasz bohater! - Pani Hambleton, sarkastycznie.

Przydybałam go pod regałem z napojami i czipsami i spytałam, czym się tak wsławił.

- A, wczoraj w motelu wynikła głupia sprawa - bąknął, zarazem polectany i speszony.

Oczywiście zaczęłam go naciskać i skończyło się u Toma w „akwarium”. Stolik w łoży przy oknie ma blat z grubej akrylowej tafli, w której zatopione są muszle, korale, gąbki oraz dwa małe kraby. Spoglądasz w nią jak w niezgłębiony pleksiglasowy ocean. Wszystkie stoliki miały być takie same, ale wykonawca po pierwszym zrezygnował, stwierdzając, że za dużo z tym roboty. Jak mówi Tom, wziął zapłatę w sześciopakach i trawce (było to w latach siedemdziesiątych) i pojechał do Tillamook odlewać świece w piasku. Jego jedyne arcydzieło stoi u Toma, nadając nazwę frontowej łoży. Usiedliśmy przy nim. Śledziłam wzrokiem rozmyte fraktale zastygłych prądów, Antal zaś opowiadał mi następny rozdział motelowego kryminału.

Poprzedniego wieczoru poszedł na spacer plażą. Kiedy wrócił do Bocianiego Gniazda, zobaczył ciężarówkę stojącą na podjeździe. Ucieszył się, że Rosemarie zarobi, i skierował się prosto do swojego segmentu, przed którym stał zaparkowany jego malutki stary sportowy fiacik (kolejne romantyczne akcesorium). Coś jednak - „ta ciężarówka, proszę mi wierzyć, wyglądała po prostu wrednie!” - kazało mu zawrócić do recepcji.

Przy ladzie stali dwaj mężczyźni w dżinsowych kurtkach. Ponownie naturalnym odruchem Antala było uznać tę scenę za naturalną. Zauważył jednak, że Rosemarie nie odwróciła głowy, kiedy wszedł. Tylko jej oczy posłały mu krótkie nagłace spojrzenie i wróciły ku mężczyznom z ciężarówki.

Jeden z nich obejmował dłonią niewielki stylowy telefon, który Rosemarie trzymała na ladzie, jakby chciał nim cisnąć o ścianę. Drugi rytmicznie klepał dzwonek, który również stał na ladzie - zwykły okrągły mechaniczny dzwonek, którym wzywa się recepcjonistę. Antal dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez całą drogę od bramy towarzyszyło mu słabe, piskliwe „dzyń, dzyń!”. Dźwięk urwał się dopiero, gdy wszedł do recepcji. Dłoń mężczyzny

zawisła wreszcie nad dzwonkiem. Obrócił się i spojrzał na Antala.

- Gość był d. u. ż. y - opowiadał Antal. - Duży i brzydki. Duży, brzydki i młody.

Ten, który trzymał rękę na telefonie, spojrzał na Rosemarie Tucket i rzekł z naciskiem: „Zrozumieliśmy się, paniusiu?” Rosemarie stała jak wryta, mówił Antal, sztywna jak kłoda drewna, ale powiedziała dźwięcznym donośnym głosem: „Wynoście się stąd!”

Antal spytał ją, co się dzieje. Mężczyzna stojący bliżej niego, ten od dzwonka, zmierzył go wzrokiem i odparł: „Nic się nie dzieje. Idziemy” - i ruszył wprost na Antala, który stał w drzwiach. Antal ustąpił mu z drogi z jak to określił, „wrodzoną kurtuazją zająca” i facet wyszedł. Drugi stał nadal, jakby niezdecydowany lub nieusatysfakcjonowany. „Zrozumieliśmy się, paniusiu?” - powtórzył, a Rosemarie Tucket warknęła: „Wynocha!”

„Idziemy” - rzekł mężczyzna szyderczym, sztucznie wesołym głosem - „ale jeszcze tu wrócimy. Niech to do ciebie dotrze.” Odwrócił się i nie patrząc na Antala, wyszedł. (Poruszał się jak spychacz, tak to określił Antal). W chwili gdy wypuścił telefon, ręka Rosemarie wystrzeliła w kierunku aparatu. „Numer rejestracyjny!” - syknęła do Antala.

- Stałem jak baran - opowiadał. - Zanim zrozumiałem, o co jej chodzi, tamci wsiedli już do ciężarówki. Wybiegłem na zewnątrz, żeby spojrzeć na tablice, ale chyba się domyślili, ruszyli prosto na mnie, musiałem uskoczyć na ganek recepcji. Potem ten drugi powiedział coś do kierowcy, który przerzucił na wsteczny i runął tą kolubryną... to była wielka ciężarówka na ogromnych kołach... do tyłu, na mojego fiata. Posłyszałem dźwięk, coś jak krzyk metalu, powiadam pani, okropny. Tamci ruszyli do przodu z piskiem opon, pasażer wychylił się, wrzasnął: „Ups, przepraszamy!” i śmiejąc mi się prosto w twarz pokazał mi środkowy palec. Nie zdołałem odczytać tablic, były umazane smarem i kurzem, a lampa przed recepcją daje tyle światła co nic. Wściekłem się. Po prostu się wściekłem. Wskoczyłem do samochodu, kluczyk sam wszedł do stacyjki i zanim się obejrzałem, pułem za nimi jak w filmie, jakbym to nie był ja, a jakiś celuloidowy heros. Silnik nie był uszkodzony, wgnietli mi tylko blachy na jakieś dwieście dolców. W każdym razie tak stwierdził Tim, pod warunkiem że uda mu się tanio dokupić reflektor. Tak czy inaczej, dogoniłem ich, zanim jeszcze zjechali na autostradę.

Kiedy opowiadał, jego ciemna twarz jaśniała, czarne oczy błyszczały.

- O mój Boże - powiedziałam. - Gonił ich pan tym fiacikiem?

Roześmiał się.

- Zrobiłem to całkiem bezmyślnie. Kierowała mną czysta ślepa furia. Miałem zamiar odczytać te numery z tablic i tylko to miałem w głowie. Udało mi się. Bo najśmieszniejsze jest to, że kiedy zobaczyli ścigającego ich jednookiego fiata, spanikowali. Wykręcili tą furą w zjazd na drogę 101 i dali gaz do dechy. A że zakręt był dobrze oświetlony, odczytałem

numery. Obeszło się więc bez samochodowych pojedynków. Sądzę, że takim jak oni łatwo zastraszyć jedną starą kobietę, ale jeśli wkroczy ktokolwiek inny, tchórzą. Zawróciłem, a Rosemarie podała ich rejestrację ludziom szeryfa. Przez cały ten czas wisiła na telefonie. Twarda babka.

- I wcale nie taka stara - dodałam. Mogło to zabrzmieć dziwnie, ale poczułam się urażona, kiedy nazwał Rosemarie Tucket starą kobietą. Była po pięćdziesiątce - jak ja, jak Antal.

Kiwnął tylko głową, nie wnikając w sedno, mogłam więc prędko wyrazić szczerą skądinąd podziw:

- To pan zachował się jak prawdziwy twardziel. Ściaga ciężarówkę fiatem... zwłaszcza gdy dali już panu próbkę tego, co mogą zrobić... i to na południowej pętli obwodnicy, gdzie zwykle nie ma żywego ducha...!

- Zadziałalem odruchowo. I głupio - przyznał, ale było widać, że pochwała sprawiła mu radość.

Szeryf Race znał tych dwóch, rzecz jasna. Nie podjął jednak żadnych widocznych działań. Jego zastępca, który rano odwiedził Bocianie Gniazdo, zapewnił, że incydent się już nie powtórzy.

„Rozmawialiśmy z tymi chłopcami” - oznajmił szeryf Rosemarie przez telefon. Najwyraźniej to jej wystarczyło.

- Ja nie dałabym się tak łatwo zbyć! - prychnęłam, kiedy Antal mi o tym powiedział. Wyobrażam sobie, jak bym się czuła na jej miejscu. Samotna kobieta w tym smutnym zakątku pomiędzy wydmami a mokradłem.

- Osobiście też wołałbym ich zobaczyć za kratkami - mruknął Antal. - Tim mówi, że nie da rady wyklepać zderzaka, a najbliższe miejsce, w którym może kupić używany, to San Francisco... pod warunkiem że uda mu się złapać znajomka, który handluje częściami do włoskich samochodów. Race mnie uspokaja, że wszelkie koszty pokryje ich ubezpieczenie. „Niech pan uzna to za wypadek drogowy”, powiedział. Sprawa sądowa byłaby, jak to określił, śliska. No cóż, nie zamierzam wojować z szeryfem. Ale nachodzi mnie takie dziecinne marzenie, żeby naprawdę dopiec tym dwóm gnojkom. Dlaczego...? - zamilkł nagle z niedokończonym gestem otwartej dłoni.

Dlaczego draniom zawsze się udaje? Wszak przemoc nie stanowi o racji. Przemoc krzywdzi. Lecz Antal się nie skarżył. Podziwiałam jego cierpliwość na równi z odwagą. Powiedziałam mu to. Popatrzył na mnie nad szmaragdową głębią morskiego stolika - przeciągłe, mroczne, pytające spojrzenie.

Tego samego wieczoru przyszedł na kolację do mojego małego domku przy ulicy Clarka. Wypiliśmy półtorej butelki wina barolo, które trzymam w spiżarni na specjalne okazje, a później - z wahaniem, lecz coraz śmielej - zaczęliśmy się kochać.

Nie został na całą noc. W Klatsand jest ten problem, że wszyscy wszystkich znają i o wszystkim wiedzą. Poza tym choć żadne z nas nie powiedziało tego na głos, oboje przywykliśmy do samotności. Kiedy stwierdził, że Rosemarie Tucket nie powinna być nocą sama w motelu, nie próbowałam go zatrzymać. Tamci dwaj dostali poważne ostrzeżenie (a zresztą, jak się okazało, zastępca szeryfa przez okrągły tydzień patrolował radiowozem obwodnicę i wydmy w pobliżu Bocianiego Gniazda). Zgodziliśmy się jednak, że Rosemarie powinna mieć w Antalu niejaki oparcie. Wyszedł około pierwszej w nocy z moim egzemplarzem „Evaliny”. Stałam w drzwiach patrząc, jak oddala się ulicą Cisową (oczywiście przyszedł pieszo, samochód miał w naprawie). Przepelniała mnie cudownie ciepła romantyczna miłość do człowieka o dobrym i nieustraszonym sercu, mojego bohatera. Na oświetlonym rogu ulicy Głównej skręcił i zniknął w ciemnościach letniej nocy. Morze szumiało przeciągle za wałem wydm. Serce miałam wezbrane jak piętnastolatka. Prawdziwa miłość jest naprawdę piękna.

Nasza prawdziwa miłość trwała kilka tygodni, przez całe lato. Po tej pierwszej nocy z największą przyjemnością wspominam wieczory w księgarni. Miałam teraz prawo układać jego książki, niektóre też wyceniać. Zabrałam się do tego bez zwłoki. Nie codziennie, lecz co najmniej dwa razy w tygodniu po zamknięciu sklepu przychodziłam z kolacją w piknikowym koszu. Antal stawiał wino, nie barolo, tańsze, ale całkiem dobre chianti lub frascati z zaskakująco rozsądnie zaopatrzonego magazynu pani Hambleton. Jedliśmy na ladzie, a potem sortowaliśmy książki - te nowo kupione, które miały przed sobą przyszłość, i stare zawalidrogi, których nikt nie chciał. Czytaliśmy sobie na głos urywki, spieraliśmy się o książki i z powodu książek, a potem miłośnie kładliśmy je na półki. Wreszcie szliśmy w milczeniu przez dwie przecznice w półmroku letniego zmierzchu. Antal zwykle wychodził, nim noc zrzędała w półmrok letniego brzasku.

Raz zamiast pikniku w antykwariacie wybraliśmy się na plażę. Rozpaliliśmy ognisko z drewna naniesionego przez morze i przypiekaliśmy na nim hot dogi, słuchając fal. Nazajutrz jednak wróciliśmy do książek, do słów, do naszego własnego żywiołu.

Nigdy nie kochaliśmy się w księgarni. I jemu, i mnie wydałoby się to nieprzyzwoite.

Pod koniec sierpnia od północnego wschodu przyszło rozpogodzenie; w świetle dnia morze było płaskie i oślepiająco błękitne, a nocą niebo ciężkie od olbrzymich gwiazd. Zaczęłam mieć uczucie, które miewam o tej porze roku: jakbym oglądając się, widziała lato,

maleńką słoneczną wysepkę pozostawioną za plecami, a patrząc przed siebie, tęskniła już do chmurnych, nie naniesionych na mapy mórz jesieni. Kiedy jestem w takim nastroju, mam skłonność do kończenia z tym, co się skończyło. Chyba właśnie z takim podświadomym pragnieniem odwiedziłam Antala w Bocianim Gnieździe. W przeszłości często sama prowokowałam koniec, w pełni świadomie dążąc do chwili, w której stanę za drzwiami wiedząc, że je za sobą zatrzasnęłam.

Oczywiście uprzedziłam go, że przyjdę. Była środa; dzień, który w nadmorskiej miejscowości jest czymś w rodzaju świeckiej niedzieli. Planowałam spacer plażą do Wrakowiska, lecz Antal i Rosemarie siedzieli w słońcu, rozkoszując się lekkim wiatrem od morza. Motelowy ogródek jest w istocie owalem zachwaszczonego żwiru w zakolu podjazdu, tego samego, na którym Bob Tucket stracił życie, a fiat Antala - przypisane mu kształty. Stały tam dwa stareńkie drewniane leżaki oraz dwa plastikowe krzesła. Antal siedział na leżaku, Rosemarie na krześle. Nigdy wcześniej nie widziałam Antala w ciemnych okularach. Prezentował się w nich arcymrocznie; Leonard Wolf byłby nim zachwycony. Rosemarie wyglądała na swoje lata (z jej napomknień o emeryturze wynikało, że musiała ich mieć ponad sześćdziesiąt; farbowała włosy i to mnie zmyliło). Była dość tęga, twarz miała zniszczoną i pozbawioną złudzeń, w obejściu była rzeczowa, bezpretensjonalna i w gruncie rzeczy miła. Jej oczy, bardzo jasne i przejrzyste, zdające się patrzeć przez ciebie na wylot, przypominały mi kowbojów, których widywałam, dorastając w Klamath Falls.

Interes się rozkręca, powiedziała. Przez parę ostatnich weekendów motel był „prawie oblegany”. Jakaś rodzina, ponoć miła, wynajęła na cały tydzień segment numer 3. (Siedziałam na leżaku obok Antala i spostrzegłam, jak przewraca oczyma za ciemnymi okularami). Rosemarie była zdania, że uda jej się przebiedować do wypłaty odszkodowania. Potem się zastanowi, co dalej. Byłoby cudownie - prawda? - gdyby stać ją było na zatrudnienie kogoś do napraw i sprzątnięcia. Bob mówił jej kiedyś, że wykupił ubezpieczenie na życie, którego miała być beneficjentką; próbowała ustalić, czy to prawda. Mówiła o tych wszystkich sprawach z mieszanką realizmu i nadziei. Na twarzy miała to kowbojskie zapatrzenie, jakby spoglądała hen w dal, za pustynie i góry.

- Przez tę bieganię nie mam ani chwili czasu dodała przepraszająco. - Nawet jeszcze nie byłam w księgarni Antala. A tak lubię czytać!

- Przynoszę jej po kolei wszystko, co ma statek kosmiczny na okładce - wtrącił Antal. Rosemarie spojrzała na niego i roześmiała się.

Patrząc na nią, poczułam jej rumieniec, jej błogą słabość. Czułam jej pożądanie jak moje własne, a przecież nie było moje.

Zapytała, czy mamy ochotę na lemoniadę, i poszła po nią do mieszkanca za recepcją.

- To bardzo miła kobieta - powiedziałam.

Antal leniwie skinął głową.

Słońce mu nie sprzyjało, miał ziemistą cerę i wyglądał, jakby był zakurzony. Pótleżał niedbale, choć z drugiej strony jak inaczej można siedzieć na leżaku?

Co gorsza jednak, na nogach miał niemieckie ortopedyczne sandały, pod nimi białe skarpetki, a na palcu jednej z tych skarpetek dziurę. Istnieje pewien rodzaj cielesnej abnegacji, który może urzekać u pięknych młodych mężczyzn, ale z upływem lat staje się manifestem braku szacunku dla bliźnich. Tłuste brzuchy sterczące spod rozpiętych hawajskich koszul, siwe kłaki na piersi uwięzione w siatkowych podkoszulkach, paznokcie wyzierające ze skarpet. Bierzcie mnie takim, jakim jestem! - zdają się mówić. A niby dlaczego? To, czego pragnę, jest skryte, tajemnicze, wstydlive. Zapina pod szyję koszule i marynarki. Pozostaje w cieniu. Nie odstręczają mnie skazy - siwizna, utykanie, zgorzknienie i starość; kto wie, może nawet ślepotą, ale one same są cieniem. Mój bohater może mieć dziurawe skarpetki, może mieć dziurawe buty albo w ogóle ich nie mieć, ale nigdy, przenigdy nie napawałby się widokiem własnego niekształtnego paznokcia wystającego ze skarpety. Duma by mu na to nie pozwoliła. Cechą bohatera jest duma, nie samozachwyty. Duma determinuje związek z tym, do kogo się odnosisz; określa stosunek Lucyfera do Boga, a mój do starości i śmierci. Nie będę służył! - powiada dumny demon, a ja mówię: Nie wezmę udziału w tym spisku! Z gniewem odwróciłam wzrok od stóp Antala, który mnie zhańbił.

Rosemarie wróciła z tacą zastawioną szklankami, kubelkiem z lodem i butelkami wody gazowanej o smaku cytrynowo-lemonkowym. Przyjrzałam jej się, żeby ocenić jej dumę. Miała na sobie porządne szerokie spodnie, pończochy, białe sandały na niskich obcasach i bladoniebieską bluzeczkę bez rękawów. Ubrała się tak przez wzgląd na nas, na innych. Jak on śmiał nazwać ją starą kobietą?

Kiedy podała mi szklankę, zrozumiałam, że sypiali ze sobą. Czy każdej nocy, której nie spędził ze mną? Nie, chyba nie każdej. Podała mi tę szklankę z czułością, która chwyciła mnie za serce. Nie miałam możliwości wyrazić tego, co do niej poczułam - tkliwości i gorącego szacunku; chęci, by śmiać się wraz z nią, poznać ją, stać się jej bliska. Wypiłam mdły słodki napój i uśmiechnęłam się do Rosemarie. Pomiędzy nami leżały nogi Antala, jego białe skarpetki i paznokcie.

- Lubi pani science fiction? - spytałam, bo w gruncie rzeczy potrafiał rozmawiać tylko o książkach.

Oczywiście Rosemarie nie umie o nich rozmawiać, wybito jej to z głowy przed wielu

laty.

Znalazłyśmy jednak płaszczyznę porozumienia; stał się nią „Star Trek”, ten stary i „następne pokolenie”. Rosemarie oba podobały się w równym stopniu, ja wołałam stary. Antal wytrzeszczył oczy - nie na Rosemarie, tylko na mnie.

- Oglądasz to? - spytał. - Oglądasz t e l e w i z j ę?

Udałam, że nie słyszę. Poza odrobiną seksu i bohaterstwa z Antalem łączyły mnie tylko książki. Tymczasem z Rosemarie łączyło mnie wszystko, nawet Antal - wszystko oprócz książek. Nie zamierzałam mu pozwolić na drwiny z pospolitości tego, co miałyśmy pospołu.

- Najbardziej podobał mi się ten odcinek, w którym pan Spock musiał wracać na swoją planetę, bo przechodził ruję - powiedziałam do niej.

- Ale wie pani, że do tego nie doszło? - odparła. - Pobili się z kapitanem Kirkiem o dziewczynę, a potem odlecieli.

- Ta jego duma... - bąknęłam niejasno. Myślałam o tym, że pan Spock nigdy nie był rozchełstany, nie wylegiwał się w niedbalej pozie, pozostawał w cieniu, niespełniony, i za to wszystkie go kochałyśmy. Tymczasem biedny kapitan Kirk, zmieniający blondynki jak rękawiczki, nie był w stanie pojąć, czym jest prawdziwa miłość. Nie widział nawet tego, że on sam także kochał pana Spocka - szczerze, beznadziejnie i do grobowej deski.

Rosemarie nie próbowała się do tego odnieść. Antal rozparł się na leżaku i przymknął oczy za okularami, demonstrując pogardę dla naszej filmowej pogawędki.

Westchnęłam.

- Jeszcze tylko dziesięć... nie, już dziewięć dni. Potem wyjeżdżam. Nie mogę uwierzyć, że lato się kończy - stwierdziłam, choć w rzeczywistości łatwo mi było w to uwierzyć.

- Ale przyjedzie pani jeszcze na ferie, prawda? - spytała Rosemarie. - Jest pani nauczycielką?

- Tak. W studium bibliotekarstwa.

- Faktycznie, przecież tam, w mieście, też pracuje pani w bibliotece - powiedziała, jakby Klatsand było oddalone o dziesiątki mil. Ta kobieta nie należała do jego społeczności, żyła na obrzeżu, zapatrzona na zewnątrz, ku pustyni i odległym jałowym górcom. Zawsze z boku, lecz dumna, jak kowboj. Siedziałyśmy razem w słońcu, sącząc lemoniadę i łączyło nas tak wiele, a jednak wiedziałam, że nigdy się nie zaprzyjaźnimy. Nasze drogi biegły w przeciwne strony. Rozdzielała nas pustynia.

Zrobiło mi się smutno. Pożałowałam, że zamiast rozmawiać tu z nią czy z Antalem

(którego melancholijna zwykle mina wydawała się w tej chwili zwyczajnie obrażona), nie mogę spokojnie poczytać jakiejś książki.

- No cóż... - powiedziałam po chwili, wstałam i wyszłam. Wróciłam piaszczystą drogą do miasteczka, usiadłam w moim maleńkim ogródku i czytałam książkę aż do zmroku.

LUNATYCY

John Felburne

Powiedziałem pokojówce, żeby nie przychodziła sprzątać domku przed czwartą po południu, kiedy wychodzę biegać. Tłumaczyłem, że piszę do późnej nocy, a rano odsypiam. Zgadało się, że piszę sztukę. Spytała: „Taką do teatru?” Odpowiedziałem, że tak, a ona stwierdziła: „Widziałam kiedyś jedną”. No to pięknie. Jak się okazało, było to szkolne przedstawienie, musical. Zaznaczyłem, że moja jest innego rodzaju, ale nie podjęła tematu. Szczerze mówiąc, nie widzę możliwości wyjaśnienia komuś takiemu jak ona, o czym piszę. Jej życiowe doświadczenie jest tak nieprawdopodobnie ubogie. Żyje w tej dziurze, sprząta pokoje, potem wraca do siebie i ogląda telewizję; pewnie jakiś teleturniej, z którego mało co rozumie. Myślałem nad dodaniem jej do listy postaci. Wpisałem: „Ava - pokojówka” i nie miałem już czego dodać. To tak, jakbym chciał opisać szklankę wody. Jest uosobieniem tego, co ludzie mają na myśli, kiedy mówią o kimś, że jest miły. Kompletnie nie nadaje się do sztuki. Nie wystaje z tł. Mówi same banały i cała jest banalna. Koło czterdziestki, średniego wzrostu, szeroka w biodrach wypłowiała blondynka z brzydką cerą - połowa białych kobiet zamieszkujących Amerykę wygląda podobnie. Seryjna odbitka. Biegałem godzinę lub półtorej. W tym czasie ona sprzątała domek, a ja rozmyślałem. Ava na pewno nigdy nie biega, w ogóle nie dba o formę. Ludzie tego pokroju nie mają kontroli nad własnym życiem. Uziemieni w mniejszych i większych miasteczkach żyją życiem spod sztancy, zestawem stereotypów czerpanych z telewizji. Jak lunatycy. To byłby dobry tytuł - „Lunatycy”. Ale jak można poważnie pisać o kimś, kto jest całkowicie przewidywalny? Nawet seks bez odrobiny niewiadomej jest nudny.

W tym tygodniu w Chacie nad Potokiem pojawiła się jakaś kobieta. Obserwuje mnie, kiedy po południu biegam do plaży. Zapytałem o nią Avę. Odparła, że to pani McAn; przyjeżdża tu każdego lata na miesiąc. „Jest bardzo miła” - dodała (a jakżeby inaczej!). Pani McAn ma niezłe nogi. Ale jest stara.

Katharine McAn

O, gdybym tylko miała tu wiatrówkę i mogła posłać kulkę w dupę temu gówniarzowi, który gania w obcisłych fioletowych spodenkach i ogląda mnie jak jakieś dziwo.

Spotkałam dzisiaj Virginie Herne w sklepie Hambletonów. Zwróciłam jej uwagę na to, że Klatsand zmienia się w jakiś cholerny ośrodek pracy twórczej. Najpierw ona i jej, jak im tam, Pulitzery, a teraz na dodatek ten młody człowiek tkwi w chacie krytej gontem i wali w klawiaturę do czwartej nad ranem. W Ustroniu jest tak cicho, że słyszę klikanie i pikanie przez całą noc.

- Może to księgowy pracoholik? - zaśmiała się Virginia.

- Księgowi nie noszą takich klujących w oczy szortów - stwierdziłam.

- A, to John. - Wymieniła nazwisko. - Ponoć wystawił sztukę na wschodnim wybrzeżu.

- Co tu robi? - spytałam. - Siedzi u twych stóp?

- Nie, ponoć musi uciec od presji kultury, więc spędza lato na zachodzie.

Virginia świetnie wygląda. Ma ten mroczny, skrywany błysk w oku. Niebezpieczna kobieta, choć niby łagodna jak śmietanka. Zagadnęła mnie o Avę. Ava pilnowała jej domu na Czubie zeszłego lata, kiedy Virginia podróżowała z Jaye. Wtedy się nią zainteresowała, choć nie znała historii, którą Ava opowiedziała mnie. Odparłam, że wszystko u niej w porządku.

Myślę, że naprawdę jest w porządku. Mimo to chodzi ostrożnie. Może tym właśnie zwróciła uwagę Virginii. Ava chodzi tak, jakby wykonywała ćwiczenie tai-chi albo spacerowała po linie. Jedna stopa dokładnie przed drugą i żadnych gwałtownych ruchów.

Pierwszego ranka po przyjeździe właśnie zaparzyłam herbatę, kiedy zapukała do drzwi. Jak co roku usiadłyśmy przy stole w aneksie kuchennym, żeby pogawędzić. Mówiłyśmy głównie o Jasonie. Jest w dziesiątej klasie, gra w baseball, jeździ na deskorolce, surfuje, marzy o desce z żaglem i wakacjach w Hood River.

- Jak sądzę, ocean to dla niego za mało - stwierdziła. Jej głos staje się bezbarwny, kiedy o nim mówi.

Mam wrażenie, że chłopiec jest podobny do ojca, przynajmniej fizycznie; to ją martwi i razi, choć jest wobec niego lojalna. Może ma do niego podświadomy żal, że tylko on przeżył. Czemu ty, a ona nie? Trudno mi zgadywać, co Jason o tym wszystkim wie albo jak to odczuwa. Wydaje się przesympatyczny, co mogłam zaobserwować podczas nielicznych okazji, kiedy tu wpadał. Pochłaniają go te wszystkie sporty, którym chłopcy oddają się bez reszty - może dlatego, że przynajmniej tam stawiane im są wymagania.

Co roku po przyjeździe ustalam od nowa z Avą jej zakres obowiązków. Protestuje, że jeśli nie poodkurza i nie wyniesie śmieci chociaż dwa razy w tygodniu, pan Shoto na nią

„wsiądzie”. Wątpię, żeby to zrobił, ale skoro gryzie ją poczucie obowiązku, niechże odkurza, wynosi śmieci i codziennie zagląda, czy czegoś nie potrzebuję. Przy okazji może wypić ze mną herbatę. Ava lubi Earl Greya.

Ken Shoto

Jest odpowiedzialna. Uświadomiłem Deborze przy śniadaniu, że mamy nieliczne szczęście. Brinnesi muszą zatrudniać kogo popadnie: nastolatki, które nie umieją pościelić łóżka i nie sposób ich tego nauczyć, albo imigrantki, które nie znają języka i zwiewają, gdy tylko nauczą się czegokolwiek. W końcu kto marzy o karierze sprzątaczkki? Tylko ktoś bez wykształcenia albo szacunku do siebie, pozwalającego znaleźć lepszą pracę. Ava także tu nie zostanie, jeśli będę ją traktować tak, jak Brinnesi swoje pokojówki. Doskonale wiem, że spadła nam z nieba. Potrafi sprzątać i będzie pracować za dolara więcej, niż wynosi ustawowe minimum. Czemu więc nie mam jej traktować jak jednej z nas? Po czterech latach? Jeśli chce sprzątać jeden domek o siódmej rano, a drugi o czwartej po południu, to jej sprawa, ustala to z lokatorami. Ja się nie mieszam. Niczego jej nie narzucam.

- Odczep się od Avey, Deb - powiedziałem rano. - Jest odpowiedzialna, uczciwa i mieszka tu na stałe; jej chłopak chodzi do szkoły w Klatsand. Mówię ci, odwała za mnie połowę roboty. Czego chcesz więcej?

- Czyli to ja mam za nią biegać i sprawdzać? - prychnęła Deb. Boże, jak ona potrafi mnie czasem wkurzyć.

- Nie trzeba jej sprawdzać.

- Ty tak uważasz.

- A co niby robi źle?

- Co robi? Nic. Ona nie mogłaby niczego zrobić źle.

Nie wiem, dlaczego Deb wygaduje takie rzeczy. Nie jest chyba zazdrosna? Nie o Awę, na Boga! Wygląda normalnie, wszystko ma na miejscu, ale do cholery, nie da się patrzeć na nią jak na kobietę. Na niektóre po prostu się nie da. Nie wysyłają sygnałów. Nie umiałbym myśleć o niej w ten sposób. Czy Deb tego nie widzi? Więc co do diabła ma przeciwko Avey? Zawsze sądziłem, że ją akceptuje.

- Skrada się i knuje. - To wszystko, co ma jej do zarzucenia Deb.

- Och, proszę cię, Deb! Jest cicha. Może niezbyt bystra. Nie wiem. Nie jest gadatliwa. Niektórzy nie są.

- W tej głuszy wolałabym mieć koło siebie kogoś, kto potrafi wydusić więcej niż dwa

słowa.

- Ty i tak spędzasz całe dni w mieście - powiedziałem, nie mając zamiaru jej krytykować. Stwierdziłem fakt. Ma do tego prawo. Nie kupiłem motelu po to, żeby moja żona zapracowywała się na śmierć albo żeby była do niego przykuta. Ja zarządzam i dbam o wszelkie naprawy. Ava Evans sprząta. Deb jest wolna, może robić, co chce. Tak to miało wyglądać. Najwyraźniej to jej nie wystarcza albo mi nie wierzy, albo już sam nie wiem co.

- Aha - powiedziała. - Ciekawe, czy gdybym była za cokolwiek odpowiedzialna, też byś tak o mnie mówił.

To straszne, jak ona się dołuje. Naprawdę chciałbym wiedzieć, jak ją przed tym powstrzymać.

Deb Shoto

To demon przeze mnie przemawia. Ken nie wie, co we mnie wstąpiło. Jak mam mu to powiedzieć? Jeśli powiem, demon pożre mnie od środka.

Poznał się na tej kobiecie, Avie. Chodząca łagodność, „tak, pani Shoto, oczywiście, pani Shoto”. Krąży wokół ze swoimi wiadrami, mopami, miotłami i workami na śmieci. Ona się ukrywa. Umiem poznać, kiedy kobieta się chowa. Demon też to wie. Znalazł mnie, znajdzie i ją.

Ucieczka nie ma sensu. Pomyślałam sobie, że powinnam jej to powiedzieć. Jak ci wszczepią demona, już się nie wyniesie. To taka namiastka ciąży.

Urodziła syna, więc musiało jej się to przytrafić później. Na pewno za sprawą męża.

Nie wyszłabym za Kena, gdybym wiedziała, że mam w sobie demona. Ale zaczął się odzywać dopiero w zeszłym roku. Wtedy, kiedy miałam cysty, a lekarz obawiał się, że to rak. Zrozumiałam, że mi je wszczepili. Potem się okazało, że nie są złośliwe, i Ken był taki szczęśliwy, ale w miejscu po cystach coś zaczęło się ruszać i mówić do mnie różne rzeczy. A teraz mówi te rzeczy moim głosem. Ken wie, że to tam jest, ale nie wie, skąd się wzięło. Ken wie mnóstwo rzeczy - wie, jak żyć, żyje dla mnie i jest moim życiem. Ale ja nie mogę z nim rozmawiać. Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, to wypełnia mi usta jak mój własny język i mówi rzeczy, które go ranią. A ja nie mam pojęcia, co robić. Więc Ken markotnieje, odchodzi tym swoim ciężkim krokiem i wraca do pracy. Pracuje całymi dniami, a mimo to tyje. Powinien obniżyć cholesterol, ale mówi, że zawsze tak jadał. Nie wiem, co robić.

Bardzo chciałabym z kimś porozmawiać. Demon nie odzywa się do kobiet, więc mogłabym to zrobić. Na przykład z panią McAn. Ale to snobka. Wszyscy ludzie po studiach

to snoby. Mówi za szybko i do tego porusza brwiami. Ktoś taki mnie nie zrozumie. Pomyśli, że jestem stuknięta. A ja nie jestem stuknięta. We mnie mieszka demon. Nie ja go tam zaprosiłam.

Myślałam o tej dziewczynie, która mieszka w domku ze spadzistym dachem, ale ona jest za młoda. Zresztą codziennie jeżdżą gdzieś swoim pikapem. No i też są po studiach.

Do sklepu Hambletonów przychodzi staruszka, pani Inman. Wygląda na dobrą kobietę. Żałuję, że nie mogę z nią porozmawiać.

Linsey Hartz

W Ustroniu Hanny wszyscy są porąbani. Aż trudno uwierzyć. Na przykład państwo Shoto. Totalny odjazd. On jest w sumie miły. Ale potrafi przez cały dzień grzebać w rowie, który przekopał od strumienia. To taka jego zabawkowa rzeczulka. Albo plewi, strzyże i grabi. Wracając do motelu któregoś popołudnia, widzieliśmy, jak zbiera ze ścieżki świerkowe szpilki, całkiem jak pani domu nitki z dywanu. Nad tą swoją rzeczulką zbudował malutkie mostki, a wzdłuż ścieżek biegnących między domkami poukładał kamienie. Przekłada je codziennie, wyrównuje, ustawia wedle rozmiaru.

Pani Shoto obserwuje go z okna kuchni albo wsiada do auta i jedzie ćwierć mili do miasteczka. Tam przez pięć godzin robi zakupy i wraca z jednym kartonem mleka. Jest zgorzkniała, mocno zaciska usta. Nigdy się nie śmieje. Uśmiech to dla niej ogromny wysiłek, ciężko nad nim pracuje i pewnie musi potem godzinę wypocząć.

Pani McAn przyjeżdża każdego lata i zna tu wszystkich. Chodzi spać o dziewiątej wieczorem, wstaje o piątej rano. Wykonuje jakieś chińskie ćwiczenia na ganku i medytuje na dachu. Na dach wchodzi z daszku nad gankiem, a na daszek - z okna.

Z kolei pan Luluś kładzie się o piątej rano, wstaje o trzeciej po południu i nie zadaje się z tubylcami. Komunikuje się wyłącznie z komputerem. Z pewnością ma tam kupę modemów i prawdopodobnie również faks. Biega po plaży codziennie o czwartej, bo wtedy większość ludzi jest właśnie na plaży. Wszyscy mogą podziwiać jego fioletowe opięte spodenki, umięśnione nogi i adidas za sto pięćdziesiąt dolców.

No i w końcu jesteśmy tu ja i George. Codziennie wyjeżdżamy mapować miejsca, gdzie służba leśna wraz z firmami drzewiarskimi nielegalnie wycina stare drzewostany w pasie przybrzeżnym. Robimy to, aby napisać artykuł, którego i tak nikt, nawet w tajemnicy, nie opublikuje.

Trójka obsesjonatów, jeden egotyk i dwoje paranoików.

Jedyną normalną osobą w Ustroniu jest pokojówka. Po prostu przychodzi, mówi: „Dzień dobry” albo: „Czy potrzeba ręczników?” i odkurza w czasie, kiedy my tropimy drwali. W zasadzie zachowuje się jak zwykły przeciętny człowiek. Spytałam, czy stąd pochodzi. Odpowiedziała, że mieszka tu już kilka lat. Jej syn chodzi do szkoły w Klatsand. „To przyjemne miasto”, powiedziała. Ma w twarzy coś czystego i nieskażonego, jasnego niczym woda. Dla takich właśnie ludzi my, paranoicy, ratowalibyśmy lasy, gdyby dało się to zrobić. W każdym razie dzięki Bogu, że istnieją jeszcze ludzie, którzy nie są do końca popieprzeni.

Katharine McAn

Spytałam Avę, czy ma zamiar zostać tu, w Ustroniu. Stwierdziła, że raczej tak.

- Mogłabyś dostać lepszą pracę - powiedziałam.

- Chyba tak - odparła.

- Milszą.

- Pan Shoto jest bardzo miły.

- Ale pani Shoto...

- Jest w porządku - odparła z przekonaniem.

- Może w stosunku do pana Shoto bywa trudna, ale nigdy nie odgrywa się na mnie.

Ona też jest całkiem miła, tylko...

- Tylko?

Ava wykonała powolny, dostojny gest otwartą dłonią.

- Sama nie wiem. Kto to wie. To nie jej wina, wszyscy jedziemy na tym samym wózku. W każdym razie nie mam z nią zatargów.

- Z nikim nie masz zatargów! Mogłabyś znaleźć sobie lepszą pracę, Ava.

- Nie mam kwalifikacji, pani McAn. Wychowano mnie na żonę. Tam gdzie mieszkałam, w Utah, kobiety są ż o n a m i. - Wymówiła to z silnym naciskiem na „ż”. - Tylko na tym się znam. Sprzątaniu i tak dalej.

Zdałam sobie sprawę, że wyrażam się lekceważąco o jej pracy.

- Po prostu chciałabym, żeby ci lepiej płacili powiedziałam.

- Na Święto Dziękczynienia poproszę pana Shoto o podwyżkę. Oczy jej roz błysły.

Zdaje się, że to był długo opracowywany plan. - Da mi ją.

Uśmiech Avy jest krótki, nigdy nie rozsiada się dłużej na ustach.

- Chcesz, żeby Jason poszedł do koledżu?

Aż się wzdrygnęła.

- Jeśli zechce - odparła wymijająco. Ten pomysł ją niepokoił. Perspektywa opuszczenia Klatsand, a nawet wyjazdu Jasona w szerszy świat, przerażała ją i pewnie zawsze będzie przerażać.

- Nie ma się czego obawiać, Ava - powiedziała delikatnie. Widok jej strachu jest dla mnie bardzo bolesny, a ja zawsze staram się unikać bólu. Chcę, by uwierzyła, że jest wolna.

- Wiem - odpowiedziała, robiąc krótki, głęboki, spazmatyczny wdech. I znów to drgnienie.

- Nikt cię nie ściga i nigdy nie ścigał. To przecież było samobójstwo, pokazywałaś mi wycinki.

- Spaliłam je - odparła.

LOKALNA STRZELANINA. MĘŻCZYZNA ZABIJA CÓRKĘ, A POTEM SIEBIE. Pokazywała mi te wycinki dwa lata temu. Wciąż niezwykle wyraźnie widzę je w pamięci.

- To naturalne, że chciałaś się stamtąd wyprowadzić. Nie ma w tym nic podejrzanego. Nie musisz się ukrywać, Ava. Nie masz się przed czym ukrywać.

- Wiem.

Wierzy, że mam rację. Przyjmuje moje słowa i wierzy mi na tyle, na ile może. A ja wierzę jej. Wszystko, co mi powiedziała, uznałam za prawdę. Skąd wiem, że to prawda? Bo ktoś tak powiedział i widziałam notatkę prasową, która mogła być wytworem wyobraźni? Wiem jedno: to prawda niepodobna do wszystkich innych, jakie w życiu poznałam.

Plewila warzywa w ogrodzie za domem w Indo, w stanie Utah. Usłyszała strzał. Wbiegła przez kuchenne drzwi do środka, do saloniku. Mąż siedział w fotelu, a dwunastoletnia Dawn leżała na dywaniku przed telewizorem. Ava zatrzymała się w drzwiach i spytała: „Co tu się dzieje?” albo: „Co się stało?”; nie pamięta już dokładnie słów. Mąż odpowiedział: „Ukarałem ją, bo mnie splugawiła”. Ava podeszła do córki. Dziewczynka była naga, miała roztrzaskaną głowę i ranę postrzałową w piersi. Strzelba leżała na stoliku. Podniosła ją.

Kolba była pokryta krwią i śluzem.

- Myślę, że się go bałam - opowiadała. - Nie wiem, dlaczego ją wzięłam. Powiedział: „Odlóż to!”, a ja, wciąż trzymając strzelbę, cofnęłam się do drzwi frontowych. Wstał z fotela. Wymierzyłam w niego, ale szedł dalej, więc strzeliłam. Zwalił się do przodu, praktycznie na mnie. Położyłam strzelbę przed progiem, obok jego głowy, i wyszłam. Jason miał lada moment wrócić z treningu baseballu, chciałam go zatrzymać, nim dojdzie do domu. Spotkałam go na drodze i poszliśmy do pani... - urwała, jakby imię sąsiadki nie mogło zostać ujawnione - ...do domu sąsiadów. To oni wezwali policję i karetkę - relacjonowała spokojnie.

- Wszyscy uznali to za morderstwo i samobójstwo. Nic nie powiedziałam.
- Oczywiście, że nie - wyszeptałam wyschniętymi wargami.
- Zastrzeliłam go - powiedziała patrząc na mnie, jakby chciała się upewnić, że rozumiem. Pokiwałam głową.

Nigdy nie zdradziła mi jego imienia. Nie wyjawiała również, jakie nazwisko nosiła po ślubie. Evans to jej panieńskie nazwisko, stwierdziła.

Zaraz po podwójnym pogrzebie poprosiła sąsiada, żeby zawiózł ją i Jasona do najbliższego miasta, gdzie była stacja kolei Amtrak. Wzięła wszystkie pieniądze, jakie mąż schował w piwnicy pod stosem zapasów zgromadzonych na wypadek wojny nuklearnej lub inwazji komunistów. Kupiła dwa bilety na pierwszy pociąg w kierunku zachodnim. Jechał do Portland. Już na pierwszy rzut oka zorientowała się, iż Portland jest „za duże”. Na przystanku linii Greyhound, przy końcu ulicy, stał autobus; spytała kierowcę, dokąd jedzie.

Wymienił wszystkie małe nadmorskie miasteczka na trasie.

- Wybrałam to, które wydawało się najbardziej odległe - powiedziała.

Ona i dziesięcioletni Jason przybyli do Klatsand, gdy letni wieczór przechodził już w zmrok. Motel Biała Mewa był pełny i pani Brinnesi odesłała ich do Ustronia Hanny.

- Pani Shoto była dla nas bardzo miła - powiedziała Ava. - Nie skomentowała tego, że przyszedliśmy na piechotę i w ogóle. Było już ciemno, kiedy tam dotarliśmy. Nie mogłam uwierzyć, że to motel. Nie było widać nic oprócz drzew, jak w lesie. Pani Shoto powiedziała tylko: „Ten młody człowiek jest już bardzo zmęczony” i umieściła nas w tym trójkątnym domku, bo tylko tam było miejsce. Pomogła mi rozłożyć turystyczne łóżko dla Jasona. Naprawdę była bardzo miła. - Ava zamilkła na krótko, jakby chciała jeszcze przez chwilę zatrzymać w pamięci obraz odnalezionego raj. - Następnego ranka poszłam do biura i spytałam, czy nie znają jakiegoś miejsca, gdzie mogłabym znaleźć pracę. Pan Shoto stwierdził, że potrzebują pokojówki na pełny etat. Było tak, jakby właśnie na mnie czekali.

Nie kwestionuje się wyroków Opatrzności, kiedy daje schronienie. Czy to również Opatrzność włożyła jej broń do ręki? A jemu?

Zajmuję z Jasonem małe mieszkanie w przybudówce do domu Hanningerów na ulicy Clarka. Wyobrażam sobie, że w pokoju trzyma zdjęcie Dawn, szkolne zdjęcie uśmiechniętej siódmoklasistki w ramce pięć na siedem cali. A może i nie. Nie powinnam sobie wyobrażać niczego na temat Avy Evans. To nie temat do snucia fantazji. Nie powinnam sobie wyobrażać dziecięcego ciała na dywaniku między stolikiem a telewizorem. Nie powinnam być zmuszona do oglądania go nawet w wyobraźni, Ava zaś - do dźwigania go w pamięci. Czemu chcę dla niej lepszej pracy, przyjemniejszego zajęcia, wyższych stawek? O czym ja plotę? O gonitwie

za szczęściem?

- Muszę iść posprzątać u pana Felburne'a - powiedziała. - Herbata była pyszna.

- Teraz? Przecież kończysz o trzeciej, prawda?

- Och, on pracuje w dziwnych godzinach. Prosił, żebym przyszła dopiero po czwartej.

- A więc musisz czekać na niego przez godzinę?

Gość ma tupet! - Byłam oburzona (klasa średnia może sobie pozwolić na luksus oburzania się). - Żeby on mógł sobie pobiegać? Ja bym mu powiedziała, żeby puknął się w ten głupi łeb!

Czy naprawdę bym tak powiedziała, gdybym była pokojówką?

Ava jeszcze raz podziękowała za herbatę.

- Tak przyjemnie mi się z panią rozmawia - westchnęła. A potem odeszła schludnie wygrabioną ścieżką między domkami, pośród starych ciemnych świerków. Szła ostrożnie. Jedna stopa dokładnie przed drugą. Żadnych gwałtownych ruchów.

DOLMENY

Dni po śmierci Barbary nie były określonym czasem, lecz miejscem o określonym kształcie. Miejscem, w którym Shirley musiała się skulić i trwać nieruchomo, gdyż tylko to mogła zrobić.

W dniu pogrzebu poczuła, że niebawem zdoła się podnieść. Odkryła, że są z nią Angus i Jen, dzieci Barbary. Ale Barbary już nie było. Shirley nie wiedziała, jakie teraz łączą ich stosunki. Jakie powinny łączyć.

Angus zachowywał się jak na syna przystało. Oczywiście był synem - Barbary, nie jej. Pomimo to był uprzejmy, spokojny i kompetentny. Działał bez wahania. Został dzień po pogrzebie i właśnie wyjeżdżał.

Shirley stać było jedynie na wyświechtany frazes:

- Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Angus miał do powiedzenia coś więcej i powiedział to:

- Ojciec powinien był się zjawić na pogrzebie.

- Och, cóż... - W gruncie rzeczy Shirley była szczęśliwa, że Dana nie było. Ale Angus miał rację.

- Tatuś nie bierze udziału w takich imprezach. Tatuś ma bóle pleców - syknęła Jen wściekła, jak można się było spodziewać. - Kiedy kończyłeś prawo, miał bóle. Kiedy ja kończyłam prawo, miał bóle. Nie pojawi się na własnym pogrzebie. „Nie mogę się ruszać, co za okropny ból. Może pochowajcie kogo innego!”

- Przykro mi, że go nie było - odparł bezkompromisowo Angus.

Ucałował siostrę, obejmując ją ramionami w ten dający poczucie bezpieczeństwa braterski sposób, który Shirley wydał się miły, choć najeżona Jen nie wyglądała, jakby miało ją to ułagodzić. Lekko cmoknął Shirley, już bez uścisków. Poklepała jego ramię w tweedowej marynarce. Zszedł do auta, wsiadł do niego i rzucił im, stojącym na ganku, pozbawione uśmiechu pożegnalne spojrzenie. A potem odjechał ulicą Clarka, wyrzucając spod kół fontanny pylistego żwiru.

- Co za przyzwoity człowiek. Szlachetny - powiedziała Shirley, obserwując, jak bryza z północnego zachodu niesie pył i osadza go złocistą mgiełką na geranium Hanningerów.

- Nie wypada ci tak mówić.

Zaskoczona i zbита z tropu Shirley nie odpowiedziała. Poczula się jak intruz. Jen, która zwykle się garbiła, stała teraz wyprostowana i mówiła powoli, gderliwie:

- Nienawidzisz mężczyzn. Najchętniej byś ich wszystkich wykastrowała.

Ona naśladuje ojca, zdała sobie sprawę Shirley.

- Więcej, mordowałabyś ich jeszcze przed urodzeniem. - Napuszony, gulgoczący głos należał do Dana McDermida, ale po policzkach Jen płynęły łzy.

Shirley prędko odwróciła wzrok, skonsternowana jak nigdy dotąd.

- Angus przypomina mi Gary'ego Coopera - powiedziała.

Jen milczała i Shirley zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle wie, kim był Gary Cooper. Wszystko się zmieniło, nikt nie znał już nazwisk, które ona znała. Odkąd pięć lat temu przeprowadziły się do Klatsand, nie jeździły do kina i nie oglądały telewizji z wyjątkiem czegoś, co Barbara nazywała „MacNeill i Lacey”. Wypadły z obiegu. Jednakże Sean Connery nie był jeszcze starcem, a kiedy wymieniła go w rozmowie z małą Chelsea Houk któregoś dnia w piekarni, na twarzy dziewczynki odmalowała się pustka. Trzeba przyznać, że Chelsea zwykle tak wygląda, rozmawiając z kimkolwiek powyżej dwudziestego roku życia.

Jen wciąż cicho płakała, toteż Shirley musiała mówić dalej, aby zachować twarz - swoją i jej - i ukryć fakt, że boją się nawzajem dotknąć.

- Angus jest moralny w taki sposób jak Gary Cooper - powiedziała. - To znaczy jak odtwarzane przez niego postacie. On sam był chyba po prostu aktorem, ale musiał mieć pewną wrażliwość moralną. Dziś należy się okopywać, opierać, uzbrajać. Gary Cooper jest jak skała, lecz odsłonięta, podatna na wichry i burze. Moja babcia nazywała to „charakterem”. Ludzie już tak nie mówią, prawda?

Nie pomogło. Jen w dalszym ciągu usiłowała dumnie powstrzymać szloch. Shirley zacisnęła zęby, odwróciła się i poklepała ją po szczupłym ramieniu, mrużąc:

- Już dobrze.

Jen sztywna, oporna, ciężko łapała powietrze.

- Już dobrze - powtórzyła Shirley. Zdesperowana zeszła po dwóch stopniach na podwórko i zaczęła wyrywać komosę.

Miała nadzieję, że Jen też wkrótce wyjedzie. Nie mogły się nawzajem pocieszyć. Ona sama czuła się już lepiej, była w stanie się podnieść i zjeść wtedy, gdy czuła głód, albo iść na plażę, nie martwiąc się o to, że w domu została osamotniona Jen.

Pasek ziemi pomiędzy gankiem a chybotliwym płotkiem ze sztachet był tak wąski, że ledwo starczało miejsca, by uklęknąć. Tkwiły na nim stłoczone efekty ogrodniczych napadów Barbary: niecierpki, róże, lobelie i tygrysie liliowce zduszone przez komosę. Opuściła się na

kolana, żeby je oswobodzić. Gdy tylko dotknęła dłońmi piaszczystej ziemi, powrócił obraz kamieni w Kornwalii. Zrozumiała, że był z nią przez cały czas. Widziała go przez okrągły tydzień, słuchając ostatnich tchnień Barbary - przeciągłych, głośnych, rozdzielonych długimi przerwami. Teraz były obrazem jej samej. Kształtem, jaki przybrała we własnej duszy.

Trzy bloki nieobrobionego granitu. Dach ciężący na dwóch równoległych ścianach. Kiedyś narzucono na to kamienne domostwo ziemię, nakryto je wielkim kopcem. Został rozwiany przez stulecia jak pył spod kół hondy Angusa. Obłok pyłu w świetle długiej jesieni, niesiony przez morski wiatr. Nie pozostało nic oprócz ścian z kamienia, kamiennego dachu i wiatru dmącego na wskroś między nimi.

Widziały z Barbarą takie kamienne konstrukcje podczas dwutygodniowej pieszej wycieczki po Dorset i Kornwalii. To był ich miodowy miesiąc. Barbara użyła kiedyś tego określenia, jeden jedyny raz. Potem ustaliły, że nie będą używać niewłaściwych określeń tylko dlatego, że lepszych nie ma. Razem weszły pod ciężki dach, przykucając pomiędzy ścianami. Teraz, dotykając rękoma ziemi, widziała i czuła tamten morski wiatr, tamten inny blask słońca, świadoma cienia zalegającego między chylącymi się ku sobie płaszczyznami zerodowanego kamienia. Zimny, czysty mrok. Posadzka z ubitej ziemi.

To miejsca pochówków. W Kornwalii, nie wiedzieć czemu, mówią na nie *quoits*. Stoją na wysmaganych stokach nadmorskich wzgórz. To nie są pojedyncze groby, kiedyś miały drzwi - czwarty, obrotowy kamień. Zachował się jeszcze przy niektórych. Przez te drzwi raz po raz zmarli wchodzili do środka, a żywi wychodzili na zewnątrz. Jak Romeo i Julia, i Tybalt dotrzymujący im towarzystwa w śmiertelnym całunie, a z nim jeszcze starsze kości dawnych Kapuletów. Wszyscy razem, solidarnie. Śmierć była dawniej domem, nie otchłanią.

Zawsze trzeba mieć jakieś towarzystwo, pomyślała Shirley.

Najwierniejszym kompanem Jen był prawdopodobnie Angus. Jej matka zmarła, ojciec był tyranem, mąż ożenił się ponownie, a dzieci nie miała. Kto jej jeszcze pozostał? Chyba że był jeszcze ktoś, o kim nie wspominała. Przy tych wszystkich rozsadach, rozbitych rodzinach i oczywiście tak modnym kazirodztwie ludzie nie poświęcają wiele uwagi więzom między rodzeństwem. A jednak Jen mogła płakać, gdy jej brat wyjechał.

Szarpiąc się z ostem, pomyślała o własnym bracie. Kiedy narodził się ruch hipisowski, Dodds miał trzydzieści pięć lat i był agentem ubezpieczeniowym. W jednej chwili zrozumiał, że nadszedł jego czas. Zawiązał bandanę na głowie i ruszył na północ Maine, aby grać na perkusji i realizować się w komunie. Nadal tam mieszkał - sześćdziesięciolatek o obliczu Buddy, obwieszony koralikami, wciąż walił w bębny i rył ziemię motyką. A wraz z nim

pięcioro czy sześcioro adoptowanych dzieci i zmienna liczba żon lub czymkolwiek były. Dodds uprawiał ziemniaki i czytał opowieści indiańskiego szamana Czarnego Łosia. Angus dzwonił do niego. Angus zrobił wszystko co należy w czasie tych dwóch dni, kiedy Shirley mogła się tylko kulić na podłodze lub łóżku pod przygniatającym ją ciężarem, niezdolna wykrztusić nawet słowa. Kiedy już się pozbierała, Dodds rozmawiał z nią dwa razy z płatnego automatu. Na linii wśród trzeszczenia i wycia słychać było blade echa innych głosów, jakby dzieliła ich nie tylko odległość, ale również dekady. Zaprosił ją do siebie na tak długo, jak długo zechce. Pojedzie tam. Przez jakiś czas pobędzie ze swoim bratem na wsi. Ale najpierw musi przejść się plażą. Koniecznie w zimie, w mroczny zimowy dzień, kiedy z powodu wiatru nie da się stać prosto.

Mocne korzenie ostu splątały się z korzeniami róży.

Z jej mogiły wyrósł krzew róży czerwonej, a z jej grobu - głóg strzelisty. Czy zrobiła wszystko co należy, tak jak Angus? Nie musi już przykucać, by doświadczyć czystego mrocznego miejsca, jego kształtu. Spojrzała na ganek. Jen weszła już do środka. Słońce stygło w ławicy jasnej mgły. Ciepło parowało z dnia jak woda z wanny.

Czuwałam przy niej tej nocy, kiedy zmarła, pomyślała. Zadzwońłam po dzieci i rano przyjechały. Potem, kiedy mogłam znów funkcjonować, były telefony, nekrologi w gazetach, kremacja i pogrzeb. A potem wróciliśmy tutaj, pisaliśmy listy, ludzie dzwonili. A teraz? Teraz Angus wyjechał. Jen też wyjedzie. I wtedy wszystko się dopełni. Zostanę w tym domu sama. Czy jest coś, co pominęłam?

Była pewna, że czegoś tu brakuje. Jakiejś czynności lub obowiązku. Przede wszystkim jednak brakowało Barbary. Bez niej nic nie mogło się wypełnić do końca.

Córka Barbary weszła do domu ze łzami w oczach. Shirley stchórzyła, schowała się przed nią w komosie i ostach. Nie zrobiła tego, co powinna była zrobić. Muszą płakać razem, jeśli zajdzie taka potrzeba. *Gałęzie splotły się miłością; lud patrzy i lzy roni...*

Shirley wbiegła na ganek, otrzepując ziemię z rąk, i weszła do domu. Jen siedziała na sofie, czytając gazetę. Wyglądała na oburzoną.

- Sędzia Stevens wycofał się ze sprawy? Pewnie cierpiał na bóle pleców! Jezu H.!

Zestaw wykrzykników Jen był dość oryginalny. Jezusa H. i Jozafata zapożyczyła od ojca, lecz „Paniejeju” miało, jak piszą w słownikach, nieustaloną etymologię. Użyła go, przenosząc wzrok na następną kolumnę.

- Paniejeju, co jest z tymi Angolami? Czy jeśli Thatcher zaproponuje prywatyzację powietrza, wszyscy zakrzykną: „Ou! Cudownie!” i będą za tym głosować? Prywatyzacja wód! Jezu H.!

- Śmieszne słowo, ta prywatyzacja - powiedziała Shirley, której widok rozgniewanej Jen sprawił ulgę.

- Dopiero Barbara musiała mi uświadomić, że sektor prywatny to po prostu biznes. Przeciwnością prywatyzacji powinno więc być upublicznienie, ale nie jest. Zatem co? Socjalizacja chyba? Tylko że nikt się już nie socjalizuje, prawda? Co najwyżej resocjalizuje.

- Socjalizm? To pojęcie umarło, podobnie jak „charakter” - warknęła Jen, przerzucając gwałtownie kartki, by dostać się do komiksów.

Shirley doceniła aluzję. Jen była spostrzegawcza, tak jak Barbara. Poza tym wcale jej nie przypominała. Cechy Barbary w Angusie działały na Shirley kojąco; ich nieobecność u Jen sprawiała ból. Nieobecność potęgowała brak. Wyrwę, o której się nie mówi, którą trzeba omijać, żeby w nią nie wpaść. Zaprzeć się, trwać mocno jak kamienny dolmen. Kamień wrosnięty w ziemię i kamień na kamieniu. I pustka - nie „pod”, lecz „w”.

- Niedokładne przeciwieństwa mnie irytują powiedziała, siadając w fotelu. Zdała sobie sprawę, że jest zmęczona i bołą ją nogi. - Odgrywa się na mnie drobiazgowość, której nie mogłam dać upustu, kiedy uczyłam. Brak przeciwieństwa jest jeszcze gorszy. Na przykład jak to będzie? Maskulinizm? Hominizm?

- Brzmi jak coś na śniadanie w Alabamie.

- W sumie całkiem niezłe - odparła Shirley ponuro i zamilkła.

Jen oglądała historyjki obrazkowe z tym samym wściekłym zaangażowaniem, które poświęciła pierwszym stronom.

- Ha! - rzuciła pogardliwie, lecz nie wyjaśniła, co ma na myśli.

Korzystając z tego, że ma na nosie okulary do dali, Shirley usiłowała przeczytać rubrykę Ann Landers na odwrocie gazety trzymanej przez Jen. Dzielila je tylko szerokość dywanika, jednakże nie za bardzo mogła skupić wzrok. Zresztą rubrykę zajmował chyba jeden z tych koszmarnych wierszy, o których wydrukowanie proszą czytelnicy (tak przynajmniej twierdzi Ann Landers). Jakby nie można było w niej zamieścić czegoś ciekawego.

- Piątek - odczytała Jen z kalifornijskiej rubryki lokalnej, przeniesionej na skraj lasu w nadchodzącym zmierzchu. Takie sowe klimaty.

- Co?!

Jen patrzyła na nią znad złożonej gazety świdrującym spojrzeniem jasnobrązowych oczu. Shirley zawstydzila się tego, że zasnęła. Nie mogła pozbyć się obrazu sowy wyzierającej oczyma Jen.

- Mówię, że wrócę do Salem w piątek. Chyba że chcesz, żebym została dłużej. Senator

Bombast dał mi wolne na cały następny tydzień. Ewentualnie mogę wyjechać szybciej, jeśli wolisz. Choćby jutro. - Patrzyła na Shirley bez zmruczenia powiek.

- Nie, nie - odparła Shirley słabo. - Jak ci pasuje.

- Jeden dzień starczy, żeby uporządkować co tam chcesz.

- Tak. W sumie wszystko już załatwione. Przecież oboje jesteście prawnikami.

- Matka wszystkie sprawy miała uporządkowane - odparła Jen sucho.

- Chodzi mi o kilka drobiazgów.

- Jakich drobiazgów?

- Może chciałabyś je zabrać.

- Wszystko jest twoje, Shirley.

- Została biżuteria. I o, ten dywanik. A poza tym wszystko, cokolwiek byś...

- Zostawiła je tobie - powiedziała Jen i Shirley usłyszała w jej słowach zarzut. Nie pazerności; tchórzostwa.

- Powinnaś mieć jakieś rzeczy po niej. A ja nie mogę. - Wyciągnęła przed siebie dłoń.

Masywny srebrny pierścionek, który Barbara kupiła jej w Nowym Meksyku, przekręcił się na chudym, wężlastym palcu. Wyprostowała go. - Nie mogę nosić jej ozdób. Poza tą.

- Więc je sprzedaj.

- Wołałabym, żebyś je wzięła. Trudno mi...

Jen wciągnęła oddech i pokiwała głową.

- Buty - powiedziała Shirley. - Nosisz ósemkę.

Jen, przygnębiona, znowu pokiwała głową.

- Rzucę na nie okiem.

- Ubrania.

- Pomogę ci je spakować.

- Po co?

- Dla schroniska dla kobiet w Portland, jeśli tu nie znajdziesz chętnych. Pracowałam kiedyś dla nich społecznie. Sprawnie działają.

Brawo! pomyślała Shirley, widząc teraz w bursztynowych oczach Jen zdecydowanie, właściwe dziennym drapieżnikom. Jastrząb, nie sowa.

- Dobrze - powiedziała głośno.

- Jeszcze coś w tym rodzaju?

- No, sama zobaczysz, czy chcesz mieć jeszcze coś, co należało do niej. Jakoś nie mogłam się do tego zabrać, kiedy był tu Angus. Bałam się, że uzna to za bezdusność. No wiesz, dzielenie łupów.

Jen niespokojnie poprawiła się na sofie, jakby jej chude, kanciaste ciało nie mogło znaleźć sobie wygodnej pozycji.

- To kobiety powinny obsługiwać śmierć - powiedziała. - Grzebać zmarłych. Tak samo jak położna powinna być kobietą. Mężczyźni mają zbyt wiele uprzedzeń i za dużo hormonów. Nie mogłam patrzeć, jak dotykali ciała mamy, choć trwało to tylko chwilę. Zdołałam to znieść tylko dlatego, że byli obcy. Wynajęci. Gdybyśmy mogły to zrobić we dwie, ty i ja, to byłoby właściwe. Słuszne. Bez Angusa. Angus by się do tego nie nadawał. To powinny robić kobiece ręce.

Shirley była zaskoczona. Całą sobą zgadzała się z opinią Jen. Było to coś, co Barbara nazywała „organicznym tak”. Nie podobało jej się tylko zdanie: „Nie mogłam patrzeć, jak mężczyźni dotykali ciała mamy...” Wydawało się teatralne, a zarazem wyświechtane. Niektóre rzeczy powinny zostać niedopowiedziane. I może dlatego kobiety powinny zajmować się pogrzebami, a może nie. Nieostrzy obraz z Dickensa pojawił jej się przed oczami. Stare kobiety wokół ciała Scrooge’a, ciągnące losy o... co to było? Prześcieradło? A może całun? Zasłony przy łóżku, ciemne, pomarszczone jak zwietrzały granit. Dające osłonę. Staruchy bez serc trajkoczą, ciągną losy... Właściwe osoby na właściwym miejscu.

- Jeszcze coś - dodała Jen, a Shirley poczuła, że kuli się odruchowo jak królik przed jastrzębiem. - Nie podobał mi się nekrolog w gazecie.

- Och, przepraszam! Myślałam...

- Nie, nie! To, co im podałaś, było w porządku. Chodzi o to, co oni z tego zrobili. „Osierociła”. Osierociła syna w Portland, córkę w Salem i dwoje wnuków. Jezu H.! Litości!

Shirley zamarła, usiłując zrozumieć, co niestosownego lub zdroźnego znalazła w tym sformułowaniu Jen.

- Chodzi mi o ciebie - uściśliła Jen. - Nie mogli o tobie napisać?

- Jak?

- A choćby: „Pozostawiła nieutuloną w żalu kochankę, Shirley Bauer”.

- Przecież to nieprawda. Nie byłam jej kochanką.

Teraz Jen przypominała sowę w świetle dnia. Okrągłe oczy patrzyły na nią tępo, nie mogąc złapać ostrości. Shirley wstała, czując, jak w jej żyłach wzbiera elektryczne napięcie.

- Nie byłam jej kochanką - powtórzyła. - Ona nie była moją. Nie cierpię i ona też nie cierpiała tego głupiego słowa. Kochanka! Przecież to słowo nie ma nic wspólnego z miłością. Mówi tylko o seksie, romansie. Jest brudne, cyniczne i łzawe. Nigdy nie byłam „kochanką” Barbary. Oszczędź mi tego.

Po krótkiej przerwie Jen odważnie, aczkolwiek spuściwszy nieco z tonu, spytała:

- Przyjaciółką?

- Eufemizmów też mi oszczędź - odparła Shirley wyniośle.

- Cóż... - Jen zawahała się, nie znajdując słów, chociaż ewidentnie przebijała się przez ich pokłady, odrzucając jedno po drugim.

Shirley przyglądała jej się z ironią.

- Widzisz? - powiedziała. - Nie ma dla nas słów, które miałyby właściwe znaczenie. Dla żadnej z nas. Dla nikogo. Nie możemy powiedzieć, kim jesteśmy. Nawet mężczyźni w tej kwestii są bezsilni. Czy w gazecie wspomniano o byłym mężu? A facecie, z którym żyła, zanim poznała twojego ojca? Jak go nazwać? Nie mamy słów na określenie tego, co robimy. Żona, mąż, kochanek, były, drugi, to wszystko resztki. Skrawki innej cywilizacji, które nie mają do nas zastosowania. Nic nie ma znaczenia oprócz prawdziwych imion. Możesz powiedzieć, że Barbara pozostawiła Shirley. Tylko tyle możesz powiedzieć.

Chodziła po małym pokoju, poprawiając przedmioty na stoliku i biblioteczce. Prąd wciąż w niej buzował, bzyczał, skrząc się na czubkach palców.

- Córka - stwierdziła, usuwając zwiędłą chryzantemę z wiązanki, którą przysłała pani Inman. - To może jeszcze coś oznaczać. Syn, brat, siostra. Ciągłe są warte wypowiedzenia. Niekiedy.

- Mama. - Głos Jen był tak miękki i niepewny, że Shirley przez chwilę myślała, iż zwraca się tak do niej. Po chwili zrozumiała i pokiwała głową. Była ciekawa, czy Jen wymieni też ojca. Ta jednak odchrząknęła i podjęła: - Z początku pomyślałam, że ty i mama nie... I pomyślałam sobie: nigdy im nie wybaczę!

- Dlaczego nie? - Shirley włożyła w to pytanie resztkę niewykorzystanego wzburzenia. - Co złego jest w przyjaźni?

- Proszę cię! - prychnęła Jen pogardliwie. Sama to powiedziałaś. Tak czy inaczej, a co ze mną? Niepotrzebnie czytałam wasze feministyczne pisma? Całe to oświecenie na nic?

Shirley przystanęła, spojrzała na nią i roześmiała się.

- Ależ ty jesteś do niej podobna!

- Ja nie. - Jen potrząsnęła głową. - Angus.

- W porządku. Powiedz mi zatem, czy wiesz, co myśli Angus. Co myślał o nas? - Shirley miała świadomość, że być może posuwa się za daleko, ale postanowiła zaryzykować.

Jen uniosła nieco gardę. W końcu była prawnikiem.

- Widział, że mama jest szczęśliwa - powiedziała wolno. Mimo to nie odnosiło się wrażenia, że wymyśla ad hoc lub cenzuruje to, co mówi. - I że ty jesteś dobrym, przyzwoitym człowiekiem. Przyzwoitość wiele dla niego znaczy.

- Dla Barbary także... znaczyła.

- Pożyczył ode mnie eseje Adrienne Rich, ale zwrócił. Mówił, że go niepokoją. Do ciebie nie miał takich zastrzeżeń.

- Może i tak, i nie.

Jen nie zaprotestowała. Po chwili namysłu dodała:

- Angus nie czuje chyba palącej potrzeby, żeby nazywać rzeczy po imieniu, tak jak ja. Nieszczęsny nawyk.

- I trudno się go pozbyć - dodała Shirley. Nagle poczuła, że jest bardzo zmęczona; musi usiąść, klapnąć, wyrznąć się na fotel. Bateria się wyczerpała, błyskawice znikły, a szacunek i sympatia, jakie poczuła do Jen, rozmiękły i rozmyły się w znużeniu. - Co my zrobimy na obiad? - westchnęła beznadziejnie.

Zgodnie z jej obawami chuda niczym patyk Jen odpowiedziała tak jak zawsze:

- Nie jestem głodna.

*

O siódmej trzydzięci, po kieliszku czerwonego wina, Jen usmażyła jajka na bekonie.

Nazajutrz, w czwartek, przekopały się przez rzeczy Barbary. Bizuteria, buty, ubrania, kilka sprzętów: dywanik, dwa rzeźbione krzesła, stara maszyna do pisania i nowy laptop. Plus rozkraczone volvo. Shirley „przekopywała” się już przez rzeczy pozostałe po ojcu i matce i wiedziała doskonale, jak mizerne są ruchomości zmarłych. Jak mało warte. Wiedziała, co czuje Jen, przekładając starą, zdekompletowaną i obitą srebrną biżuterię Navajo, bałtycki bursztyn i florencki filigran, które dopóki nosiła je Barbara, były piękne i godne pożądania. Shirley pomyślała o złodziejach przetrząsających puste dolmeny, kiedy ziemia obsunęła się już z granitu, dopuszczając słońce pomiędzy splątane kości. Naszyjnik z łamanego bursztynu, spiralna bransoletka z kornwalijskiej cyny - skromne, ubogie błyskotki. I oni, obcy, intruzi w pustym miejscu.

W piątek po południu Jen wyjechała, zawzięta i pełna łez.

W piątkowy wieczór Shirley w końcu zeszła ulicą Cedrową do Morskiego Traktu i dalej na plażę. Na pierwszy spacer bez Barbary. Oczywiście nie był to jej pierwszy samotny spacer. Często chodziły samotnie. Czasem ze złości na tę drugą, częściej dlatego, że druga była zajęta albo jej się nie chciało, albo nie była w nastroju. Ale po raz pierwszy od siedmiu lat poszła na spacer wiedząc, że Barbary nie ma.

Obiad stał na kuchence, gotowy do zagrzania. Nakryła do stołu i wypila mały kieliszek czerwonego wina, które otwarła Jen. Jeść będzie po spacerze. Teraz, w połowie października, zachód słońca wypadał o szóstej trzydzięci i nie chciała go przegapić. Wino

trochę pomogło, lecz zbyt długo namawiała się na ten spacer i teraz szła przez wydmy roztrzęsiona i ponura. Ścieżka, wybiegająca u końca Cedrowej, przypominała tunel. Szorstkie wydymowe trawy niemal stykały się nad jej głową. A potem nagle wylot otwierał się na światło bijące znad morza. Warstwa mgły na horyzoncie i podłużne chmury wiszące nad nią miały odcień, jakiego jeszcze nigdy nie widziała, mimo że oglądała już setki zachodów na tej plaży. Poszarzała lawenda lub lila; przygaszony, ciężki kolor, niezmiernie spokojny i zarazem uroczysty, pysznił się między bladą zielenią nieba a pozbawionym barw blaskiem wody.

Poczłapała w dół do falochronów. Kawał drogi, gdyż akurat był odpływ. Długie fale z łatwością wbiegały na piasek, a potem się cofały, pozostawiając szerokie pasma wilgoci. Przybierała ona kolor nieba, intensyfikując go do czystego jadeitu upstrzonego fioletem. Kolory były tak piękne, że Shirley nie mogła oderwać od nich wzroku. Stała pośród tej symfonii barw, grzęznąc po kostki w mokrym piachu, i napawała się nimi, karmiła, wciąż nienasycona. Ktoś mógłby nazwać taką żądzę słabością, utopią, namiastką; starałby się zaprzeczyć temu, iż żal jest pustką, którą trzeba zapełnić czym się da. Oni wszyscy nie wiedzą, czym żyje człowiek, pomyślała. A ja nawet nie wiem, kim są. Wiem tylko, że to oni nadają rzeczom fałszywe imiona.

Odwróciła się i ruszyła na południe. Kolory pływały i lśniły na piasku. Przeszła ledwie pół mili. Skąła Wrakowiska szarzała nad ruchomą wodą. Kolory gdzieś znikły bez jej wiedzy. Postąpiła minutkę, patrząc wstecz, na północ. Mgła zacierała kontury Bretońskiego Czuba i kłębiła się na ciemnych wzgórzach ponad rojem malutkich światełek miasta. Kiedy jeszcze były kolory, widziała na plaży młodą parę z psem, ale teraz nie było już nikogo. Światło zamierało na niebie, piasek ciemniał. Wyprostowała się wrośnięta w piach, wiedząc, czym jest - kształtem, przycupniętym i wydrążonym, by zatrzymać wiatr. Ale wiatr wiał przez nią na wskroś. Stopy marzły jej w nasiąkniętych skarpetkach i mokrych butach. Była głodna.

KRZYŻÓWKA

Keithowi Kroeberowi

Nie mam specjalnego pociągu do duchów, zjaw i tym podobnych. Niektórzy ludzie to lubią i mają w zanadrzu mnóstwo historii o nawiedzonych domach i zmarłych wracających z zaświatów. Kiedy byłam w podstawówce, dzieciaki się zakładały, które przejdzie po zmroku samotnie przez taki las przy naszym krańcu miasta. Następnego dnia chwaliły się: „Widziałem Indianina!” Miał tam ponoć wystawać pod drzewami duch zabitego w tym miejscu Indianina. Nic łatwiejszego, niż zobaczyć w mroku coś, czego się człowiek spodziewa. Nie dziwota, że dzieciaki go widziały i chwaliły się pod niebiosa. Nie rozumiem, z czego ludzie są tacy dumni, kiedy mówią, że widzieli ducha. Tak jakby się czuli bystrzejsi od innych albo potrafili przechytryć zdrowy rozsądek. Przodują w tym Irlandczycy. Taki niby poważny człowiek jak pan Carey, kiedy mu się przypomni, że jego dziadek pochodził z Irlandii, zaraz zaczyna bredzić o jasnowidzeniu. Opowiada, jak to jego matka w Oregonie przewidziała wypadek samochodowy swego brata w Ohio. Krzyknęła przy obiedzie: „John jest w niebezpieczeństwie!” Jak się oczywiście domyślicie, akurat tego dnia wjechał autem do rowu i omal nie zginął. Czemu to zrobił, historia już nie mówi. Może zobaczył leprechauna, chociaż w Ohio to chyba niemożliwe. Irytują mnie tego typu bajki. Nie wierzę, że istnieją jakieś nadnaturalne sprawy lub że coś dzieje się w inny sposób niż zwykle. Myślę, że w naturze dzieją się rzeczy, których po prostu nikt z nas nie rozumie. Nazywanie ich duchami to najlepszy sposób, żebyśmy ich nigdy nie pojęli. Najlepiej byłoby przestać je nazywać, a zacząć się im przyglądać. Nauczyłam się tego od Teriny Adams.

Poznałam ją, kiedy pracowałam jako kelnerka na nocnej zmianie w barze przy autostradzie. Ponieważ nie miałam wtedy przy sobie rodziny, było mi łatwiej niż kobietom zamężnym i z dziećmi. Zresztą chciałam spróbować, czy spodoba mi się praca w nocy. Z początku mi się podobała. Robota była prosta. Czasami mijała cała godzina bez jednego klienta, a potem wchodził tylko kierowca ciężarówki albo parka jadąca przez całą noc. Nie grymasili, nawet nie byli rozmowni. O świcie kończył się spokój, ale ja pracowałam tylko do siódmej. Wychodziłam przed amatorami śniadań, którzy przysporzyliby mi roboty. Wschody słońca są niezłe, jednak spanie w dzień zaczęło mnie trochę męczyć. Poza tym ilekroć

pracowałam nocą, nachodziły mnie myśli o matce. Wcześniej rzadko zaprzętałam sobie nią głowę.

W wieku siedemnastu lat opuściłam dom i wyjechałam do Los Angeles, wzięłam ślub. Po śmierci ojczyrna kilkakrotnie odwiedziłam ją w Chico. Moje dzieci miały więc okazję poznać babcię, ona też mogła je zobaczyć. Przez te kilka lat była przygnębiona i bez życia, więc musiałam zrobić porządek w jej podatkach i innych sprawach majątkowych. Ona tego nie umiała i nie wierzyła, że ja umiem. Niemniej bawiła się z dziećmi, a specjalnie upodobała sobie Joeya. Irma jako dziecko nie była zbyt ładna - duża i łysa - toteż mama niespecjalnie się do niej garnęła. Tak czy inaczej, po paru latach mama sprzedała dom i wyszła za pastora zielonoświątkowców. Lubił mnie akurat tak jak ja jego, więc przestałam zaglądać do Chico. Matka nigdy nie próbowała nas odwiedzić, rzadko nawet dzwoniła. Wysyłałam im kartki na urodziny i Boże Narodzenie. Potem się rozwiodłam, wyszłam za Toma, rozwiodłam się z nim. A potem nagle mój pierwszy mąż zażądał opieki nad dziećmi. Stać go było na prawników, więc dzieci przyznano jemu. W tym czasie piłam. Zaczęłam pić, gdy byłam z Tomem. Miałam dość rozsądku, żeby się od niego uwolnić, ale z alkoholem było gorzej. Pewnej nocy, pijana, postanowiłam odwiedzić matkę. Gdy wytrzeźwiałam, okazało się, że zdążyłam już pokonać dwieście mil drogą międzystanową I-5, więc pojechałam dalej. Do Chico dotarłam w połowie dnia. Musiałam zajrzeć do książki telefonicznej, bo nie pamiętałam adresu. Stałam w budce i nie mogłam sobie przypomnieć nowego nazwiska matki. Otwarłam książkę pod „kościół” i zaczęłam szukać zielonoświątkowców z myślą, że gdzieś będzie nazwisko pastora. I właśnie w tym momencie przypomniałam sobie, że nazywa się Budd, Ronald „Buddy” Budd. Znalazłam adres. To było niedaleko miejsca, gdzie mieszkaliśmy z ojczymem.

To ona otworzyła drzwi. Z początku zawahała się za siatką, wreszcie otworzyła i ją. Całkiem posiwiiała, wyglądało na to, że nie układa włosów, a nawet ich nie czesze. Skórę miała usianą dużymi ciemnymi plamami. Było lato, upał, ubrana była w sukienkę bez rękawów, odsłaniającą ramiona całe w ciemnych plackach. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że waży najwyżej czterdzieści pięć kilo. Wyraz przerażenia w jej oczach był tak okropny, że krzyknęłam: „Mamo, co się stało?!” Tak jakbyśmy widziały się wczoraj, a nie siedem lat temu. A ona objęła mnie mocno jak tonący ratownika. Wypowiedziała tylko moje imię i tak stała przytulona. Wtedy usłyszałam głos pastora: „Kto to? Kto to?”, a ona przycisnęła się do mnie jeszcze mocniej. Szeptnęła: „Ailie, on mnie dosłownie wyżywa”, spoglądając wzrokiem zaszczutego zwierzęcia. Potem mnie puściła, cofnęła się, odwróciła do niego i robiąc jakby unik powiedziała: „To moja córka, Ronald”.

Natychmiast nas rozdzielił. Całkiem nieźle się jeszcze trzymał. Gładko ogolony, siwy i różowy. Ale dziwnie pachniał. Rozpoznałam ten zapach, gdy tylko stanął koło mnie. Jechało od niego lakierem do paznokci. Jakby był zakonserwowany.

Zaprosił mnie do środka. Usiedliśmy we frontowym pokoju i rozmawialiśmy trochę. Mówił głównie pastor. Zapytał o dzieci. Matka podniosła wzrok, jakby nie wiedziała, o jakie dzieci chodzi. Powiedziałam, że ojciec się nimi zajmuje. Wtedy ona: „Och, Ailie, nie pozwól ojcu się nimi zajmować!” Ja na to: „Ich ojciec, mamó. Nie mój”. Wyglądała na zmieszaną. Potem wybuchnęła czymś w rodzaju śmiechu. Przyniosła nam mrożonej herbaty. Siedziałam tam, myślę, około godziny. Pastor mówił o jakimś kościelnym projekcie.

Nie zapytali, gdzie nocuję ani czy jestem w drodze dokądś. Gdyby pytali, miałam zamiar powiedzieć: „Jadę do Oregonu, do pracy, i pomyślałam, że wpadnę na chwilę”. Ale nie zapytali. Pojechałam do motelu przy autostradzie i tam się przespałam. Następnego dnia wróciłam na I-5 i ruszyłam do Oregonu, bo niby czemu nie? W Eugene miałam kłopoty z przewodem paliwowym. Czekając na naprawę, przejrzałam ogłoszenia. Restauracja wegetariańska poszukiwała doświadczonej kelnerki. Coś akurat dla mnie.

Właściciele byli młodzi i mili. Po miesiącu dali mi tydzień wolnego, żebym mogła pojechać do Los Angeles po swoje rzeczy. W drugim roku pracowałam w kuchni i uczyłam się gotowania. Restauracja nie miała licencji na alkohol, więc nie piłam od czasu, gdy wyruszyłam autostradą I-5 do Chico, aż do momentu, kiedy trzy lata temu trafiłam tu, na wybrzeże. Wtedy zaczęłam wypijać lampkę wina do obiadu, jeśli miałam na to ochotę. Tak czy inaczej, dwa lata w Eugene mi wystarczyły. Wyjechałam do Portland i zaczęłam gotować w firmie cateringowej Pecan Pie niejakiego pana Careya. Wtedy też zaczęłam wydzwaniać po prawnikach. Chciałam odzyskać choć część praw do dzieci. Okazało się, że nic prostszego. Wystarczyło poprosić. Nowa żona tatusia nie znosiła nastolatków. Tak więc odzyskałam dzieci i dopilnowałam, żeby oboje zdali maturę.

Z początku było ciężko. Przy ojcu żyli na znacznie wyższej stopie. Zostawili w Los Angeles wszystkich przyjaciół, a Joey na dodatek tęsknił za surfowaniem. Ale gdy tylko uzbierałam na narty dla niego, zaczął jeździć na Mount Hood i wszystko się ułożyło. Irma była oporniejsza. Zdążyła już nabrać paskudnych nawyków i nie zamierzała mi niczego oszczędzić. Oczywiście najbardziej obawiałam się narkotyków, ponieważ, jak sądzę, ich nie rozumiałam. Jednakże Irma w wieku trzynastu lat zdecydowała się na alkohol. Można powiedzieć, że akurat w tej materii byłam ekspertem. Wspólnie dałyśmy radę. Pochłonęło to mnóstwo pracy, lecz stanęła na nogi. Wyszła z nałogu i nawet nieco przedobrzyła. Wpadła w mistycyzm, co znów ją ode mnie oddaliło, tyle że w przeciwnym kierunku. Ale szkołę

skończyła z wyróżnieniem.

Właśnie w tym czasie zmarła moja matka. Nie zawiadomiono mnie na czas o pogrzebie.

Kiedy pan Carey przeszedł na emeryturę i zamknął firmę, Irma pracowała już w całorocznym sklepie bożonarodzeniowym w Cannon Beach, a Joey służył w straży przybrzeżnej. Wzięłam tę robotę przy autostradzie głównie dlatego, że była o rzut kamieniem od miejsca, gdzie mieszkałam, na południowym skraju Portland. Samochodem dojeżdżałam w dwie minuty. Tak więc, jak już mówiłam, wzięłam tam nocne zmiany. Po kilku tygodniach dołączyła do mnie Terina Adams.

Terina była bardzo cicha, pełna rezerwy. Dumna. Z początku myślałam, że nadęta. Kiedy Yance, kucharz pracujący w nocy, sypał tymi swoimi żartami, nigdy się nie uśmiechała. Ja zawsze. Łatwiej jest, kiedy człowiek się uśmiecha. To jak smar, który pozwala się kręcić kołom. Uśmiech, zwłaszcza kobiecy uśmiech, jest jego składnikiem. Ludzie go oczekują, a kiedy nie dostają, to choćby nie wiedzieli, czego im brakuje, robią się wredni. Zacierają się, jak maszyna, której się nie oliwi. Terina nie oliwiła nikogo, mnie również. Była grzeczna, uprzejma, lecz jej usta przypominały prostą kreskę. Zachowywała się jak głucha. Wyglądała... ciężko. Nie mam tu na myśli nadwagi; była dość krągła, lecz w świetnej formie. Chodzi mi o to, że robiła wrażenie, iż nosi w środku wielki ciężar, który przygniata jej kroki i pochyla głowę. Nawet oczy miała spuszczone. Trzymała się na dystans, ale skoro tego właśnie chciała, nie miałam nic przeciwko temu. I tak najbardziej lubiłam właśnie te noce, kiedy nikt się nie odzywał.

Nie zaprzętałam sobie głowy Teriną aż do czasu, kiedy będąc w toalecie (miała bardzo cienką ściankę oddzielającą ją od kuchni) usłyszałam, jak Yance mówi do Berta: „Smolucha jeszcze nie ma”.

Głupia jesteś, Ailie, pomyślałam.

Terina była nie tylko jedyną Murzynką pracującą w restauracji, ale jedyną, jaka się w niej kiedykolwiek pojawiła. Biali, czarni, Meksykanie, Indianie - w Oregonie każdy trzyma się własnej paczki. Poza granicami Portland można wręcz odnieść wrażenie, że żyją tu wyłącznie biali. Naturalnie zawsze część z nich to ludzie pokroju Yance'a. Nic dziwnego, że Terina nie starała się oliwić ich mechanizmów bardziej niż to konieczne. Kiedy zobaczyłam, że pije kawę przy ostatnim stoliku swojego rewiru, podeszłam i zaczęłam ją wypytywać o rodzinę i tym podobne. Naciskałam ją, starałam się wyprzeć z niej ten ciężar, aż zaczęła się troszkę poddawać. To było jak pchanie zgasłego samochodu. W końcu jednak udało mi się go odrobinę ruszyć.

Nigdy nie była rozmowna, ale w sumie mnie lubiła. Trudno jej się mówiło przez ten ciężar, którego nie miała gdzie złożyć. Niewiele się o nim dowiedziałam. Mieszkała ze swoim dwudziestoletnim synem. Teraz może go zostawiać na noc, powiedziała, lecz kiedy mu się pogorszy, będzie musiała zrezygnować z pracy. Zastanawiałam się właśnie, jak spytać, co mu jest, kiedy poprosiła, żebym nikomu nie mówiła o jej synu, bo nie wie, jak ludzie zareagują. Pan Benaski może ją zwolnić, kiedy się dowie. Wywnioskowałam, że więcej już z niej nie wydobędę. „Nie mów Yance’owi” - poprosiła. Odparłam, że nie jestem pewna, czy zawiadomiłabym go nawet o tym, że broda mu się pali. To nieco rozluźniło kreskę jej ust.

W gruncie rzeczy, obserwując Terinę, sama zaczęłam nieco oszczędzać oliwę, zachowując ją na okazje, kiedy sama zechcę jej użyć. Być może wszyscy potrzebują uśmiechu, lecz nie każdy na niego zasługuje, pomyślałam. Po co go marnować na Yance’ów?

Przez cały czas, gdy coraz lepiej poznawałam Terinę i zaczynałam ją podziwiać, dźwigałam własny ciężar. Nie taki jak Teriny, jednakże stale myślałam o mamie. Miałam uczucie, że muszę coś rozwikłać. Coś w rodzaju krzyżówki. Masz słowo pionowe, teraz musisz odgadnąć te w poprzek. Lubię krzyżówki. Często je rozwiązywałam podczas tych długich nocy. Robiłam to, żeby nie myśleć - ponieważ o czymkolwiek zaczęłam myśleć, zawsze kończyło się na mamie.

Jeśli ona była łamigłówką, to hasło pionowe brzmiało: „Och, Ailie, nie pozwól ojcu się nimi zajmować!”

Nie chodziło jej o mojego prawdziwego ojca. Ten zginął na Południowym Pacyfiku, gdy miałam trzy lata. Mówiła o swoim drugim mężu, moim ojczymie Haroldzie. Zwracając się do mnie, zawsze mówiła o nim: „twój ojciec”. Cokolwiek robił „mój ojciec”, było wspaniałe. Jeśli takie nie było, to z pewnością tego nie zrobił. Z zasady. Przez to sama nauczyłam się tak myśleć. Ale skąd ona to wzięła, i dlaczego? To, co powiedziała - „nie pozwól mu się nimi zajmować” - oznacza, że wiedziała o jego przyjemnościach. Ale skoro wiedziała, jeśli wtedy wiedziała, dlaczego pozwoliła, żeby się mną zajmował? Czyżby myślała wtedy, że nie ma w tym nic złego? Może i nie było. W końcu robił to tylko palcami. Kiedy próbuję o tym myśleć, wydaje mi się, że tak naprawdę nie miałam nic przeciwko temu. Gdybym miała, starałabym się go unikać albo poskarżyłabym się matce. Raz próbowałam. I dlatego ciągle nie wiem, czy w ogóle dopuszczała do siebie fakty. Odpowiedziała jak zwykle: „Ojciec cię kocha i nigdy by cię nie skrzywdził”. To prawda, nie czułam, że robi mi krzywdę. Powtarzał: „Przyjemnie, prawda? A teraz, przyjemnie?” Zawodził to jak mantrę. Nie miałam pewności, czy było mi przyjemnie, lecz wiedziałam, że powinno. Matka przecież musiała zauważyć na mojej pościeli to, co nazywałam kremem do golenia. Ale co o tym sądziła? Nie

mogłam przestać o tym myśleć - co ona o tym sądziła? Myślała, że zmoczyłam łóżko? Coś rozlałam? Nigdy nie spytała. O czym myślała, kiedy prała prześcieradła? Gdzie się nauczyła takiego myślenia?

Ojczym przestał dominować nad moim życiem, kiedy zaczęłam miesiączkować i urosłam. Wystrzeliłam w górę w przeciągu jednego roku, między dwunastym a trzynastym rokiem życia. I nabrałam rozumu, przynajmniej jak na dzieciaka w tym wieku. Chyba go trochę przepłoszyłam. Nie mógł przychodzić do mnie się „pobawić”, kiedy byłam niemal jego wzrostu. Moja postura musiała go przerażać, gdyż stał się pruderyjny i zasadniczy. Zawsze naskakiwał na matkę, że mam się ubierać „skromnie”. Żadnych szortów czy wydekoltowanych bluzek, choć w Chico bywało i czterdzieści stopni. Wyrosłam na dużą kobietę, a on był małym facetem. W zasadzie pasował do mamy, która nie była niska, ale za to bardzo drobnokoścista. Kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, myślę, że pasowali do siebie lepiej niż większość małżeństw. Ale co z Ronaldem „Buddym” Buddem? Wskakiwał w zupełnie innej części krzyżówki, do której, zdaje się, nie miałam żadnych haseł.

Może mama była chora, kiedy widziałam ją ostatni raz? Podobno umarła na zapalenie płuc, lecz może to był rak, który wycieńczył ją jak obóz koncentracyjny, zmienił w suchy, skręcony, zgięty patyk. Czy to właśnie napawało ją taką grozą? W takim razie dlaczego powiedziała: „on mnie dosłownie wyzima”? Długo nie mogłam tego zrozumieć. Myślałam, że chodzi o jakąś presję psychiczną; mówi się przecież nieraz, że ktoś jest wyzety z sił, z pomysłu...

Byłam właśnie w toalecie, około trzeciej nad ranem. To była długa, zimna, listopadowa noc. Szklanka na jezdni i od jedenastej praktycznie żadnych klientów. Umyłam ręce i obciągnęłam firmową bluzę, bo na moje kształty była ciut przyciasna. Te słowa znowu przysły mi na myśl i nagle poczułam, co znaczą. Dosłownie. Włosy stanęły mi dęba i ogarnął mnie nagły przypływ mdłości. Przez chwilę myślałam, że zwymiotuję. Potem wszystko minęło i chciałam już tylko wydostać się z tej toalety pełnej toksycznego, słodkiego wiśniowego zapachu środków do dezynfekcji. Wyszłam. Terina właśnie szła do kuchni i pomyślałam, że wygląda na zaskoczoną. Ale nie ją miałam w głowie.

Weszło dwóch gości z ciągnika siodłowego, który właśnie zajechał. Przywitałam ich z honorami. To byli mili faceci z San Joaquin Valley, którzy byli tu już kiedyś w drodze do Seattle, a ja postanowiłam ich „pooliwić”. Potrzebowałam towarzystwa, chciałam się śmiać z dowcipów, chciałam ich lubić.

Przettrzymałam ich godzinę. Kiedy odjechali, wyszliśmy z Teriną na zaplecze na papierosa.

- Kim jest ta kobieta, Ailie? - spytała.

- Jaka kobieta? - nie zrozumiałam.

Popatrzyła na mnie, wznosząc oczy pod ciężkimi powiekami. Terina ma ciemną skórę, a oczy o ton od niej jaśniejsze.

- Jest niższa od ciebie, mniej więcej mojego wzrostu. Ma zupełnie siwe włosy i takie jakby w kępkach. Nosi niebiesko-białą podomkę. Jest bardzo chuda. Ma ręce jak patyki i takie jakieś posiniaczone. Jak przy białaczce, wiesz? Widziałam ją z tobą już kiedyś. A dzisiaj zobaczyłam ją zamiast ciebie. Wychodziła z damskiej toalety. Najpierw ujrzałam ją, a dopiero gdy popatrzyłam drugi raz, ciebie.

- To moja mama - odparłam.

- Tak myślałam. - Po chwili spytała: - Czy ona żyje?

Potrząsnęłam głową. Terina nie pytała o nic więcej.

Powiedziałam:

- Ostatnio wszędzie ją ze sobą noszę.

- Musimy to robić - stwierdziła. - Starać się słuchać.

- Właśnie - przytaknęłam. - Starać się słuchać tego, czego wcześniej nie słyszałam.

Terina pokiwała głową i na tym rozmowa się zakończyła.

Po południu, kiedy odespałam zmianę, poszłam wprost do telefonu, zanim jeszcze zdążyłam całkiem oprzytomnieć. Tak jakbym wykonywała rozkaz. Zadzwoiłam do drogerii w Klatsand, gdzie od zeszłego lata pracowała moja córka. Właściciel poprosił ją do telefonu. Powiedziałam: „Cześć, tu mama” - nie mając pojęcia, po co właściwie dzwonię. Odpowiedziała: „Cześć, mama! Myślałam o tobie”. Wymówiła to w taki sposób, że słowa same się znalazły.

- Też właśnie myślałam, że chętnie bym cię zobaczyła. Może przeniosę się na jakiś czas do któregoś z tych miasteczek na wybrzeżu. Znudziło mi się tutaj.

- Tu, na głównej ulicy; w trzech miejscach potrzebują kelnerkę - odparła. - Tylko że wiesz, mam, płacą grosze.

Zrozumiałam, że zawarła własną umowę z Jezusem. Tak mi ulżyło, że powiedziałam:

- No to będę w przyszłym tygodniu. Może w środę. Znajdziesz mi motel, póki się gdzieś nie zainstaluję?

- Mam wolną kanapę.

- Irma... Pamiętasz w ogóle moją mamę?

Roześmiała się.

- Nie - odparła. - A powinnam?

- Nie - powiedziałam. - Opowiem ci o niej, jak przyjadę.
Nigdy jednak tego nie zrobiłam. Jakoś nie było potrzeby.

TEKSTY

Wiadomości, pomyślała Johanna, zazwyczaj przychodzą o wiele lat za późno. Albo wiele lat wcześniej, zanim ktokolwiek będzie w stanie złamać ich kod lub choćby poznać język. Pomimo to napływały z coraz większą częstotliwością, tak pilne i naglące, żeby je przeczytać, by coś zrobić, że w końcu zmusiły ją do ucieczki. Wynajęła na cały styczeń mały domek bez telefonu w nadmorskiej miejscowości, gdzie nie było poczty. Była już w Klatsand kilka razy, latem. Miała nadzieję, że w zimie jest tam jeszcze spokojniej. Można sobie pozwolić na cały dzień bez słowa. Nie kupowała gazet i nie włączała telewizora. Kiedy raz skusiła się na wysłuchanie wiadomości w radio, złapała nadawany z Astorii program po fińsku. Komunikaty wciąż jednak nadchodziły. Słowa były wszędzie.

Drukowana odzież nie stanowiła jeszcze problemu. Pamiętała pierwszą taką sukienkę, którą widziała całe lata temu. Prawdziwą drukowaną sukienkę, której projekt wykorzystywał typografię. Zielone na białym tle walizki, kwiaty hibiskusa i nazwy „Riviera”, „Capri”, „Paris” wyskakiwały jak kleksy od ramienia aż do obrąbka u dołu - jedne prosto, inne do góry nogami. Wtedy, jak zachwalała sprzedawczyni, było to niezwykle. Teraz trudno znaleźć T-shirt, który nie prowadzi kampanii politycznej, nie ma na nim przydługiego cytatu dawno zmarłego fizyka albo przynajmniej nazwy miasta, w którym został kupiony. Stawiała temu czoło, nawet nosiła te ciuchy. Ale zbyt wiele rzeczy stawało się czytelnym.

Już podczas wcześniejszych pobytów nad morzem zauważyła, że linie piany pozostawiane przez fale na piasku przy sztormowej pogodzie układają się niekiedy na kształt odręcznego pisma. Linie nakreślone kursywą, rozdzielone spacjami, zupełnie jak słowa. Nie przyglądała im się jednak uważniej do czasu, gdy będąc przez dwa tygodnie sama, chodziła wielokrotnie tam i z powrotem do Wrakowiska. Wtedy odkryła, że potrafi odczytać to pismo. Dzień był łagodny, prawie bezwietrzny, tak że nie była zmuszona do żwawego marszu, lecz mogła wlec się pomalutku między linią piany a krawędzią wody, gdzie mokry piasek odbijał niebo. Od czasu do czasu jakiś zimowy grzywacz, który mimochodem zapędził się dalej od reszty, przeganiał ją i kilka mew nieco wyżej, gdzie piasek był suchy. Potem się cofał, a ona i mewy wracały w ślad za nim. Poza nimi na plaży nie było żywej duszy. Piasek był płaski i równy jak arkusik z beżowej papeterii. Ostatnia fala pozostawiła na nim skomplikowany wzór z krzywych linii i kropek piany, nim wróciła do morza. Te białe wstęgi i pętle tak bardzo

przypominały napis kredą, że przystanęła, podobnie jak latem na wpół świadomie przystawała, żeby przeczytać, co ludzie nabazgrali patykiem na plaży. Zazwyczaj były to imiona, na przykład „Jason + Karen” albo para inicjałów obwiedziona serduszkami; raz tajemnicza i pamiętna inskrypcja: trzy inicjały i daty 1973-1984 - jedyny napis, który mówił nie o złożonych obietnicach, lecz o tych złamanych. Cokolwiek zawarło się w tych jedenastu latach (czas małżeństwa? życie dziecka?), znikło. Tak jak znikły litery i cyfry, kiedy wróciła w to samo miejsce podczas przyływu. Zastanawiała się, czy piszącej je osobie zależało na tym, aby zostały zatarte. Jednakże słowa z piany leżące na piasku pozostawiło samo niszczące morze. Gdyby potrafiła je odczytać, mogłyby objawić jej mądrość znacznie głębszą i bardziej gorzką, niż byłaby w stanie przyjąć. Czy chcę wiedzieć, o czym pisze do mnie morze? zadała sobie pytanie. Równocześnie jednak już czytała napisy z piany, które choć składały się raczej z klinowatych kleksów niż liter jakiegokolwiek alfabetu, były doskonale czytelne, gdy szła równoległe do nich. *Tak* - brzmiał napis - *esse tak ess hetu tokye to' ossusesse ektak. Seham hute' u.* (Zapisując go później, użyła apostrofu, żeby oddać urwane „p”, dźwięk zamykanych ust, który pojawia się w niektórych słowach). Przeczytała go jeszcze raz, cofnąwszy się o kilka kroków. Nie zmienił się wcale, przeszła się więc tam i z powrotem, starając się go zapamiętać. Dopiero po chwili bąbelki zaczęły pękać, a kleksy się kurczyć; napis zmienił się tu i ówdzie i brzmiał teraz: *Take es t-etu kye to' ossuses ka, ham te u.* Johanna czuła, że nie jest to zmiana znaczenia, lecz tylko ubytek, zatrzymała więc w pamięci pierwotną wersję. Woda wciąż wsiąkała w piasek, bańki schły, aż w końcu znaki zatarały się w na wpół czytelną koronkę kropek i kresek. Do tego stopnia przypominały koronkową robótkę, że zaczęła się zastanawiać, czy z nich też można czytać.

Po powrocie do domu zapisała słowa z piany, żeby nie być zmuszona do ich ciągłego powtarzania, a potem spojrzała na fabryczną serwetę o firankowym splocie, okrywającą mały okrągły stół jadalny. Nietrudno było ją odczytać, ale zgodnie z przewidywaniem okazała się nudna. Pierwsza linijka na obrzeżu powtarzała w nieskończoność: *sedno jasne sedno jasne sedno jasne*. Co trzydzieści oczek, tam gdzie wzór się zmieniał, występowało: *klap*.

Koronkowy kołnierzyk, który wygrzebała kiedyś w sklepie z używaną odzieżą w Portland, stanowił całkiem odmienną jakość. To była ręczna robota, odręczne pismo, bardzo drobne i regularne. Jak kaligrafia Spencera, której przed pięćdziesięciu laty uczoną ją w pierwszej klasie - ozdobna, lecz zdumiewająco czytelna. *Moja dusza musi lecieć*, głosiła krawędź, powtarzając to wielokrotnie: *moja dusza musi lecieć, moja dusza musi lecieć*. Natomiast na delikatnej pajęczynce zbiegającej się ku środkowi napisane było: *siostró, siostró, siostró, zapal światło*. A ona nie wiedziała, komu je ma zapalić ani jak.

KREW Z KRWI, KOŚĆ Z KOŚCI

Dla Elizabeth Johnston Buck

Fanny, 1899.

Dano nam to samo imię, powiedziałam. Odparła, że kiedyś, dawniej, miała inne. Spytałam jakie. Nie chciała go wyjawić. Mruknęła: „Teraz jestem Fanny Indianicha”. Dowiedziałam się od niej, że to miejsce nazywa się Klatsand i kiedyś była tu wioska, nad potokiem nieopodal plaży. Kolejna mieściła się w pobliżu strumienia płynącego przez farmę Kellych na Bretońskim Czubie, a dwie trochę niżej, za Wrakowiskiem, i jedna na Górze Ołtarzowej. We wszystkich mieszkali jej współplemieńcy. „Moi ludzie” - mówiła o nich. Pomarli na ospę, gruźlicę i choroby weneryczne. Całe wioski wymarły. Wszystkie dzieci tej kobiety zabiła ospa. Z pięciu wiosek pozostało przy życiu pięć kobiet. Tamte zaczęły się sprzedawać mężczyznom, żeby wyżyć, ale ona była na to za stara. Tamte cztery umarły. „A ja jestem zdrowa” - powiedziała. Jej oczy przypominały oczy zółwia. Kupiłam od niej koszyczek za dwa centy, bardzo ładny. Dzieci Fanny przyszły na świat przed przybyciem w te strony białych ludzi, a potem wszystkie zmarły w ciągu jednego roku. Żadne nie przeżyło.

Virginia, 1979.

Chciałam przejść się pod wieczór do Wrakowiska. Miałam ochotę zażyć trochę ruchu po całodziennym pisaniu. Włożyłam żółty sztormiak i wyszłam w zimowy wiatr. Urlopowicze wreszcie sobie pojechali i na plaży poza mną nie było żywego ducha. Sztormy niosły na piasek góry śmiecia, długi masywny wał ciągnący się od stóp Czuba do skał przy Wrakowisku. Wodorosty, połamane i nasiąknięte wodą grubsze i cieńsze gałęzie, pióra morskich ptaków, kawałki białego, niebieskiego i pomarańczowego plastyku, które z oddali wyglądają jak połamane muszle, odłamki i ziarnka brudnego styropianu, sponiewierane fragmenty polistyrenowych pław, zestalone plamy czarnej śmierdzącej ropy z wycieków, o których nie mówi się w telewizji, albo wręcz spuszczonej z jakiegoś tankowca - wszystko spiętrzone na piachu i pokryte żółtawą pianą, którą zostawiają po sobie fale sztormowe.

Zaczęło padać, deszcz lał się z niskiej powały chmur i ze złością uderzał o ziemię.

Naciągnęłam impregnowany kaptur i ulewa niesiona południowym wiatrem prawie mnie ogłuszyła, bębniąc w głowę i uszy. Nie mogłam patrzeć w górę, na deszczowe niebo, tylko pod nogi, na wodę zbierającą się w kałuże na brązowym piasku. Podmuchy wiatru znaczyły ją tysiącem kurzych łapek i pchały w moją stronę, siekły ją miriady kropel, z których powstała. Otworzyłam usta i piłam deszcz. Był gęsty i sztywny jak włosy, jak pszenica, między jego pasmami nie było już miejsca na powietrze. Gdy obróciłam się w lewo, na wschód, mogłam odrobinę unieść głowę. Widziałam, jak deszcz nadchodzi, tym razem nie falami, które często widzę z okien domu, lecz zbity w kolumny podobne do wysokich białych kobiet, olbrzymich upiorych spieszących gęsiego długim sznurem na północ. Szły plażą szybko jak wiatr, lecz statecznie, z powagą, niczym płaczki okrążające wielki grobowy kurhan.

Wiatr targnął mną tak mocno, że musiałam przystanąć, by mu się oprzeć, a potem jeszcze raz, mocniej. I nagle dał za wygraną. Ucichł. Pospieszne staccato zapóźnionych kropel i cisza. Zupełna cisza, jeśli nie liczyć szumu fal. Nad morzem zajaśniało pasmo bladozielonkawego błękitu. Spojrzałam w głąb lądu i zobaczyłam, że wciąż piętrzą się nad nim ołowiane chmury, a wysokie postacie deszczowych kobiet wspinają się ciemnymi wąwozami w góry. Potem rozmyły się, rozwiały na strzępy białej mgły pośród czarnych drzew i znikły. Kiedy wracałam na Bretoński Czub, światło z nieba barwiło pastelowym błękitem i różem odsłonięte przez odpływ laguny u ujścia strumienia. Wał śmiecia stopniał rozmyty przez deszcz. W spokojnych kolorowych kałużach i oczkach stały setki mew, czekając na chwilę, w której rozwiną skrzydła i wzlecą nad morze, by usnąć na falach, kiedy przyjdzie noc.

Fanny, 1919.

To grypa. Wiem, gdzie się jej nabawiłam. W Portland, w teatrze. Ludzie wokół kaszleli bez ustanku, było zimno, śmierdziało kurzem i brylantyną. Jane chciała pokazać Lily ruchome obrazy. Przy każdej okazji ciąga tę małą do miasta. Ale Lily także się bez przerwy wierciła i co chwilę kaszlała. Było jej zimno. Nie interesowały jej ruchome obrazy. Nigdy nie dociera do niej treść bajki. Jakby nie nadążała za fabułą. Moja wnuczka nie zrobi w życiu kariery. Prawdę mówiąc, nikt z mojej rodziny się nie wyróżnił. Pewnie już wszyscy pomarli. W Ohio mogą być jeszcze jakieś pociotki ze strony Minnie. Jane pytała mnie kiedyś o moich krewnych. A cóż ja o nich wiem i co mnie oni obchodzą! Zostawiłam ich, wyjechałam na zachód z Jackiem Shawe. Z panem Shawe. W osiemdziesiątym trzecim roku trafiłam do Owyhee i ujrzałam tam tylko bylicę i śnieg. Porzuciłam dom rodzinny, porzuciłam

wszystkich, nawet krowę, białą krowę zanurzoną po brzuch w stawie lśniącem o zmierzchu jak srebro. Nie, ta była później, na farmie w Calapui. Tamta była czerwona, należała do mojej matki. Wciąż ryczała, aż w końcu spytałam: „Mamusiu, dlaczego krowa płacze?” A matka odpowiedziała: „Za swoim cielaczkiem, skarbie. Za Perelką”. Sprzedaliśmy ją, powiedziała. Więc ja też zaczęłam płakać za swoją ulubienicą. Ale wyjechałam na zachód z panem Shawe i tamto odeszło w przeszłość. Miodowy miesiąc spędziliśmy w pociągu, w wagonie sypialnym. Apartament dla nowożeńców, zaśmiał się bagażowy. Pan Shawe dał mu pięć dolarów napiwku. Pięć dolarów! Wsiadliśmy do pociągu na Union Station w Chicago. Jakże często go później wspominałam: wysokie marmurowe ściany, pociągi ruszające na wschód i na zachód, kłęby dymu z lokomotyw, nawoływania mężczyzn. Halę dworca przenikał zimny wiatr. Zimno było także wtedy, gdy wysiedliśmy w pustce porośniętej bylicą i przysypanej śniegiem. Zapadał wieczór. Ani miasta, ani nawet peronu. Pięć chałup i równina porośnięta bylicą. Wciąż myślę, że po tym wszystkim chyba nigdy w życiu nie będzie mi naprawdę ciepło. Zaczekałam przy kufrach, a pan Shawe poszedł wynająć wóz. Pojechaliśmy na ranczo przez niebieskawą śnieżną równinę. Ależ było zimno! A Jack się śmiał. Ależ lśniły mu oczy! Śmiał się i wtedy, kiedy wygrywał ze mną w kriba, a wygrywał zawsze. I kaszłał. Kaszłał i kaszłał, aż w końcu umarł. Mój syn też już nie żyje. Pięć indiańskich wiosek. W Owyhee pięć chałup i stajnia z zaprzęgami do wynajęcia. Trzydzieści mil przez bylicę, przez śniegi. Jack był głupcem, że wziął tamto ranczo. Oczy mu błyszczały. Miał zadatki na wielkiego człowieka. Moja rodzina nigdy nie wyrosła ponad przeciętną. Vinnie, moja siostrzyczka, zakaszłała się na śmierć. Kaszel i ryk czerwonej krowy. Biała krowa stojąca o zmierzchu w stawie, woda jak żywe srebro, a ja wołam: „Chodź, Perelko, chodź!” Pieszczoszka, którą sama wychowałam, kiedy padła jej matka. Servine i ja byliśmy głupi, kupując tę krowią fermę. On przynajmniej wiedział cokolwiek o mleczarstwie. Ciekawe, ile jest teraz warta ziemia w Calapui. Zastanawiam się nieraz, czy gdyby Servine nie umarł, przeżyłabym tyle lat i na sam koniec przyjechała tu, nad morze. Czy mieszkałabym nadal w dolinie pośród wzgórz. Pięknie tam było. Jak w Ohio. „To ziemia obiecana, Fanny, ziemia obiecana!” Biedny Servine. I on, i Jack Shawe pracowali za ciężko i obaj młodo umarli. Oni mieli nadzieję, ja nigdy - tyle tylko, by przeżyć, żeby jakoś ciągnąć. „Czemu nie pokładasz ufności w Jezusie, Fanny?” - spytał mnie Servine, umierając. Co miałam mu odpowiedzieć?

„Vinnie jest teraz u Jezusa” - powiedziała matka, a ja na to: „Nienawidzę Jezusa. Dlaczego mu ją sprzedałaś?” Matka patrzyła na mnie długo i nie wyrzekła ani słowa.

Jestem chora, bardzo chora. Czuję już zapach ziemi.

Wzór na koszyku przypomina ptasie pióro. Na przemian jasno- i ciemnobrązowe

prążki, wciąż je widzę. Chciałabym go wziąć do ręki, obejrzeć dokładniej, ale stoi na bielizniarce w pokoju Lily. Mała trzyma w nim muszelki. Chciałabym potrzymać w ręku muszlę, chłodną i gładką. Jasno- i ciemnobrązowe prążki, równe i schludne, na muszlach, na ptasich skrzydłach. Równiutkie, jak pismo. To była jedyna ładna rzecz, jaką wówczas miałam. Kiedy przeniosłam się do Oregonu, Charlotte miała mi przysłać broszkę z opalem po babci, ale w końcu tego nie zrobiła. Ponoć jubiler stwierdził, że to szkiełko, nie prawdziwy opal, i wstyd jej było wysłać. Prosiłam, żeby mimo wszystko przysłała, na próżno. Głupia kobieta. Wtedy bardzo chciałam mieć tę broszkę. Wciąż o niej myślę, po tylu latach. Głupia kobieta. Och, jak mnie wszystko boli, naprawdę jestem ciężko chora. Indianka Fanny przychodziła tutaj, kiedy jeszcze aż do wydm rósł gęsty las. Zanim pojawili się drwale, domy, drogi. Las schodził ze wzgórz aż na sam brzeg morza, świerki zrzucały igły i szyszki na piasek, przechadzały się łosie i latały czaple. Przywiozłam tu dzieci, bo maleńki Johnny dusił się, wdychając suchy krowi nawóz w tamtej dolinie, a ja nie chciałam już żadnych gospodarstw, stad, kurzu ani kaszlu. Sprzedałam inwentarz i ziemię Hinmanowi i zabrałam dzieci tu, na zachód, gdzie drzewa rzucają cień i można patrzeć na błyszczące morskie fale. Moja córka lubiła biegać po plaży. Kiedy się rozpędziła, biegła, gdzie ją oczy poniosły, coraz dalej wzdłuż brzegu. Czasem, niezbyt często, przychodziła ta stara Indianka, Fanny. A wtedy to ja poszłam do jej chatki za przyłádkiem i ucięłyśmy sobie pogawędkę. Kupiłam od niej koszyk za dwa centy. Nie dla dzieci, dla siebie; trzymałam w nim spinki do włosów. Odtąd stał na półce mojej chatki. „Po co jedziesz nad morze?” - pytały Ada Hinman, Henrietta Koop. „Co zamierzasz tam robić? Przecież to koniec świata! Nie ma nawet dróg!”

Johnny ma chore płuca, odpowiedziałam. „Ale najbliższy kościół jest dopiero w Astorii!” Nie dodałam nic więcej. Ciemne drzewa, jasna woda i piasek, którego nikt nie orze, nie wypasa. Zamieszkałam na krańcu świata. Dano nam to samo imię, powiedziałam.

Lily, 1918.

Śmierć to dziura. Śmierć to prostokątna czarna dziura. Mama wstała od stołu i jęknęła: „Braciszku!” Babcia milczała. Usłyszałam, że mama płacze, i w oczach zaczęły mi migać światła. Babcia powiedziała, że mogę iść na dwór się pobawić, ale to nie było powiedziane mile. Przyszło do nas dużo ludzi. Bawiłam się z Sammym i malutką Wanitą; Dicky i Sammy udawali Indian i kowbojów i ciągle przebiegali przez nasz niby-domek pod krzakiem różanecznika. Potem pozwolono mi iść na obiad do domu Dorothy, ale nie mogłam u niej zanoćować, musiałam wrócić do domu i iść do łóżka. Na początku w pokoju było ciemno,

potem wszystko pobieleło, stwardniało i zaczęło się wokół mnie zaciskać. Przez to miałam coraz mniej miejsca, wszystko było białe, a ja zaczęłam się dusić. Przyszła mama i powiedziałam jej, że to Gaz. Odparła: „Nie, kochanie”, ale ja wiedziałam, że to Gaz. Dicky Hambleton mówi, że żołnierze zagazowani na wojnie toczą z ust żółtą pianę jak koń pana Kelly’ego, kiedy zdychał. Dicky złapał się za gardło i udawał, że rzezi, ale on nic nie wie. To nie jego wujek zginął. Pisali o tym w „Astorian”: szeregowy John Charles Ozer z Oregońskiego Korpusu Ekspedycyjnego zginął bohaterską śmiercią. Prostokątna czarna dziura otoczona zieloną trawą. Teraz boję się Gazu. Co wieczór, kiedy leżę w łóżku, robi się biało i ciasno. Wtedy wołam mamę i ona przychodzi, i wtedy wszystko się uspokaja. Chciałabym, żeby Mruczek spał ze mną. Mama by mi pozwoliła, ale babcia zabrania, żeby nie przeszkadzał mi oddychać. Może teraz babcia umrze. Mam znajomego nieboszczyka, to mój wujek. Poległ za Ojczyznę. Nienawidzę Dicky’ego Hambletona.

Jane, 1902.

Piszę moje imię na rozpalonym piasku. Wiatr je zwieje, morze zmyje i ta myśl sprawia mi przyjemność. Lubię pisać swoje imię. Lubię podpisywać szkolne zadania: Jane S. Ozer, Jane Shawe Ozer. Servine Ozer nie był moim ojcem, tylko Braciszka. Moim ojcem był Jack Shawe. Pamiętam go: stał obok buzującego pieca, wysoki i chudy, a kiedy się nade mną pochylił, zobaczyłam, że ma śnieg we włosach. Pachniał krowami, butami i dymem. A jego oddech pachniał śniegiem. Podobało mi się to. I podoba mi się moje imię. Lubię je pisać: JANE. Janka. Brzydka Janka, Janka brzydka, wyszła boso za Duńczyka. Brzydka Janka, Janka marna, zjadła szybę i umarła. Ha! Lubię podpisywać rzeczy. Podpisałam plażę. Moją plażę. „Własność Prywatna, Wstęp Wzbroniony!” To jest Plaża Janki. Strzeżcie się, profani! Nie waźcie się tu wkraczać! Nie żałuję, że nie ma tu ze mną Mary. Dziś to jest tylko i wyłącznie moja plaża. Mój ocean. Tylko Janka, tylko Janka biega tutaj od poranka. Boso. Nigdy nie wyjdę za męża. Mary niech sobie wyjdzie. Niech jej jasno słońko świeci i da dziesięcioro dzieci. Albo wyjdę za Duńczyka, który przybędzie do mnie z drugiego końca świata. Nie, lepiej nie będę wychodzić za męża. Zamieszkać w małej chatce na tej parceli na Bretońskim Czubie, którą mama kupiła od Kellych. Zestarzeję się w samotności i będę krzyczeć w nocy jak mewa albo sowa. Moja parcela. Moja plaża. Moje góry. Moje niebo. Moja miłość, moja miłość! Cokolwiek mnie spotka, już dziś to Kocham. Kocham to miejsce. Kocham moje imię. Kocham kochać.

Zostawiam ślady stóp na piasku, tym gorącym i tym mokrym, biegnę rozkochana,

samotna, pisząc stopami własne imię na piasku. Dwie bosa pięty i dziesięć palców od Bretońskiego Czuba do Wrakowiska, a potem prosto w morze i z powrotem z przemoczoną spódnicą. Nie dogonicie mnie!

Fanny, 1906.

Gdy tylko rozeszła się wieść, że w sklepie będzie urząd pocztowy, poddałam pod głosowanie zmianę nazwy. Will Hambleton chciał, żeby osadę nazwać Bretońską Skałą, bo to ładnie brzmi i ściągnie letników z Portland. Stary Frank i Sandy głosowali za Rybim Potokiem. To nie żadna nazwa, powiedziałam. Każdy potok w Oregonie jest rybny. Nasze miasto musi mieć własną nazwę. Czy twój ojciec nie mówił czasem o Klatsandzkim Potoku, Sandy? A on mieszkał tu od początku, od pierwszego roku osadnictwa. Sandy kiwnął głową, że tak właśnie było. Stary Alec wpisał na swojej mapie nazwę „Latsand”. Ale Fanny, ta druga Fanny, podała mi prawdziwą nazwę, którą kiedyś nosiła jej wioska. Powiedziałam stanowczo: Rybny Potok to nie nazwa dla miasta, które ma własną pocztę i buduje wielki hotel. Na to Will znowu, że nazwa musi być elegancka, jeśli ma przyciągnąć eleganckich ludzi. Ja na to, że byłam pewna, że poczta będzie w Klatsand, skoro pierwsi mieszkańcy tak je nazwali. Frank zaczął kiwać głową jak chińska lalka. Oni wszyscy uważają się za pionierów, stare wygi, bez mała towarzyszy Lewisa i Clarka. Will Hambleton osiedlił się tu niedawno i lubią mu o tym przypominać. Bąknęłam niewinnie: „Myślałam, że naprawdę się tak nazywa!” Will zaczął się śmiać. Zrozumiał, że postawiłam na swoim.

Kiedy przyjechałam tu z Calapui, Jane miała dziesięć lat, a Johnny dwa. Pierwszej zimy mieszkaliśmy w tamtej chacie za Morskim Traktem. Odkładałam pieniądze, każdy grosz, przez osiem lat. Pracowałam w sklepie i oszczędzałam. Kiedy Hinmanowie wreszcie spłacili farmę, kupiłam ziemię nad urwiskiem, starą posiadłość Kelly’ego na Bretońskim Czubie. Prawdziwą posiadłość. Pięćdziesiąt akrów za pięćdziesiąt dolarów. Staruszek mnie lubił. Powiedział, że i tak woli mieć pięćdziesiąt dolarów niż kawał skały. Las wykarczowano, ale niecały, i już odrasta. Są tam dwa dobre źródła, jedno ocembrowane. Starą chatę chcę zburzyć, to ruina. Mam ziemię i połowę udziału w sklepie; nic nikomu nie jestem winna. Gdyby Servine żył, pewnie do śmierci harowałabym na spłatę długów. Zamierzam wybudować dom, tam, na Czubie. Kiedy skończą hotel, zjadą się ludzie i w Klatsand zrobi się ciasno. Na ulicy Lewisa budują się dwa nowe domy. Sama też mogłabym postawić dom w mieście, wynająć go lub sprzedać. Will Hambleton karczuje stare drzewa przy Morskim Trakcie, kupuje ziemię. Wkrótce będzie tu stał dom obok domu.

Tamtej zimy, w chacie, deszcz wciąż lał się do środka. Próbowałam uszczelnić dach brezentowymi płachtami, ale za każdym razem je zwiewało. Ilekroć padał deszcz, rozstawiałam wszędzie wiadra i garnki. A padało, że hej! Nie znałam deszczu, dopóki tu nie przyjechałam. Kiedy wreszcie wyglądało słońce, malutki Johnny próbował podnosić z ziemi jasne plamki, bo nie wiedział, co to jest. Ale kiedy wychodziło się spomiędzy drzew, ciemnych starych świerków, pod którymi zawsze zalega cień, człowiek robił ostatni krok i stał w powodzi światła. Na plaży jest jasno nawet w czasie deszczu. Światło odbija się od wody. Deszcz pada z nieba do morza warkoczami, które wyglądają jak filary jakiejś budowli, a pomiędzy nimi świeci słońce. To jak świątynia. Dom chwały Pańskiej.

Tamtego pierwszego roku na plażę wychodziły łosie. Teraz nie schodzą już nad samo morze. Widziałam kiedyś stado w głębi lądu, szło przez mokradła nad potokiem. Dawniej maszerowały przez wydmy rzędem jak krowy, tylko wyższe, i patrzyły tymi swoimi błyszczącymi oczyma.

- Ale, ale! - stary Frank bierze stronę Willa, bo Will jest bogaty. - Co to właściwie znaczy „Klatsand”? Nic nie znaczy, odpowiadam, bo to jest nazwa. Nazwa tego miejsca. Nie ma innego miejsca, które nazywa się Klatsand, prawda?

Wszyscy się śmieją. Wygrałam. Petycja o zmianę nazwy i tak zresztą była już w drodze. Wysłałam ją w zeszły wtorek.

Lily, 1924.

Na moim ślubie będą cztery druhny w sukienkach z różowej i białej organdy. Ja będę ubrana w białą koronkę ze srebrnymi wstawkami, do tego tiul, i bukiet z różowych i białych różyczek przetykanych gipsówką. Buciki ze srebrnej koźlęcej skórki. Rzucę bukiet tak, żeby złapała go Dorothy. Po ceremonii wsiądziemy do białej limuzyny i pojedziemy do Portland, gdzie spędzimy miodowy miesiąc w apartamencie dla nowożeńców hotelu Multnomah.

A może lepiej w niebieskim? Druhny - Marjorie, Edith, Joan i Wanita - w błękitnej organdynie z bufiastymi rękawkami, białe szarfy i białe buciki. Dorothy, moja pierwsza druhna, w srebrnej szarfie i srebrnych bucikach. Suknia ślubna z białej i srebrzystej koronki z malutką stojką, taką jak w nowej sukience Mary Anne Beckberg. Srebrne buciki z tymi ślicznymi kieliszkowymi obcasikami, bukiet z białych różanych pączków, jakichś niebieskich kwiatuszków i gipsówki, ze srebrną kokardą i długą srebrną wstążką.

Moglibyśmy wszyscy pojechać pociągiem z Gearhart do Portland i urządzić ślub w

tym kamiennym kościele z wieżą. W portlandzkich gazetach ukazałoby się zawiadomienie: panna Lily Herne z Klatsand wychodzi za mąż.

Mama Dorothy ma stary koronkowy welon, który jest w ich rodzinie od niepamiętnych czasów; zawinięty w poźółkłą bibułę leży w drewnianej szkatułce z kamforą. Dorothy kiedyś mi go pokazała. Na jej ślubie to ja będę pierwszą druhną. Obiecałyśmy to sobie. Żałuję, że nie mamy starego koronkowego welonu. Babcia nigdy nie miała niczego ładnego. Nosiła te ohydne stare buciory i mieszkała na zapleczu za sklepem spożywczym. Zostawiła mamie w spadku tylko dom, w którym mieszkamy, i tamten drugi, w którym mieszkają Brownowie, i jeszcze parcelę na Czubie, całą porośniętą lasem. Żałuję, że zamiast tego wszystkiego nie kupiła domu pana Norsmana, wówczas to w nim byśmy mieszkały. Pan Hambleton powiedział do mamy: „To prawdziwy dwór, Jane. Dziwię się, że twoja matka go nie kupiła razem z tą połową przeczniczy”. Gdyby naprawić ganek, pomalować wszystko na biało i wyfroterować parkiety, wyglądałby jak pałac i można by w nim urządzić naprawdę eleganckie wesele. Goście czekali by zgromadzeni w wielkim holu, na przedzie dziewczynka w różowej sukieneczce, która będzie sypać kwiaty, i chłopczyk w niebieskim ubranku z krótkimi spodenkami, trzymający obrączki (to mógłby być mały Edward), fisharmonia gra „Nadchodzi oblubienica”, a ja w ślubnej sukni z długim trenem schodzę wolnym krokiem po lśniących zakręconych schodach.

Może pojedę do Portland do szkoły dla dziewcząt, tam zaprzyjaźnię się z jakąś bogatą panią i będę brała ślub w jej domu w ekskluzywnej dzielnicy West Hills. Parkietowe podłogi, tapeta w sceny krajobrazowe, a gdy schodzę po zakręconych lśniących schodach w białosrebrzystej koronkowej sukni, patrzy na mnie z podziwem grono młodziutek debiutantek, zaś hymn na wejście oblubienicy gra cała orkiestra. Ojciec mojej przyjaciółki prowadzi mnie do ołtarza. Jest wysoki i wygląda bardzo godnie z odrobiną siwizny na skroniach. Podaje mi ramię. Druhny rozkładają mój tren z białej i srebrnej koronki. Panna Lily Herne z Klatsand. Panna Lily Frances Herne z Portland wychodzi za mąż. Bukiet z kwiatu pomarańczowego przywiezionego statkiem z południowej Kalifornii. Ale i tak rzucę go Dorothy.

Jane, 1907.

Po to przyszedłam na świat.

Noszę czarną spódnicę, białą zapinaną na guziki bluzeczkę, biały fartuszek i czepeczek upięty na głowie. Włosy podtapiruję i upinam wysoko. Z uśmiechem przyjmuję

zamówienia. Noszę tace z jedzeniem. Kobiety przyglądają mi się z aprobatą, Doceniają to, że poruszam się zręcznie i szybko. Mężczyźni zerkają z podziwem i odwracają wzrok. Widziałam już, jak drżały im ręce. Przemykam za ich plecami, zostawiam ślad oddechu na czerwonych karkach opiętych celuloidowymi kołnierzykami. Dziękuję, panienko. Chodzę tam i z powrotem przez wahadłowe drzwi między gorącą, hałaśliwą kuchnią a chłodną, pełną dystyngowanych szeptów jadalnią hotelu Exposition. Noszę na tacy potrawy i noszę resztki, okruchy, kości i tłuszcz, kieliszki pełne i puste, ze śladami warg. Stawiam na stole gorące, pięknie ułożone danie, barwne, pachnące, apetyczne. Znoszę zimne, tłuste, umazane talerze. Ustawiam kieliszki do wina i odnoszę je z powrotem. Jestem czysta, lekka, prędką i miłą, karmię głodnych. Gdzie ja, tam porządek i obfitość. Wszyscy są zadowoleni. Ale nie dlatego chodzę między stolikami, przemykam za oparciami krzeseł jak tchnienie wiatru. Nie po to przyszedłam na świat! Urodziłam się dlatego, że on stoi trochę na lewo od biurka, z pochyloną ciemną głową. Oświetlone przez lampę dłonie trzymają rejestr. Teraz podniósł wzrok i patrzy na mnie, widzi mnie. Urodziłam się po to, żeby mógł mnie zobaczyć, a on po to, żebym ja ujrzała jego. On dla mnie, ja dla niego, pojawiliśmy się w świetle słońca i gwiazd, na łodzi i na morzu.

Fanny, 1908.

Zawsze była dobrym dzieckiem, byстрыm, jak ojciec. Dobrze jej szło w szkole. Dostawała nagrody za ortografię, wypracowania i rachunki. Grała Królową Wiosny w szkolnym przedstawieniu, a potem główną rolę w sztuce muzycznej, którą uczennice najstarszej klasy liceum wystawiły w Finn Hall w Summersea. Miała wówczas całe naręcze kalii; weszła, trzymając je w ramionach i zaśpiewała:

Nie dbam o to, co pomyślą.

Co mi tam! Co mi tam!

Leciuteńko uniosła rąbek spódnicy - jak królowa - i skłoniła się wdzięcznie. Gdzie one się tego uczą? Skąd wiedzą? Jednego dnia gania taka po plaży jak biegus, a następnego słyszysz: „Co mi tam!”, głośne, dźwięczne i silne; twoje dziecko króluje na scenie i wszyscy biją mu brawa. Nie klaskałam, nie byłam w stanie rozpleść zaciśniętych dłoni aż do opadnięcia kurtyny. Dlaczego tak się o nią bałam? Dlaczego wciąż się o nią boję? Nigdy nie przysparzała mi kłopotów. Zawsze świetnie sobie radziła. Twoja Janeczka, mówili, Janeczka

podawała nam w hotelu. Na jakąż piękność wyrosła! Kiedy Mary uciekła z tym nie wartym Bo Voderem - żeby chociaż po ślubie! - żal mi było Alice Morse, ale czego się spodziewała, pozwalając Mary się malować i umawiać z każdym napotkanym drwalem czy robotnikiem tartacznym? Jane zawsze się przyjaźniła z Mary, ale nie zadałaby się z kimś takim. O to akurat nigdy się nie martwiłam. Moja córka zna swoją wartość. Jest bardzo ładna, smukła i wysoka jak Jack Shawe, tak samo świetlistooka i skora do śmiechu. Ale dumna. Johnny będzie podobny do Servine'a, miły i łagodny, łatwy we współżyciu. O Johnny'ego się nie boję, nic złego go nie spotka. Czego się obawiam, kiedy myślę o mojej dziewczynce? Lęk przejmuję mnie nawet na słowa: „moja córka”. Stawka jest zbyt wysoka.

Jack Shawe mawiał, że nie znosi gry o zbyt niskie stawki. Dolara za punkt, Fanny? pytał, rozkładając kriba wieczorami na ranczu Owyhee, kiedy suchy śnieg szeleścił na ścianach domu. Jack, jestem ci już winna dziesięć tysięcy dolarów! No, nie tchórz, Fanny, dolara za punkt. Nie ma sensu grać o niską stawkę.

To nie Lafayette'a się boję. Wierzę, że jest dobrym człowiekiem pomimo miejskiego wychowania i manier, i wiem, że ją kocha. Są w sobie zakochani. Może właśnie to mnie przeraża? Czym jest miłość? Moja była Jackiem Shawe - od chwili, gdy go zobaczyłam, jak oglądał uprząże w sklepie w miasteczku Oxford. Wówczas zrozumiałam, po co żyję. Wszystko wydało się takie proste i jasne. Cały świat, całe życie, wszystko w jednym ciele i jednym umyśle. Wszystkie obietnice spełnione - i wszystkie złamane. W miłości stawia się wszystko. Całe bogactwo świata, całą wartość życia. I to nie to, że nagle przegrywasz, zostajesz z niczym. Przegrywasz po trochu, zużywasz żetony na to i na tamto, tracisz tu dzień, tam dzień - na pracę, gadanie, złość, zmęczenie, próżne wysiłki, kaszel i wreszcie nie zostaje nic. Koniec gry. Co się stało z tym wszystkim, czym byłeś i czym miałeś być? Co się stało z miłością? Z obietnicami? Także tą najważniejszą?

Chyba tego się właśnie boję. Że zostanie roztrwoniona, jak Jack. Nie osiągnie niczego, nie stanie się tym, kim jest w istocie. Czy jakiejś kobiecie się to kiedyś udało? Na pewno niewiele.

Mężczyznom jest odrobinę łatwiej. Ale ludzi, którzy mają kapitał na wejście, nie ma wielu. Niezależnie od płci.

Być może Lafayette Herne dojdzie do czegoś, a może nie. Nie wiem. O niego też się boję. Dlaczego? Czyżbym pokochała tego chłopca? Tak, jestem uczestniczką, więźniem ich miłości, nazwałam go przecież synem.

Wysoko nosi głowę. To człowiek z miasta. Eleganckie ubrania, wąskie buciki, starannie zaczesane ciemne włosy. Podoba mi się sposób, w jaki odwraca się z uśmiechem.

Jest pewny siebie. Kompetentny. Piastuje stanowisko zastępcy dyrektora hotelu Exposition i jest pewien, że dostanie w zarząd nowy hotel w San Francisco, ten, o którym mówił. Na tym przypuszczeniu oparł swoje małżeństwo. Stawka jest wysoka. Lecz i tak dobrze mu się powodzi, chociaż ma dopiero trzydzieści lat. Jest zdolny, błyskotliwy, obiecujący. Kobiety widzą w nim obietnicę. A on dostrzega kobiety. Nawet mnie; niektórzy mężczyźni widzą wszystkie kobiety, niezależnie od urody czy wieku. Ale kocha tylko Jane, bardzo ją kocha. To będzie dla niej straszny przeskok - życie żony dyrektora hotelu, wciąż nowe twarze, obcy ludzie, wykwintne jedzenie, napoje i suknie, wielkomięskie tempo. Czy dlatego boję się o nią, o nich oboje? Czemu się boję? Czemu serce mi wali, dlaczego kurczowo zaciskam dłonie, siedząc w hotelowym pokoju w Astorii, wystrojona na ślub mojej córki?

Lily, 1928.

O Boże, krew, krwawię, wykrwawiam się na śmierć, umieram, cała jestem we krwi, umieram, już umarłam. Tak, dobrze, niech spocznę w czarnej ziemi, pod korzeniami drzew.

Odejdź. Odejdź precz.

On

Zabrał mnie z tańców samochodem swego ojca, daleko, za daleko, precz. Odejdź, żebym mogła ukryć krew.

Może jestem przeklęta. Może klątwa przybyła przedwcześnie, przyjechała samochodem ciemną drogą przez las. Tańce się skończyły, droga wiję się w ciemnościach, a na każdej gałęzi każdego drzewa w lesie siedzi anioł w białej lśniącej szacie i płacze. Już wtedy to czułam, teraz widzę wyraźnie. Anioły broczą kroplami, strużkami krwi. Ich białe lśniące szaty plamią między nogami sztywne rudawe smugi. I to coś na spódnicy. Brzydko pachnie. Taki sam kolor miała stara balia za sklepem obok schodków do babci, przerdzewiała na wylot. Łuszczyły się z niej rudobrazowe płyty. Kiedy się ich dotknęło, palec robił się rdzawoczerwony. Nie wkładaj palców do buzi, mówiła Dorothy, bo się zatrujesz i dostaniesz tężca. Może to była klątwa. Anioły tkwią w gniazdach w pajęczynie gałęzi, wokół gwiazdy i ogromne cienie, a potem

on

Kiedy weszłam, mama zawołała: „Czy to ty, kochanie?“, a ja odpowiedziałam: „Tak”. Teraz, gdy jest jasno, widzę krew.

Zgasił reflektory, było ciemno, silnik milczał, powiedziałam: Dicky, naprawdę powinniśmy już wracać i o, sójka, sójka krzyczy, niedługo będzie świtać. Było ciemno.

Przestań, proszę. Proszę, proszę, proszę, zostaw mnie, odejdz, przestań. Najpierw tylko kropla, a teraz krew bucha ze mnie wszystkimi porami, z palców, ramion, nóg, plami odzież, plami prześcieradło. Plamy schną, sztywnieją i brązowieją jak trująca rdza. Czuję ich zapach. Nie mam odwagi ich uprać. Nie powinnam. Woda jest czysta. Jeśli to w niej zanurzę, woda zbrązowieje i będzie śmierdzieć mną. Dobrze wychowane panienki nie używają słowa „śmierdzi”, mówiła panna Eltser, ale ja nie, ja nie

ja

Co ja zrobiłam? Co się ze mną stało? Ja to zrobiłam. To ja. Dobrze wychowane panienki

Ale powiedziałam przecież: Hej, minęliśmy skręt do Klatsand!

A Dicky

Dicky Hambleton jest studentem. Studiuje w Kalifornii i wróci tam znów jesienią. Jestem w nim zakochana. To przecież musi być miłość. Kiedy weszłam do saloniku w nowej sukience, którą założyłam specjalnie na tę zabawę, powiedział: Mała Lily... Tak czule. Lily... Tak tkliwie.

Dorothy wyszła wcześniej. Podeszła, żeby powiedzieć mi, że już idzie, Joe Seckett miał ją odprowadzić, ale ja byłam z Dickym, więc jak mogłam wyjść z nią? Mówiła, że wie od Marjorie, że chłopcy chodzą do auta Danny’ego Beckberga, który ma tam bimer, i piją, i że widziała z nimi Dicky’ego Hambletona. Ale ja czekałam, aż Dicky wróci na tańce. Nie mogłam wyjść. Muszę być zakochana. Wszystko skurczyło się w maleńki jasny punkcik na drugim końcu drogi, orkiestra, tańce, lampiony i inne dziewczęta. Dicky wrócił, chodź Lily, zrobimy sobie piknik w lesie. Ale przecież jest noc, roześmiałam się. Chciałam tańczyć. Uwielbiam tańczyć. Miałam taką śliczną białą sukienkę, w świetle lampionów lśniła własnym blaskiem, gdy wirowałam w tańcu, kiedy Dicky porywał mnie w obroty, białe buciki na podłodze samochodu, anioły nachylają się z konarów drzew i plamią krwią ciemność, zapach żelaza i żelazna sztaba, przestań! Przestań! Przestań! Przestań! Przestań!

SAN FRANCISCO, LATO 1914 ROKU

Na oceanie leżała letnia mgła. Jej macki wpełzały na bezleśne wzgórza. Kłębiła się i nawarstwiała, płynąc przez Złote Wrota, zacierała wyspy na zatoce, statki na wodzie, ciemne grzbiety Marin po drugiej stronie. Błede sznury i pętle ulicznych świateł zdobiły niczym kolie z pereł wybrzeże Wschodniej Zatoki u stóp gór odcinających się na tle niebieskozielonego nieba. Prom zdążający do budynku z wieżą u wylotu Market Street sunął majestatycznie po

ciemniejszej wodzie.

Kobieta i mężczyzna w wieczorowych strojach wyszli z hotelu Alta California i przystanęli na schodach. Latarnie i światła bijące z hotelowych okien dzieliły zmrok na krzyżujące się pasma jasności i cienia. Kobieta, zwrócona twarzą do ulicy pełnej wrzawy, ruchu, odgłosu kopyt i turkotu dużych lekkich kół, wciągnęła głęboko powietrze i otuliła się nieco ciaśniej białym jedwabnym szalem. Mężczyzna odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Uśmiechnął się.

- Pójdziemy pieszo?

Kobieta skinęła głową.

Z hotelu wybiegł kancelista, wołając półgłosem pełnym szacunku, lecz nagłym:

- Panie Herne, właśnie doręczono depeszę z Chicago...

Lafayette Herne zawrócił, żeby wydać mu instrukcje. Jane Herne czekała, przytrzymując zdobny frędzlami szal, świadoma własnej elegancji i bliskości odzianego w czarny frak smukłego, kanciastego ciała swego męża, którego cichy głos tworzył tło tej sceny; świadoma także tego, że upozowana wyniosłe na płaskich szerokich stopniach hotelu ona sama wygląda jak morski ptak - samotny, wpatrzony w ciemność.

Lafe wziął w posiadanie jej ramię, ujmując je mocno. Ruszyła ulegle, wolną ręką unosząc lekko spódnicę na schodach, a potem znowu, by przedostać się przez jezdnię usianą słomą i końskimi odchodami. Blask ulicznych latarni i lamp przy powozach zdawał się chybotać w zimnym, wiejącym znad morza wietrze.

- Nie jest ci za chłodno?

- Nie.

Obejrzała się, żeby zerknąć w witrynę jubilera, którą właśnie mijali. Wyściełane czarnym aksamitem i satyną gniazdzka opustoszały już na noc.

- Przemyślałem to, co mówiłaś - powiedział mężczyzna sucho, z nutką irytacji, jak gdyby jej roztargnienie go drażniło.

- Tak? - Szła dalej, patrząc prosto przed siebie, wyprzedzając go nieco, choć wąska wieczorowa suknia hamowała jej kroki.

- Postanowiłem, że pojedziesz do matki, tak jak sobie życzyłaś, oczywiście wraz z Lily, na resztę lipca i sierpień. Możesz wyruszyć, kiedy zechcesz. Wynajmij pokój w Starlight. Jeśli zdołam, przyjadę na dzień lub dwa na początku września i razem wrócimy do miasta. Miałem bardzo dużo pracy, Jane, i zdaję sobie sprawę, że moje troski nie pozwoliły mi poświęcić dostatecznie dużo uwagi twoim życzeniom.

- Lub moim troskom - dopowiedziała z uśmiechem.

W odpowiedzi zrobił drobny, niecierpliwy, kontrolowany ruch głową i milczał przez dłuższą chwilę, idąc obok niej.

- Chciałaś odwiedzić matkę. Zatrzymałem cię tu, to było samolubne.

- Nie zatrzymałaś. Poprosiłaś, żebym została, i zostałam.

- Dlaczego musisz czepiać się słów? Wszystkie nasze kłótnie się od tego zaczynają.

Jakkolwiek chcesz, żebym to ujął, mówię, że byłem samolubny, zatrzymując cię przy sobie. Przepraszam. Mówię także: jedź, nawet zaraz.

Szła dalej bez słowa. Zerknął na nią spod oka.

- Mówiłaś, że tego chcesz - dodał.

- Tak. Dziękuję.

Jakby z ulgą przycisnął mocniej do siebie jej ramię. Zaczął mówić, lecz ona w tej samej chwili wydała cichy odgłos, śmieszek niedowierzania.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego.

- Przecież my przez cały czas gramy. Gdybyśmy potrafili się zdobyć na prawdziwą rozmowę zamiast tej słownej szermierki...

- Mówię ci, że możesz zrobić to, czego podobno chcesz, a ty zarzucasz mi grę i szermierkę słowną. To czego naprawdę chcesz?

Minęli pół przecznicy, zanim odpowiedziała. Mężczyzna skrócił krok i szli teraz w nogę, obcasy wystukiwały rytm na chodniku. Skręcili na północ w mniej ruchliwą ulicę, słabiej oświetloną niż Market Street.

- Być uczciwą kobietą - odpowiedziała - zaślubioną uczciwemu mężczyźnie.

Platforma załadowana dziesięciogalonowymi konwiami, ciągnięta przez silny zaprzęg perszeronów, zaturkotała, towarzysząc im w drodze. Lafayette Herne rozejrzał się w lewo i w prawo, mocniej przytrzymał ramię żony i pociągnął ją na drugą stronę ulicy.

- A zatem - rzekł lekko - nadal każesz mi płacić.

- Płacić? Za co?

- Za tamto nieporozumienie.

- To było nieporozumienie?

- Sprawa z Louisą? Oczywiście. Pomyłka, nieporozumienie. Ile razy będę musiał to jeszcze powtarzać? Jak często mamy do tego wracać?

- Tylekroć, ilekroć będziesz kłamał. Czy to ja prowokuję cię do kłamstwa?

- Jeśli wciąż wałkujesz jedno i to samo, jeśli nie masz ani odrobiny wiary we mnie... to co mam ci powiedzieć?

- Chcesz, żebym ci wierzyła, kiedy kłamiesz rzuciła, jakby spodziewając się, że

potwierdzi.

- Ty nie chcesz mi uwierzyć, pełna jesteś urazy, pogardy. Nie pozwolisz mi odciąć się od przeszłości. Powiedziałaś... - głos zadrżał mu żałośnie - że zaczniemy wszystko od nowa. Ale nie pozwoliłaś zacząć.

Po kilku kolejnych krokach kobieta uwolniła rękę i przytrzymała zwisający koniec szala. Mgła gęstniała, światło odleglejszych latarni rozmywało się w mleczone plamy.

- Lafe - powiedziała - ja też wiele o tym myślałam. Szczerze próbowałam zacząć od początku po tym, jak... jak przestałeś się z nią widywać. Wiem, że mężczyźni... niektórzy mężczyźni mają taką potrzebę. Mnie kojarzy się ona z nałogiem pijaka, ale zdaję sobie sprawę, że jestem niesprawiedliwa. Zapewne bardziej przypomina głód. Przypuszczam, że nie możesz jej zwalczyć, podobnie jak nie mógłbyś zrezygnować z jedła. Właściwie to rozumiem. Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego starasz mi się wmówić, że to moja wina. Mówisz: nie pozwalałam ci zacząć od nowa. Sam wiesz, że takie stwierdzenie mnie krzywdzi. Zacząłeś od nowa, tyle że nie ze mną. Obwiniasz za to mnie, może słusznie. Może i jest w tym moja wina. Pewnie cię nie zaspokajam, choć zawsze temu przeczyłeś.

- Bo to nieprawda, takie słowa są fałszywe i głupie! - wykrzyknął gwałtownie. W oczach błyszczały mu łzy. - Wiesz, że cię kocham!

- Wierzę, że tak, Lafe. Ale nie o tym rozmawiamy.

- Przez cały czas rozmawiamy o miłości! Naszej miłości! Cóż innego może się dla mnie liczyć prócz ciebie? Czy ty nie rozumiesz, nie wierzysz, że jesteś moją żoną, całym moim światem?

Przystanęli zwrócenii do siebie obok wysokiego frontowego portyku drewnianego budynku ściśniętego pomiędzy nowszymi, większymi, wzniesionymi po trzęsieniu ziemi. Wysokie krzewy tuliły się do wydeptanych stopni, jakby chciały im zaoferować azyl, schronienie przed jawnością ulicy; jakby to był ganek i ogród ich własnego domu. Było już prawie ciemno i robiło się coraz chłodniej.

- Wiem, że mówisz to szczerze, Lafe - powiedziała kobieta łagodnym, smutnym głosem. - Ale kłamstwo odbiera miłości wartość. Odbiera wszelką wartość naszemu małżeństwu.

- W twoich oczach! - rzucił oskarżycielskim tonem.

- A w twoich? Ile jest warte?

- Jesteś matką mojego dziecka!

- No i? - Zaśmiała się nagle. - Istotnie, to akurat jest prawda. - Spojrzała na niego ze szczerą rozterką, zapraszając, by on też był szczery. - A ty ojcem mojego. I co dalej? Czy coś

z tego wynika?

- Chodź - pociągnął ją za łokieć.

Obejrzała się na osłonięte listowiem schody, jakby żał jej było odchodzić.

- Czy nie powinniśmy byli skręcić przecznicy wcześniej?

Szedł dalej. Przyspieszyła kroku, żeby za nim nadążyć.

- Już po ósmej - przypomniała.

- Nie mam ochoty na teatr.

Na rogu ulicy przystanął i patrząc w bok, rzekł:

- Twoja wiara we mnie jest dla mnie fundamentem wszystkiego. Wszystkiego. Zburzyć go, powiedzieć, że chcę się ciebie pozbyć, żeby... dla mojej wygody...

- Jeśli się myliłam, przepraszam.

- Jeśli? - powtórzył gorzko, sarkastycznie. Kobieta milczała. Mężczyzna podjął łagodniej: - Wiem, że cię skrzywdziłem, Jane. Zadałem ci wielki ból. Nie ma dla mnie usprawiedliwienia. Byłem głupcem, bydlakiem i bardzo tego żałuję. Będę tego żałował przez resztę życia. Gdybyś tylko zdołała w to uwierzyć! Zamknęliśmy tamten epizod. Ale jeśli zamierzasz wciąż do niego wracać, jeśli nie chcesz uwierzyć, że cię kocham, co mam począć? Czyja to wina, że się buntuję, że na dłuższą metę nie jestem w stanie tego znieść?

- Moja? - spytała z niedowierzaniem.

Zacisnął dłoń na jej ramieniu, na tyle mocno, że po chwili powiedziała:

- Lafe, puść.

Nie wypuścił jej, ale rozluźnił uchwyt. Spojrzała na jego twarz widoczną w mętłym świetle latarni stojącej po drugiej stronie ulicy.

- Kochamy się, Lafe. Ale miłość, małżeństwo, nawet rodzicielstwo... na co się zda bez zaufania? - Jej głos, stopniowo coraz bardziej przenikliwy, załamał się na ostatnim słowie, wydała urwany okrzyk, jakby się skaleczyła. Uwolniła rękę i uniosła do twarzy zaciśnięte dłonie.

Stał tuż przy niej na wąskim chodniku - spięty, niepewny. Wyszeptał jej imię i uniosł rękę, by dotknąć jej dłoni, z wahaniem, jakby zamierzał dotknąć otwartej rany.

Kobieta opuściła rękę, zaciągnęła biały szal na piersiach.

- Powiedz mi, Lafe: wierzysz, że masz prawo robić to, co ty uważasz za słuszne?

Po chwili odparł łagodnie, lecz stanowczo:

- Tak. Mężczyzna ma prawo podejmować własne decyzje.

Spojrzała na niego z podziwem.

- Żałuję, że nie należę do kobiet, którym to wystarcza.

- Ja też - przyznał szczerze, z humorem. - Och, Janeczko, raz wreszcie powiedz mi, czego ty naprawdę chcesz...?

- Chyba najlepiej dla mnie będzie, jeśli pojadę na północ. Do domu.

- Na lato.

Nie odpowiedziała.

- Przyjadę we wrześniu.

Pokręciła głową.

- Przyjadę we wrześniu - powtórzył.

- Ja przyjadę. Wtedy, gdy podejmę taką decyzję. I jeśli ją podejmę!

Patrzyli na siebie oboje zaskoczeni jej gniewem. Jane objęła się ramionami pod szalem. Wiatr niósł pasma mgły, poruszał jedwabnymi frędzlami.

- Jesteś moją żoną i przyjadę do ciebie - powtórzył spokojnie, krzepiąco.

- Nie, jeśli żona jest dla ciebie tylko jedną z wielu kobiet. - Słowa zabrzmiały fałszywie, teatralnie.

- Daj spokój. Chodź do domu, Janeczko. Sama siebie podburzasz, a teraz jesteś wyczerpana. Chodź. To nie był odpowiedni wieczór na wyjście do teatru, prawda? - Na przystojnej młodej twarzy Lafayette'a odbiło się znużenie. - Cała drżysz - dodał z troską i objął ją ramieniem, przyciągając do siebie, chroniąc przed chłodem. Zawrócili powoli, spleceni w objęciu.

- Nie jestem koniem, Lafe - powiedziała kobieta po długiej chwili.

Pochylił ku niej głowę pytająco.

- Traktujesz mnie jak Roanie, kiedy się płoszy. Uspokajasz, mówisz różne pieszczotliwe bzdury, prowadzisz do domu.

- Nie bądź przykra, Janeczko.

Zmilczała.

- Chcę cię obejmować. Chronić. Tulić. Jesteś mi bardzo droga, potrzebna. Jesteś ośrodkiem mojego życia. Ale cokolwiek powiem albo zrobię, ty zawsze obrócisz to na złe. Najwyraźniej nie potrafię ani mówić, ani działać właściwie. - Wciąż ją obejmował, pochylony ku niej, ale jego ramię było teraz sztywne, ciężkie.

- Jedyne, co posiadam, to szacunek dla samej siebie - odpowiedziała. - Ty byłeś jego częścią. Najlepszą częścią. Jego ukoronowaniem. To wszystko przepadło. Musiałam się z tym pogodzić. Ale więcej nie pozwolę sobie odebrać.

- Czego ty chcesz, Jane, na miłość boską?! Co mam zrobić?

- Grać uczciwie.

- Co masz na myśli?

- Wiesz, co oznacza to słowo.

- A doprowadzanie mnie do obłędu oskarżeniami i aluzjami, czy to uczciwa gra? Czy to daje ci szacunek dla samej siebie?

- Sallie Edgers - szepnęła, rumieniąc się ze wstydu.

- Co? - warknął sucho i przystanął. Odsunął się od niej. Po dłuższej pauzie wyrzucił z siebie bez tchu: - Nie mogę żyć w ten sposób. Prześladowany zazdrością. Szpiegowany. W ciągłej walce o to, czyje będzie na wierzchu. Myślałem, że masz serce.

Kobieta skrzywiła się boleśnie. Jej twarz w rozmytym świetle ulicznych latarni była blada i ściągnięta.

- Ja też kiedyś tak myślałam - powiedziała.

Zawahała się, lecz ruszyła dalej, otulając ramiona strzępiastym szalem i podciągając go pod brodę. Po kilku krokach obejrzała się. Mężczyzna nadal stał w miejscu. Przystanęła i ona.

- Masz rację - powiedział niegłośnie, lecz wyraźnie. - To nie ma sensu. Nie wiem, czego ty chcesz, ale niech będzie po twojemu!

Odwrócił się i odszedł, prędko stukot obcasów szybko cichł w oddali. Kobieta stała niezdecydowanie, patrząc za nim. Wysoka, wyprostowana postać rozmyła się we mgle.

Ruszyła w przeciwnym kierunku, najpierw z ociąganiem, oglądając się raz po raz. Mgła zgęstniała, przygasiła latarnie niemal do poziomu tła, odebrała budynkom, słupom, ludziom, koniom i pojazdom wyraźny kształt i położenie. Zanim którekolwiek z małżonków dotarło do skrzyżowania, już stracili się z oczu. Na Market Street liczne światła samochodów i furgonów tworzyły chaos krzyżujących się gęsto w półprzejrzystym powietrzu jaśniejszych i ciemniejszych smug. Pośród tego osobliwego baletu widm rozbrzmiewały dziecięce głosy podobne do krzyku mew. Wojna, wołały. Wojna!

Virginia, 1971.

Grudy i wzgórki, grzebienie, najrozmaitsze pienne kształty wieńczą listopadowe fale. Gnane wiatrem, zapędzają się daleko w głąb mokrej plaży. Świetliście biała na wodzie, piana, gdy spocznie na piasku, staje się brudnożółta. Burzowy rozkołys morza targa rozłożyste korony wodorostów w podwodnym lesie, odrywa od nich drobne gałązki i pędy, mieli na papkę, wraz z wiatrem ubija na sztywną pianę, którą później grzywacze strząsają na brzeg. Nie jest ona więc biała niczym sól, lecz utlenia się do rdzawej lub żółtawej barwy w miarę,

jak butwieją żywe szczątki roślin. Śmierć nadaje jej kolor. Czysta spieniona woda nie przetrwałaby dłużej niż ulotne bąbelki rączego potoku. To jednak jest woda morska, warzona, doprawiana, przesycona życiem, tegoż życia konaniem i rozkładem; skażona, na wskroś nieczysta. To woda płodowa, amniotyczna zupa, krew i napój pozbawionego macierzyńskich uczuć oceanu, który lodowatymi rękami topi ludzi i rozbija statki, tocząc z ust pianę jak furiat. Musuje na języku niczym podły szampan, pozostawiając mdły ziemisty posmak i parę ziarenek piasku między zębami.

Krzyżujące się fale piętrzą pianę w zwały podobne do burzowych chmur, a potem cofając się, rozwłóczą je wzdłuż plaży - ten kłęb tu, tamten tam. Każda pianowa poducha drży na wietrze, trzęsie się, dygocze jak tłuste białe ciało, na pozór kobiece, choć przecie wyzute z żeńskiego pierwiastka. Wątle, zwisle, niedorzeczne ochłapy porowatego łożu - wszystko to, czym mężczyźni u kobiet gardzą, wyszydzą słowem i pędzlem - podrygują w strzępach na plaży, zdane na łaskę muskularnych fal i bezlitosnego wiatru. Strzępy drą się na strzępki, niektóre umykają po mokrym śliskim podłożu karykaturalnym cwałem, a natrafiwszy na suchy piasek, więzną w nim i tam się dalej trzęsą. Jeśli zdołają się uwolnić, zaczynają się toczyć coraz dalej i dalej, pod górę na wydmy, w drodze zaokrąglając się i kurcząc, aż znów utkną drżące i znikną do reszty.

Całe armady takich pianowych grud ślizgają się bezgłośnie i gorliwie pod naporem wichru. Co jakiś czas odpoczywają, dygocząc, coraz to mniejsze. Ściany zlepionych pęcherzyków pękają, bańki się łączą, cała delikatna plechokształtna struktura wciąż zapada się w sobie i rozfragmentowuje, a jednak każda pecyna, każdy płatek piany jest zamkniętą całością, efemerycznym bytem postrzeganym jako taki, gdy jego istnienie przecina się z moim. Łączące się bańki - moje oczy, morze, wiatr. My także miotamy się po plaży, złożeni jedynie z powietrza i powłoki, mokrej i białawej w zapadającym zmierzchu. Nie da się nas zatrzymać ani złapać, a gdy ktoś nas dotknie, ginimy!

Jane, 1929.

Szukam. Muszę jej szukać, muszę ją znaleźć. Nie czuwałam nad nią tak, jak powinnam, a teraz jest zgubiona.

Straciłam zegarek, skradziono mi go. Muszę teraz jeździć po małych miasteczkach schowanych głęboko w fałdach nagich ciemnych gór, pytając o sklep jubilerski. Jubiler przyjmuje skradzione przedmioty i będzie wiedział, gdzie go szukać. Jadę fordem drogą wspinającą się kanionami niewidzialnych rzek. Nad nimi rozpościera się pustynny płaskowyż,

na którym mieszkała moja matka, gdy się urodziłam. Wjeżdżam w głębokie rozpadliny wysokich nagich gór, ale żadne z miast nie jest tym, w którym mieszka jubiler. Mężczyźni stoją na ulicy, rozmawiają o pieniądzach. Rzucają mi ukradkowe ponure spojrzenia, a potem kierują wzrok w inną stronę. Mówią coś do siebie cicho, ze śmiechem. Wiedzą, gdzie jest to, czego szukam. Mała dziewczynka w czarnej szydełkowej chuście biegnie nieutwardzoną uliczką na przełęczy. Idę za nią, lecz ona znacznie mnie wyprzedza, ucieka. Potem skręca do bramy w długim murze. Kiedy tam dochodzę, widzę dziedziniec, wokół niego okna o zamkniętych okiennicach. Na dziedzińcu nie ma nic, tylko wyschnięta studnia ze złamanym żurawiem i zerwanym sznurem.

Kiedy szyję, ten sen powraca. Turkotanie maszyny jest jak hałas kół samochodu na wyboistych drogach z mojego snu.

Lily, wypiałś mleko?

Poszła po mleko do lodowni. Jest posłuszna. Zawsze była posłusznym, rozmarzonym dzieckiem. Za to ja nie zawsze byłam dobra, cierpliwa i taktowna. Teraz się staram.

Szyję i śnię na jawie. Jadę z Lily pociągiem do Kalifornii, do Stanford, gdzie jest ten chłopak. Widzę go na zielonym trawniku, w otoczeniu bogatych kolegów, i mówię do Lily: patrz na niego, patrz na tego chama! Grube łapska, wrzaskliwy śmiech - medalowy byczek Willa Hambletona! Jak coś takiego może cię okryć wstydem? Jego dotyk nie może znaczyć więcej niż dotknięcie grudy ziemi. Potem mówię do tego chłopaka, a on słucha, wytrzeszcza oczy i drży. Uderzam go w twarz otwartą dłonią. Krzyczy, kuli się i belkocze żałośnie. Żałosny.

Potem jesteśmy w San Francisco, nie w Stanford, a przed nami stoi Lafe. To jest twój ojciec, Lily, mówię do niej. Podnosi wzrok, widzi go. Posiwał, włosy ma mocno przerzedzone, stracił figurę, ale wciąż jest przystojny - urodziwy mężczyzna, dla którego czas był łaskawy. Patrzy na Lily tak, jak na nią patrzył, gdy była niemowlęciem, kiedy kołysał ją na kolanach i śpiewał: Hej, Lilia, Lilia, hej, Lillalou. Nagle twarz mu się zmienia. Dostrzega ją. Jego wzrok robi się uważny. Co ci się stało? pyta.

Wyschnięta studnia z zerwanym sznurem.

To Lafe nadał jej imię. Ja chciałam ją nazwać Frances lub Francisca - po mojej matce i na cześć San Francisco. Francisca Herne, ładnie brzmi. Ale Lafe wolał Lily.

Ponoć mają zbudować most nad Złotymi Wrotami.

Lily, głuptasie, moja mała Lily, nie schodź do studni, w mrok, wyjdź na zewnątrz, podnieś głowę. Nie jesteś ani pierwszą taką Lily, ani ostatnią, ale... ale sama go wpuściła, za drugim razem sama wpuściła go do domu, do naszego domu! Głupia! Czegóż jej nie dałam,

czego nie nauczyłam? Jak mogłam wychować taką głupią dziewczynę? Sama w lesie, w samochodzie - to co innego; nie mogła wiele zdziałać przeciw tym grubym łapskom, wielkiemu ciężkiemu ciału. Przesiedziała potem cały dzień w swoim pokoju, mówiła, że źle się czuje. Myślałam, że dostała okres. Nie przyjrzałam się jej, nie pomyślałam. Byłam zajęta na poczcie. W ogóle na nią nie patrzyłam. A on przyszedł jeszcze tej samej nocy, skrobał w okno, skamlał jak pies. Wpuściła go. Nie mogę jej tego darować. Jak mam mieć dla niej szacunek? Wpuściła go do mojego domu. Myślała, że musi, że już do niego należy, a on ją kocha. Wiem, wiem! Ale z własnej woli wpuściła go do domu, do łóżka, do swego ciała.

Powinien się z nią ożenić, mówi Mary. Postawić się tym cholernym Hambletonom. Postawić się? Zmusić ją do małżeństwa, żeby każdej nocy leżała obok niego i żeby mógł ją gwałcić w majestacie prawa? O, nie. Odwieźli go szybciotko do tej szkoły dla bogatych chłopców i niech tam zostanie. Może się teraz chełpić, że zgwałcił dziewczynę i tak jej to zasmakowało, że następnej nocy sama go zaprosiła. Spodoba im się ta historia, chętnie w nią uwierzą. Chłopak jest daleko, i dobrze. Ale nie wiem, gdzie jest Lily.

Gapie pytają, co dziewczyna jeszcze robi w mieście. Już zaczyna być widać. Obnosi się z tym. Czysta przyzwoitość nakazywałaby ją odesłać. Chrześcijańska moralność. A czego innego można się spodziewać po dziecku rozwiedzonego małżeństwa?

Lily chodzi między nimi, jakby była niewidzialna. Jak widmo. Nie ma jej tutaj.

Nie trzeba jej odsyłać, sama odeszła. Może tylko na jakiś czas. Może się ukrywa we własnym wnętrzu, w ciemności, gdzie ludzkie oczy jej nie widzą. Mam nadzieję, że nie na zawsze. Może kiedy dziecko przyjdzie na światło dzienne, wróci wraz z nim. Narodzi się, żywa, i znów nauczy mówić. Może wówczas przestanie wyrywać sobie włoski z palców, ramion, nóg rzadziutkie, cienkie włoski płowego siedemnastoletniego dziewczęcia o jasnej, delikatnej karnacji; może wtedy przestanie uparcie je wyskubywać, aż w końcu jej skóra przypomina gąbkę zroszoną krwistym płynem.

Nad Złotymi Wrotami wisi most oparty na mgle. Idę za dziewczynką, która mi ucieka, wchodzę na most. Zaczekaj! Idę za córką, którą zabrała mi ciemność, zabrała mgła.

Lily, 1931.

To mój dom. Mama jest właścicielką, ale mówi, że dom jest i będzie mój, na zawsze. A to mój pokój z oknem wychodzącym na wielką kępę różaneczników. Tędy wszedł. Gałęzie krzewów trzeszczały i pękały, gdy się przez nie przedzierał, a moje serce waliło tak mocno, że omal nie wyrwało mi się spod koszuli jak spłoszone zwierzątko. Zapukał w parapet, potem

w szybę. Lily, Lily, wpuść mnie! Wtedy zrozumiałam, że kocha mnie prawdziwie.

W nocy w samochodzie to była pomyłka. Wypadek. Za dużo wypił, nie zdawał sobie sprawy. Ale kiedy nazajutrz przyszedł pod moje okno, to dlatego, że mnie kochał. Potem musiał wyjechać, bo jego ojciec jest twardym, ambitnym, zimnym człowiekiem, ale naprawdę mnie kochał. To nasz dramat. Teraz Kocham mój pokój. Kocham kłась świeżą pościel na łóżku.

Nie lubię, kiedy mała jest w moim pokoju, bo z nią wchodzi anioły. Stają przy oknie i odbierają mi spokój. Stają przy drzwiach, żeby odebrać mi jego miłość. Nie chcą mi pozwolić na dramat. Zaprzeczają mu, a Dicky'ego wyganiają z pokoju swoimi świetlistymi mieczami. Wychodzi przez okno, bo zdawało mu się, że słyszy kroki mojej matki. Na pożegnanie widzę tylko nogę, jedną stopę, podeszwę buta. Nie zawiązał ich nawet, tak się spieszył, podeszwa zahacza o parapet, wszystko dlatego, że słyszał kroki, a to był tylko kot w sieni i świt, który rozjaśnił niebo świetlistymi mieczami. Zniknął w krzaku, gramoląc się i trzeszcząc. Anioły nie wpuściły go już z powrotem do ogrodu.

Przyglądałam się małej Virginii, kiedy jest z aniołami w ogrodzie. Często jej towarzyszą w ciągu dnia. Chciałabym zobaczyć również tego, który czuwa nad jej snem. Byłby to na pewno wysoki, poważny, zadumany strażnik, na poły ukryty w cieniu. Widziałam podobny obrazek w czasopiśmie. Gdy jednak biega w słońcu po ogrodzie, gdy opatulona jak mały miękki tłumoczek wychodzi na deszcz, wtedy otacza ją cały rój. Rozmawia z nimi. Wczoraj podniosła ku jednemu głowę z ogromnie skupioną miną na małej buzi i zapytała: „I cio Dzinia ma lobić?” Nigdy nie słyszałam ich odpowiedzi. Może ona je słyszy.

Wieczorem było ciepło, siedziałyśmy na ganku; „anioły zleciały się i gęsto obsiadły niższe gałęzie wielkiego świerka. Szepnęłam do niej: „Widzisz je, malutka?” Nie spojrzała w ich stronę. Popatrzyła na mnie. Uśmiechnęła się ciepłym, mądrym uśmiechem. Anioły nigdy się tak do niej nie uśmiechają. Są surowe. Wzięłam ją na kolana i zasnęła z główką opartą o moje ramię. Wtedy anioły zeszyły z drzewa i ruszyły przez trawnik, kierując się w stronę gór. Mam wrażenie, że przychodzą z morza, a odchodzą w góry. Światło ich mieczy pada i na góry, i na morze.

Jedna noga, jedna stopa, podeszwa brudnego buta zrzucana z okna w niebiosach. Nieba nie ma. Nie chodzę do kościoła. Tylko gdy mam już dość obecności aniołów, tylko wtedy idę z Dorothy do kościoła, żeby się od nich uwolnić. Dorothy pozwala mi przeżywać mój dramat. Jest moją prawdziwą przyjaciółką. Gdyby niebo istniało, mogłabym tam pójść, dostąpić przebaczenia, wszystko zostałoby zmyte i mój dramat wreszcie by się dopełnił. Lecz anioły nie chcą mi na to pozwolić, idę więc do swojego pokoju.

- Nie, malutka, nie idź do pokoju mamusi, chodźmy lepiej do kuchni, upieczemy placek na kolację. Pyszny placek z jagodami! No jak? Dzinia pomoże mamusi?

- Tak! Dzinia cie placiek!

Anioły się nie śmieją. Anioły nie płaczą. Ukrywam przed nimi łzy, które wylewam nad miłością Dicky'ego, bo wyrzuciłyby te cenne łzy przez okno jak śmieci, jak stare buty, z chrzęstem w krzak różanecznika. Ratuję przed nimi moją miłość. Miłość. Wierzgająca stopa na parapecie.

Zeszłego wieczoru, kiedy kończyłam śpiewać małej kołysankę, do pokoju weszła mama. Przypomniałam sobie, że kiedy rodziłam małą, też tam była, stała w półmroku milcząca. Ale nigdy nie opowiadam jej o aniołach. O wysokiej, poważnej, zadumanej kobiecie, na wpół ukrytej w cieniu.

Jane, 1926.

Po tylu latach! Biedny Lafe, wygląda na to, że tym razem przepadł z kretesem. Chciałabym zobaczyć tę kobietę z Santa Monica. W kwestii wyboru kobiet nigdy nie przejawiał za wiele rozsądku, może nie licząc mnie. I nie miał dość rozsądku, żeby się mnie trzymać, jedynie trochę szczęścia, dzięki czemu nie uwikłał się ponownie, w każdym razie do teraz. Lubiałam myśleć, że jest wolny. Nie było to wiele w porównaniu z tym, co kiedyś nas łączyło, ale zawsze coś. Teraz nie pozostało nic. Pisze: „Nie mogę bez niej żyć”, jakby rzuciła na niego urok. To dla mnie niezrozumiałe. Jak mężczyzna formatu Lafe'a może być niewolnikiem własnego członka?

Dziwne, ale teraz, po śmierci matki, zdarza mi się wypowiadać w myśli słowa, których przedtem z całych sił starałam się unikać. Matka by mnie zgałowała, choć przecież nie była pruderyjna. To niesamowite, jak słowa się zmieniają i jak świat zmienia się z nimi. Kiedy opuściłam Lafe'a, matka mnie nie pochwaliła, ale nigdy nie stwierdziła, że powinnam do niego wrócić. Powiedziała: „Zrobiłaś, co było w twojej mocy”. Rozwodem jednak byłaby zażenowana. To słowo nie kwalifikowało się do wypowiedzania na głos.

Ja nie czuję wstydu, ale wcale nie pragnę takiego gorzkiego zakończenia. Teraz wiem, że miałam nadzieję na coś więcej. Odtąd nie będę mogła roić sobie na jawie, że być może na starość, gdy zapadnie na zdrowiu, wróci do mnie. Dam mu pokój od południa, będę się nim opiekować, przynosić zupę i gazety. A kiedy umrze, zapłacę po nim, potem zaś będę znów żyć tak jak do tej pory, lecz zdrowa, uleczona. Zegnaj, nadziejo. Nigdy już nie będziemy razem. Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby zapytać o Lily. Zapomniał, że ma córkę.

Zostanę więc rozwódką. Głupie nowomodne słowo. Dlaczego tak rzadko stosuje się jego męską formę? To Lafe jest rozwodnikiem. Wodzi się z tą kobietą - jakoby właścicielką nadmorskiej posiadłości w Malibu. Akurat! Głowę dam, że posiadłości to ona dopiero zamierza się dorobić. Ma ambicje. Interesowna baba, a Lafe dał się nabrać, jak zawsze zresztą. Biedny Lafe. Biedna ja. Nigdy nie będę wdową. Nawet się nie dowiem, gdzie go pochowają.

Przeczytawszy jego list poczułam, że muszę wyjść, zejść na plażę, gdzie będę miała nad sobą niebo. Fale lśniły jak perły, jak macica perłowa, wynurzały się z rozświetlonej słońcem mgły i płynęły do brzegu. Przespacerowałam się do Wrakowiska. Kiedy wróciłam, na plaży byli letnicy, rodzina, która zatrzymała się u Vineyów, i jeszcze jedna, z hotelu. Teraz zawsze są tu ludzie. Był z nimi chłopiec, który natychmiast przywiódł mi na myśl Lafe'a. Dwunasto- lub trzynastoletni, właściwie jeszcze dzieciuch. Wbiegł do wody w miejscu, gdzie potok wpada do morza; w czasie odpływu zostają tam bajorka i płycizny. Śliczny chłopiec w czapce nasuniętej na oczy i z nosem zadartym w niebo wyczyniał dzikie podskoki i rozmaite błazeństwa, rozchlapując wysoko wodę, by rozśmieszyć rodzinę, lekki jak światło. Pomyślałam: „Co się z nimi dzieje?” i serce mi się ścisnęło jak wyżymana myjka. Co się dzieje z tymi przemiłymi chłopcami?

Potem widziałam innego, mniejszego. Rodzina wracała z plaży gęsiego, powłócząc nogami, zmęczona po całym dniu spędzonym nad morzem - w końcu to wakacje, nie można ich marnować. Brnęli więc w piachu, wspinając się na wydmy, a ten najmniejszy stał wśród rozsypanych, zapiaszczonych ptasich piórek i szłochał. Łzy i smarki ciekły mu po twarzy. Zaczekajcie! Upuściłem piórka! Ale oni nie czekali. Nie obrócili się nawet. Miał sześć, może nawet siedem lat. Był za duży, żeby płakać o piórka. Pora zostać mężczyzną. Pobiegł za nimi z płaczem, a pióra zostały na piasku.

Wróciłam do domu, myśląc o małym Edwardzie Hambletonie. Pozostali Hambletonowie - trzej starsi bracia, ta mizdrząca się Wanita, która wiecznie obżera się cukierkami, oczywiście Will i nawet Dovey - nazywają go wypierdkiem. Wypierdek Dovey, śmieje się Will szyderczo, jakby sam nie miał udziału w jego poczęciu. Musieli zmajstrować to dziecko przypadkiem, bezmyślnie, może dlatego w ogóle nie jest do nich podobne. Miły, drobny chłopaczek, ruchliwy jak wróbelek, upodobał sobie Lily, chodzi za nią wszędzie i mówi do niej „Willy”. Jest bystry, choć nikt z nich tego nie zauważa. Nikt nie słyszy słowa z tego, co on mówi. Will widzi go tylko wtedy, gdy go bije. Pieszczotliwie, jak twierdzi, chłopak musi być twardy, trzeba z niego zrobić mężczyzną. Dicky zastrasza malca, sama widziałam. Utrączę ci paluchy! Wynocha! Osiemnastoletni byczek udowadnia swoją przewagę

nad pięcioletnim dzieckiem. Z pewnością uda im się zrobić z Edwarda mężczyznę. Na swoją modłę.

Czasem rozmyślałam o sobie, jak gdybym była kimś obcym, kogo tylko obserwuję. Po co wróciła do Klatsand? Dlaczego przywiozła dziecko, zdecydowała się je wychowywać właśnie tutaj? Nie znam odpowiedzi. Kochałam Kalifornię, kochałam San Francisco. Dlaczego przy pierwszej sposobności czmychnęłam na kraniec świata? Uciekłam do mamusi, to prawda, lecz nie cała. Wczoraj byłam na Bretońskim Czubie, przeszłam się wzdłuż płotu, którym ogrodzona jest nasza parcela, bo firma tartaczna prowadzi wycinkę w całej wschodniej części cypla. Myślałam o tym, że mogłabym wreszcie zacząć budować dom, o którym często rozmawialiśmy kiedyś z mamą. Ile razy już o tym myślałam? Chyba z tysiąc. Gdybym sprzedała swoją połowę udziału w sklepie Willowi Hambletonowi (przymawia się o to od roku), mogłabym ulokować kapitał w nieruchomościach. Kupiłabym tę ziemię za ulicą Główną na południe od Rybiego Potoku, wyszłoby z niej dziesięć działek budowlanych. Wschodni skraj byłby doskonałym miejscem na składy drewna i towarów, o których pan Drake mówił w zeszłym miesiącu w Summersea. Cały ten teren jest własnością Jensena, sprzedałby mi go, gdybym miała pieniądze. Na poczcie nigdy w życiu tyle nie zarobię. Poza tym odczuję wielką ulgę, nie będąc współniczką Willa Hambletona. Teraz jednym okiem muszę mu patrzeć na ręce, a drugim w księgi. Powiedziałam kiedyś do Mary, że przypomina to robienie interesów ze słoniem, trzeba uważać na oba końce. Jeśli nie zdoła cię przydusić trąbą, po prostu na tobie usiądzie.

Tu jest wszystko, całe moje życie. Kiedy tylko mogę, zabieram Lily do Portland, nie chcę, żeby wyrosła na ciemną prowincjuszkę. Jeśli po ślubie wyjedzie z Klatsand, będę rada. Tu nie ma dla niej przyszłości. Może później, w środowisku licealnym, pozna jakichś miłych młodych ludzi. Myślałam, żeby ją wysłać do Marii Panny w Portland na ostatni rok lub dwa. Mary mówi, że posłałaby i Dorothy. Nie jestem jeszcze co do tego zdecydowana. Tylko ja wiem, że jestem uwiązana, wrośnięta w Klatsand. Moja dusza nie oddała się stąd bardziej niż na Bretoński Czub. Nie wiem, dlaczego tak jest. W życiu szczerze pragnęłam jedynie wolności. I jestem wolna.

Virginia, 1935.

Zawsze podobały mi się moje rysunki i inni też je chwalili. Ale dziś chciałam narysować łosia dla babci. Wiem, jaki ma być łos. Widziałam go, gdy chodził po parceli, a nawet w sklepie (był namalowany na kubku, który stał na wystawie). Chciałam dać babci

portret łosia na urodziny. Narysowałam go. Wyglądał jak cygaro, w które ktoś powbił patyczki. Poprawiłam linie, a potem wzięłam czarną kredkę i pogrubiałam je. Wyszło tak źle, że zamazałam wszystko i wzięłam nową kartkę. Za drugim razem szkicowałam bardzo leciuteńko, żebym w razie omyłki mogła wygumować kreskę, ale znów wyszło tak samo. Widziałam tego łosia oczyma duszy, lecz na papierze zmieniał się w brzydkie głupie nic. Podarłam kartkę i spróbowałam jeszcze raz i wyszło jeszcze gorzej, więc zaczęłam płakać, a potem się wściekłam. Kopnęłam nogę stołową i stolik - brzydki głupi stary stolik karciany stojący w moim pokoju - się przewrócił, wszystkie kredki spadły, połamały się i teraz już zaczęłam ryczeć wniebogłoso, na co przybiegły mama z babcią.

Mama pozbierała kredki, a babcia podniosła mnie z podłogi i wzięła na kolana, czekając, aż przestanę wrzeszczeć. Próbowałam jej powiedzieć o łosiu, który miał być prezentem na jej urodziny, ale ciężko mi szło, bo z tego płaczu nie mogłam złapać tchu. W jej objęciach w końcu zachciało mi się spać. Słyszałam głos, który dobiegał z brzucha babci. Mówił, że rozumie i że nic złego się nie stało. Potem przyszła mama i też siadła na łóżku. Oparłam się o nią, żeby się przekonać, czy w jej brzuchu też będzie słychać głos. Było. Usłyszałam go, kiedy powiedziała: „Idź, umyj sobie buzię, Dziniu”.

No i dalej nie miałam prezentu dla babci, więc powiedziałam jej o kubku. Tłumaczyłam, że próbowałam narysować takiego łosia jak na kubku, który stoi na wystawie w sklepie pana Vineya. Po lunchu babcia powiedziała: „Chodźmy zobaczyć ten kubek”. Poszłyśmy do sklepu; kubek wciąż stał na wystawie. A łoś miał to, co babcia nazywa wieńcem, i wyglądał majestatycznie. „Jaki majestatyczny łoś!” - powiedziała babcia. Weszłyśmy do środka i babcia kupiła ten kubek za dziesięć centów, ale powiedziała, że to jest prezent ode mnie, bo gdybym ja go nie znalazła, nigdy nie zostałaby jego właścicielką. Pan Viney powiedział, że to kubek do golenia. Czy to oznacza, że przechowuje się w nim zgolone brody i wąsy? Poddałam babci myśl, żeby piła z niego kawę, ale ona stwierdziła, że woli go trzymać na honorowym miejscu - na bielizniarce, obok indiańskiego koszyczka i oprawnego w kość słoniową lusterka z San Francisco.

Lily, 1937.

Siedziałam na sofie we frontowym pokoju i cerowałam. Było to godzinę po wschodzie słońca w jasny zimowy dzień. Słońce wpadało przez okna od wschodu i świeciło mi na ręce, a potem uwolniło się z gałęzi świerków i uderzyło mnie prosto w twarz. Zamknęłam oczy oślepią naporem światła. Ciepło przeniknęło mnie na wylot, duszę i ciało. Stałam się

przezroczysta i pojęłam, że są ze mną anioły. Byłam przeszyta światłem, które mnie ogrzewało. Byłam słońcem. Anioły wtopiły się w słoneczną jasność i znikły.

Po chwili mogłam już otworzyć oczy. Ciepło było mną, moją piersią i łonem, a przesywający blask wniknął w smugę światła biegnącą przez pokój. Unosiły się w niej drobiny kurzu, dryfując bezgłośnie niczym światy w przestrzeni i lśniąc niczym gwiazdy, które ponoć są słońcami. Wszyscy jesteśmy jak ten lśniący pył. Dryfujemy, na przemian zbliżając się i oddalając.

Virginia, 1957.

Kobieta silna swoją samotnością i kobieta słaba nękana wizjonerskimi uniesieniami - oto moje matki. W roli ojca nie spełnił się żaden mężczyzna, pozostawił tylko swoje nasienie. Spłodzona, lecz nie uznana. Kim jest dziecko gwałciciela i zgwałconej?

Nigdy się nie mówi, czy Persefona miała dziecko. Król podziemi, Sędzia Umarłych, Pan Pieniądza, posiadał ją wbrew jej woli, a potem zatrzymał jako swoją żonę. Czy kiedykolwiek poczęła? Może król piekieł jest pozbawiony męskiej mocy, jałowy. Może dziewczyna spędziła płód. Może w krainie umarłych wszystkie dzieci rodzą się martwe. Może w piekle płód pozostaje na zawsze w łonie, które jak mawiają, jest Niebem. Wszystko to jest dość prawdopodobne, ale ja twierdzę, że Persefona urodziła dziecko dziewięć miesięcy po tym, jak została zgwałcona na polach Henny. Zbierała tam kwiaty, wiosenne kwiaty, kiedy czarny rydwan wynurzył się z ziemi i porwał ją mroczny władca. Dziecko więc musiało się narodzić pod ziemią, w samym środku zimy.

Kiedy nadszedł czas, gdy Persefona mogła na pół roku wrócić do matki, wspięła się stromymi ścieżkami i schodami ku światłu, niosąc w ramionach grubo okutane niemowlę. Tak przyszła do domu.

- Matko! Spójrz!

Demeter wzięła obie w objęcia, jak kobieta zbierająca kwiaty, jak żniwiarka wiążąca kłosa w snop.

Dziecko rośnie w słońcu. Wybijało jak dzikie ziele, a gdy przyszła pora powrotu do męża, z którym Persefona miała spędzić jesień i zimę, matka ją namawiała, żeby zostawiła dziecko u niej.

- Nie możesz zabrać tego biednego maleństwa pod ziemię, córuś. To niezdrowo dla dziecka. Będzie ci chorować!

Persefona miała wielką ochotę zostawić dziecko w dużym jasnym domu, gdzie jej

matka była gospodynią i kucharką. Przypomniała sobie, jak Sędzia patrzy na dziewczynkę swoimi białymi oczyma przypominającymi oczy gotowanego pstrąga - oczyma, które wiedzą, że nikt nie jest bez winy. Przypomniała sobie, jak ciemno i wilgotno jest w piwnicach świata, ciasnych, przygniecionych kamiennym niebem. Nie ma tam dla dziecka miejsca do biegania ani żadnych zabawek poza klejnotami, srebrem i złotem. Niestety, Persefona przybiła umowę, jak to mówią. Podstępnie zdradzona, zjadła owoc zdrady, siedem nasion granatu, czerwonych jak jej własna krew. I tak spożywszy strawę swego pana, sama oddała się w niewolę, a jej dziecko, dziecko niewolnicy, nie mogło już być wolne. Odtąd aż po całą wieczność dano jej zaledwie połowę wolności. Wzięła więc dziecko w ramiona i zeszła po ciemnych schodach, zostawiając babkę miotaną bezsilnym gniewem w wielkim, jasnym, pustym domu, którego dach przez całą zimę chłostał deszcz.

Niebo było ojcem i wujem Persefony. Podziemie, które ją zniewoliło - wujem i mężem. Miała jeszcze jednego wuja: Morze.

Lata mijały; Persefona i jej córka przychodziły i odchodziły, dzieląc czas pomiędzy światło i mrok. Raz w jasnym naziemnym świetle córka Persefony wymknęła się sama z domu. Wykradła się na paluszkach, ukradkiem, bo matka i babka nigdy nie spuszczały jej z oka, ale miały mnóstwo pracy w ogrodzie i kuchni - siały i plewiły, gotowały, robiły przetwory, prowadziły wszak gospodarstwo całego świata. Dziewczynka wyszła niezauważona i pobiegła na plażę, sama, samiuteńka, rączka jak sarna. Dziewczynka... jak miała na imię? Nie wiem, nie znam greki, nie znam jej imienia, powiem więc po prostu: dziewczynka, jak każda inna. Zbiegła na plażę i ruszyła brzegiem morza. Fale skłębiły się w słońcu w białe konie o rozwianych grzywach. Zobaczyła mężczyznę, który nimi powoził. Stał w ociekającym wodą rydwanie z błyszczącej soli.

- Witaj, wujku Oceanie!

- Witaj, siostrzenico! Wyszłaś sama? To nie jest bezpieczne!

- Wiem - odparła, ale czy naprawdę wiedziała? Skąd miała wiedzieć, nie będąc wolna?

Albo tylko półwolna?

Ocean skierował białogrzywe konie wprost na piasek i pochylił się, by ją porwać, tak samo jak Podziemie porwało jej matkę. Wyciągnął dużą zimną dłoń i chwycił ją za ramię, ale skóra dziewczynki zapieniła się nagle, kość stała się nicością i nic nie zostało mu w ręku. Wiatr wionął przez smukłą sylwetkę z morskiej piany. Zasycała migocząc w morskiej bryzie, a potem znikła. Król Mórz stał w swoim rydwanie, przecierając zdumione oczy. Fale łamały się na piasku, łamały wokół rydwanu, pieniąc się w słońcu, i dziewczynka pojawiła się znowu - dziewczyna, kobieta, zrodzona z piany, dusza świata, córka gwiazdznego pyłu.

Wyciągnęła rękę, dotknęła Króla Mórz i on także przybrał swą prawdziwą postać, a była nią piana, musująca, biała i ulotna. Dziewczyna spojrzała na świat i ujrzała bańkę piany na brzegu czasu, bo tym tylko naprawdę był. A czym była ona? Ulotnym bytem, nietrwałą bańką - ona, która została zrodzona, jest zrodzona i rodzi.

- Persefono, gdzie dziecko?

- Myślałam, że jest z tobą!

Och, ten strach, ten przeszywający strach! W kuciu ni, w ogrodzie, zimna obręcz na sercu. Znów zdradzona, wiecznie!

Dziecko wbiegło w podskokach przez ogrodową furtkę, odrzucając w tył włosy. Oj, nasłucha się teraz połajanek i wyrzutów! Nie wstyd ci? Wstydź się! Wstydź! Będzie płakać zawstydzona, wystraszona, a one będą ją tulić i pocieszać. Wszystkie trzy zapłaczą w tej wielkiej kuchni, kuchni świata. Razem będą łały łzy, ciepłe łzy, kobiece, w kuchni - daleko od zimnych brzegów mórz, tych jasnych, słonych, lśniących obrąbków wszechświata. Bo znają swoje miejsce. Wiedzą, kto prowadzi dom.

Jane, 1935.

Zbudowałam dom, matko. Na dawnej ziemi Kellych - twojej, naszej parceli na Bretońskim Czubie. Za pieniądze wiele można zdziałać, a ja oszczędzałam przez dziesięć lat. Burt Brown był rad, że dostał robotę, bo dziś wiele się nie buduje. Cała więźba jest z drewna po starym hotelu Exposition, tym samym, w którym kiedyś pracowałam, gdzie poznałam Lefe'a. John Hanna zburzył go w zeszłym roku. Weź, ile ci trzeba, powiedział do mnie. Sam zbudował z tego drewna dwa domy, a ja trzeci. Piękne, równiutkie jodłowe drewno, drzwi z płycin, podłogi z białego dębu. To porządny dom, matko. Żałuję, że go nie widzisz. Przez całe życie prowadziłaś domy i gospodarstwa twoich mężów, sama kupowałaś i sprzedawałaś parcele, dałaś mi w prezencie dom przy Cisowej, ale nigdy nie miałaś własnego. Gnieździłaś się na pięterku nad sklepem spożywczym. I zawsze mówiłaś: „Chciałabym postawić dom na Czubie, na naszej parceli”.

Zeszłej nocy po raz pierwszy w nim spałam. Co prawda na piętrze brakuje ścian, woda jeszcze nie doprowadzona, pozostało tysiąc różnych rzeczy do zrobienia. Ale piękne rozległe podłogi już leżą, gotowe, żeby przetrwać lata, krokwie są nakryte dachem z cedrowego gontu, okna patrzą na morze. Spałam w moim pokoju nad morzem i przez całą noc słyszałam jego szum.

Rano wstałam wcześniej i widziałam łosie. Szły przez wilgotną trawę na polanie.

Kroczyły w majestacie, ukoronowane wieńcami poroży. Naliczyłam dziewięć; było już dostatecznie jasno. Jeden obejrzał się na mnie, wchodząc między drzewa.

Nabrałam wody ze strumienia i zrobiłam sobie kawy na ognisku, a potem wypiliśmy ją, stojąc przy kuchennym oknie. Niebo zrobiło się łososioworóżowe i z mokradeł wzbijała się wielka sina czapla. W pierwszej chwili nigdy nie poznaję czapli w locie. Cóż to jest, ten sunący powoli szerokoskrzydły kształt na niebie? Dopiero potem ją rozpoznaję, jak słowo w obcym języku, jak swoje własne imię napisane nieznanym alfabetem, a rozpoznając mówię: to czapla.

WAKACJE

LATA PIĘĆDZIESIĄTE I SZEŚĆDZIESIĄTE

Letnie odwiedziny, wizyty w domu, wakacje, jazda pociągiem przez cały kontynent ze wschodniego wybrzeża ociężałego od historii i przemysłu, nabrzmiałego ludzkością i człowieczeństwem, dumnymi siedzibami przodków. Virginia wracała do domu z uczelni zwanej matką karmiącą, Alma Mater, choć jej zawsze kojarzyła się ze starym mężczyzną - dziadkiem lub ciotecznym dziadkiem: bogatym, sławnym, zaprzątniętym ważkimi sprawami, ledwie dostrzegającym jej istnienie. Nauczyła się żyć cichutko jak uboga krewna w jego gościnnym dworze i być grzeczna. Z czasem coraz grzeczniejsza. Ale latem pociąg uwoził ją z jego świata i gnał na zachód - przez prerie, przez góry, na zachód.

Pobrali się z Dave'em przed sędzią pokoju.

- Na pewno nie chcesz, żeby twoja matka przyjechała na ślub? - pytał raz po raz.

Roześmiała się:

- Wiesz przecież, że w mojej rodzinie nie przywiązuje się zbyt wiele do ślubów.

Miodowy miesiąc spędzili w New Hampshire i Maine, w letnich domkach rodziców i krewnych Dave'a. Potem wrócili. Stypendium Dave'a szło na jego chesne, a żyli z tego, co Virginia zarobiła maszynopisaniami i redakcją prac semestralnych i magisterskich. Pierwszy raz przywiozła męża na zachód dopiero w roku, w którym kończył doktorat.

Babcia zamieszkała na ten czas z mamą przy Cisowej, żeby młodzi mieli dla siebie cały dom na Czubie i nie potykali się o stare baby, jak to określiła. No i żeby Dave mógł pracować w spokoju. Mężczyźni nie potrafią pracować w byle kącie, muszą mieć miejsce, żeby się rozłożyć, powiedziała. Po dwóch dniach Dave odsunął dębowe biurko babci spod wychodzącego na zachód okna i przestawił je pod wewnętrzną ścianę. Stwierdził, że ilekroć podnosi głowę znad papierów, rozprasza go widok morza. Leżało po niewłaściwej stronie.

Słońce nie powinno tonać w morzu zachodząc, tylko zza niego wschodzić. Westchnął, że będzie rad, gdy wróci do rzeczywistości. Po powrocie do swojego świata opowiadał znajomym o pięknych krajobrazach. Rozległe przestrzenie, mówił, jak okiem sięgnąć. Moja żona pochodzi z „Oregonu”; robił z tego jakieś egzotyczne słowo. Śmieszyło ją i wzruszało, że nie umie poprawnie wymówić nazwy jednego z bądź co bądź zjednoczonych stanów. Kiedy mu się przyznała, że przed przyjazdem na wschód mówiła „Shenek-toddy”, nie posiadał się ze zdumienia. Przecież każdy wie, jak wymawia się nazwę Schenectady. Nie widział w tym nic śmiesznego.

Letnie poranki. Budziła się w szerokim łóżku pod szerokim zachodnim oknem i pierwsze po tej stronie snu witało ją niebo nad morzem. Morze towarzyszyło im w dzień i w nocy. Nieustanny spokojny, kojący pomruk Oceanu Spokojnego kołysał ją do snu na Czubie. Dave pracował do późna, śleczął przy biurku zawsze do drugiej lub trzeciej w nocy, bo nie mógł się skupić, dopóki nie przemeblował świata na swoją modłę. Kładł się po ciemku, wciąż na najwyższych obrotach, pełen suchego elektrycznego napięcia, które ją podniecało. W ciemności, podniecona, przyciągała go do siebie, kołysała w rytm morskich pływów, a potem powoli razem odpływali w sen. Razem. O brzasku budziły ją ptaki naglącymi trelami. Wychodziła wraz ze świtem. Dwukrotnie tego lata widziała łosie między lasem a domem. Słońce nadlatywało znad pustyń, prerii, starych miast i mocno spóźnione wynurzało się zza niebieskiego pasma Gór Nadbrzeżnych. Dopiero około dziesiątej lub jedenastej schodził na dół Dave. Siadał, milcząc, z kubkiem kawy w rękę, budził się powoli, potem siadał przy biurku twarzą do ściany, poprawiając i przerabiając pracę pod tytułem „Cywilizacja jako motyw utworów Pounda i Eliota”. Rozmowy telefoniczne z promotorem, znów praca do późna, panika z powodu zgubionego przypisu. Virginia za to oddawała się lenistwu, pławała w słońcu i wietrze, spacerowała po plaży, robiła przetwory z dzikich śliwek, bawiąc się w gospodynię w domu swojej babki. Ilekroć coś napisała, odkładała nie kończąc. Pisząc, czuła się nielojalna wobec Dave’a. Jakby korzystała z cennych źródeł energii, które musiały być do jego dyspozycji, bo to jego praca była trudna i ważna.

Wrócili do Klatsand dopiero trzy lata później. Dave podjął pracę na uniwersytecie Browna, odrzuciwszy lepiej płatny etat w Indianie. Nie chcąc wylądować na bocznym torze, powiedział, i Virginia przyznała mu rację, choć kiedy pojechali do Bloomington na wstępne rozmowy, serce jej płakało z chęci, by tam zostać. Kampus porastały kępy wysokich drzew, w których nocą - słodką, wonną nocą wnętrza kontynentu, nieomal zachodu - migotały świetliki. Pozostało to w sferze marzeń. Rzeczywistość była na wschodzie.

Dave zdawał sobie sprawę, że Virginia tęskni za domem.

- Może tego lata wreszcie zrobimy sobie wycieczkę wokół Tillamook Head?

- Na Tillamook Head - poprawiła go. - Nie da się obejść go wokół, wpadlibyśmy do morza.

- Jedziemy - orzekł. - Oregon albo śmierć!

I ruszyli na zachód, zostawiwszy za plecami stare miasta. Jechali przez prerie, pustynie i góry, ścigali słońce małym używanym mustangiem, który nigdy ich nie zawiódł. Tym razem babcia została w swoim domu i przychodzili do niej w gości. Gotowała im znakomite obiady, łososa saute z majonezem i koprem, boeuf bourguignon, pstrągi świeżo złowione w miejscowym potoku i zaraz smażone na ostrym ogniu.

- Kiedy mój mąż był dyrektorem hotelu w San Francisco, nauczyłam się gotować od szefa kuchni - wyjaśniła.

- Boże, ona jest niesamowita! - szepnął Dave.

Sypiali w małym domku przy Cisowej, w pokoiku będącym przez wiele lat dziecięcym i panińskim królestwem Virginii, gdzie na białej marmurze z marmurowym blatem stały indiański koszyk, lusterko w oprawie z kości słoniowej i obciążnik do sieci z zielonego szkła. Chodzili na spacer po plaży i przemierzali wszystkie chyba szlaki turystyczne Gór Nadbrzeżnych. Dave studiował mapy i wyznaczał cele. Nie da się zejść z tej strony Saddle Mountain, powiedziała do niego, więc znalazł drogę. Triumfował, zwyciężał, podbijał Dzikie Zachód. Dreptała za nim potulnie jak indiańska squaw.

- W tym roku ani razu nie widziałam łosia - poskarżyła się na tydzień przed wyjazdem.

- Myśliwi je płoszą - mruknęła babcia. I drwale.

- Łosie? - podchwycił Dave.

Wypytał chłopaków w stacji obsługi, potem wsadził ją do samochodu i powiózł leśnymi drogami, o których mu opowiedzieli. Przejechał przez grzbiet Neahkahnie, dalej w dół mierzeją, aż droga się skończyła. Ruszyli pieszo przez długi pas wydm nad bagnem dzielącym rzekę od morza.

- Tam! Tam! - krzyknął z radością i triumfem, kiedy ukoronowane cienie kolebiącym się krokiem wbiegły na spowite mgłą mokradło. Oto schwytał i podarował jej wymarzonego łosia.

Wrócili do domu wiernym szarym mustangiem drogą wijącą się po zboczach góry nad ciemniejącym morzem. Matka czekała na nich z kolacją, zimną szynką i sałatką z trzech rodzajów fasoli.

- Opowiedz mi o świetlikach - zażądała od Dave'a. Traktował ją trochę jak dziecko, a

ona zwracała się do niego z dziecięcą ufnością.

- Nazywaliśmy je robaczkami świętojańskimi odparł. - Jeśli nazbierało się ich dużo do słoja, po pewnym czasie zaczynały błyskać i gasnąć wszystkie razem, w tym samym rytmie. - Mówił o swoim dzieciństwie, jak gdyby minęło dawno temu, jakby już nie było robaczek świętojańskich.

Lily uśmiechała się zaszuchana.

- Znam tylko nazwę - powiedziała. - Świetliki.

- Nie przelatuja nad Górami Skalistymi - wtrąciła Virginia, a matka odparła:

- Jak w twoim wierszu.

- „Iskierki” - potwierdziła Virginia zaskoczona.

Nie miała pewności, czy matka czytała książkę, która czyściutka i pachnąca świeżością, stała na półce w saloniku. Otrzymała za nią nagrodę Uniwersytetu Yale dla młodych poetów.

„Yale, też mi coś” - powiedział wtedy Dave.

*

I znów Klatsand, dwa lata później - przepłakane wakacje. Tylko tyle z nich miała, łzy. Łzy wypłakiwane samotnie w ciemnej sypialence, jej dziecinnym pokoju. Łzy wypłakiwane wieczorem na plaży, ocierane, gdy wracała do domu. Łzy wypłakiwane ukradkiem nad babcynym zlewem, w którym myła małże. Łzy połykane, ukrywane, osuszane. Łzy niewidzialne. Łzy suche, odparowane do kryształków soli, klujących w oczy i dławiących gardło niekończącym się bólem. Wielkie łyki soli i milczenie. To było ciche lato. Codziennie wieczorem Dave dzwonił z Cambridge, żeby jej zdać relację z oględzin kolejnego mieszkania i z postępów w pracy nad książką, którą pisał o Robercie Lowellu. Nalegał, żeby spędziła lato na zachodzie. Chciał jej dać „Oregon” w prezencie. Potrzebowała wypoczynku, odmiany i rozrywki. Lato w Cambridge jest okropne, gorące i parne, mówił. Pytał: „Piszesz?”, a ona kłamała, że tak, bo bardzo chciał jej podarować również jej twórczość. Codziennie wieczorem odkładała słuchawkę i wybuchała płaczem.

Matka siadywała w ogródku na tyłach domu. Między wielkim różanecznikiem pod oknem sypialni a spłowiałym płotem podtrzymywanym przez rozrośniętą dziką różę mieścił się skrawek zachwaszczonego trawnika, na którym ustawiła dwa ogrodowe krzesła. Wieczorem powietrze przepajał zapach róż. Wiał ciepły wiatr z północnego wschodu, z głębi lądu. Wnętrze kontynentu prażyło się w spiekocie, fala upałów w ostatnich kilku dniach była ponoć rekordowa. Nawet tu, na wybrzeżu, nie dało się wysiedzieć w domu.

- Chodź, usiądź tu ze mną - powiedziała, kiedy więc Virginia skończyła płakać w

swoim ciemnym pokoju, zmyła słone ślady z twarzy i wyszła do ogrodu.

Matka rzeczywiście wyglądała jak lilia, bielą w mroku pomiędzy krzakiem róży a ciemnym rododendronem. Nie było tu świetlików. - Kiedyś mieszkali tu anioły. Pamiętasz je, Virginio?

Virginia pokręciła głową.

- W trawie, na drzewach. Rozmawiałaś z nimi. Ja nie umiałam się z nimi porozumieć.

Wiatr od lądu wypierał szum morza. Choć przyptyw uderzał o brzeg niemal tuż obok, zaraz za pasem wydm, tego wieczoru musiały wytężyć słuch, żeby ułoić szmer fal.

- Raz je spytałaś: „I cio Dzinia ma lobić?”

Virginia wybuchnęła śmiechem. Łzy znów pociekły jej po twarzy, ale to były świeże łzy, ożywcze, obfite, niewstrzymywane. Piła je łapczywie.

- Oj, mamó - powiedziała. - Nadal tego nie wiem.

- No cóż - stwierdziła Lily. - Czemu nie zamieszkacie w Oregonie? Dave na pewno dostałby pracę na którejś uczelni.

- Jest teraz docentem na Harvardzie, mamó.

- No tak. Wiesz, że od wielu lat nie nazwałaś mnie mamą?

- To prawda. Ale nieraz miałam to na końcu języka. Nie masz do mnie żalu?

- Skądże. Zawsze mi się wydawało, że to słowo do mnie nie pasuje.

- A jakie miałyby pasować?

- Żadne. Sama wiesz, że właściwie nigdy nie byłam matką. Dlatego zakrawa na cud, że mam córkę, ciebie. Ale zawsze czułam się trochę speszona, kiedy mówiłaś do mnie „mamó”, bo to nie była prawda.

- Owszem, to była prawda, mamó. Wiesz, że straciłam dziecko? Poroniłam na początku czerwca. Nie zamierzałam ci mówić. Nie chciałam cię zasmucać. Ale komu mam się zwierzać jak nie tobie?

- Och, Boże... - Ledwie widoczna w półmroku Lily westchnęła ciężko, przeciągle. - Och, Boże. A gdy raz się je straci, już nigdy nie wracają.

- One też nie potrafią przefrunąć nad Górami Skalistymi.

*

Lato w Vermoncie. Powietrze niczym ciepły, wilgotny wełniany koc owinięty ciasno wokół ciała. Jego fałdy zasłaniają usta i nos, miękkie, duszące i mokre jak pot. Płaszcz potu. Ale żadnych łez, ani słodkich, ani słonych.

- Martwi mnie to, że patrzysz na wszystko ze swego punktu widzenia - powiedział Dave. - Myślałem, że łączy nas coś więcej niż inne pary, poczucie partnerstwa. Nagle się

okazuje, że nie spełniłaś żadnego ze swoich pragnień, a ja w gruncie rzeczy ich nie znam. Czego właściwie chciałaś, Virginio?

- Tego się już nie dowiemy - zacytowała złośliwie. Stała się niesprawiedliwa, nieżyczliwa. - Na razie chcę dokończyć studia i uczyć.

- Rezygnujesz z pisania?

- Czy nie mogę uczyć i pisać? Ty to robisz.

- Bo nie mogę wziąć sobie bezpłatnego urlopu. A ty chcesz z własnej woli odrzucić to, za co większość pisarzy gotowa byłaby zabić. Wolny czas!

Kiwnęła głową.

- Oczywiście poezja nie wymaga tyle czasu, co zawodowe pisarstwo - stwierdził. - Najlepszym rozwiązaniem byłby dla ciebie jakiś kurs w Wellesley.

- Chcę zdobyć tytuł naukowy. Najchętniej... - To było niemożliwe, nie powinna nawet o tym wspominać, ale mimo to wypaliła: - Najchętniej na zachodzie.

- Na zachodnim wybrzeżu?

Ponownie kiwnęła głową.

- Chcesz jechać na studia na drugi koniec kraju?

- Tak.

- Virginio... - Dave zaśmiał się z niedowierzaniem. - Bądź rozsądna. Ja nauczam w Harvardzie. Nie oczekujesz chyba, że rzucę tę pracę. Uparłaś się studiować na jakiejś zachodniej uczelni. Pięknie. I co teraz z nami będzie?

- Nie wiem.

Nie miała nad nim litości. Kopulaste, natrętnie bliskie wzgórza ścisnęły domek w objęciach. Wilgotne niebo leżało na nich jak mokry elektryczny koc. Letnie błyskawice raz po raz białły w chmurach. Grzmot nie odezwał się ani razu.

- Jesteś gotowa przekreślić całą moją karierę?

Nie mogła się zdobyć na dobroć.

- Oczywiście, że nie. Zresztą twoja kariera już ode mnie nie zależy.

- A kiedy zależała?

Popatrzyła na niego przeciągle.

- Wtedy, kiedy ty robiłeś doktorat, a ja pracowałam...

Patrzył na nią, nie rozumiejąc.

- Sam mówiłeś, że nasz związek był partnerski. Pracowałam. Jako maszynistka, redaktorka...

- Ach, to? - Dave milczał przez chwilę. - I teraz masz uczucie, że nie otrzymałaś

zadośćuczynienia za swój trud?

- Nie. Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam. Ale ty masz tytuł naukowy. Teraz ja też chcę mieć. Czy to niesprawiedliwe?

- Upominamy się o funt ciała, co? Nie, oczywiście, że to jest sprawiedliwe. Chyba po prostu się nie spodziewałam. Myślałam, że poważniej traktujesz pisarstwo. No cóż, posłuchaj. Jeśli w tej chwili to naprawdę dla ciebie takie ważne, mogę się zorientować, jakie są szanse załatwienia ci studiów w Radcliffe. Może być trochę oporu, ale dopóki mi to nie zagrozi zawodowo...

- Jak mam to powiedzieć, żebyś usłyszał?

Dokończył piwo i odstawił puszkę na podłogę, nie odzywając się ani słowem. W końcu przemówił, spokojnie, z namysłem, miarowo:

- Usiłuję zrozumieć, czego naprawdę chcesz. Zawsze mówiłaś, że chcesz mieć czas na pisanie. Masz go. Nie musisz pracować zarobkowo, ten etap mamy już za sobą. Z całą pewnością nie zabraknie nam na życie bez twojej akademickiej pensji, nawet jeśli zrobisz doktorat. Praca nad nim nie zostawi ci wiele czasu na poezję, chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Mam wrażenie, że rozumiem, dlaczego tak ci na tym zależy. Potrzeba ci moralnej puenty, akcentu na zakończeniu. Tylko czy to nie jest przypadkiem klasyczny syndrom kury domowej? Wiele kobiet, które nie mają nic do roboty, idzie na studia, żeby „poszerzyć horyzonty” albo Boże uchroni, „wyrazić swoje ja”. Taka motywacja jest raczej poniżej twego poziomu. Zaś pisanie doktoratu dla zabicia czasu między jedną a drugą ciążą... - Wzruszył ramionami. - Mam inną propozycję. Zrób sobie tej jesieni miesiąc wakacji, nad morzem, w Maine. Nawet cały semestr, jeśli chcesz. Pisz. Będę cię odwiedzał w weekendy. Ale nie baw się w pracę naukową, Virginio! Kobiety często to robią i wybac, ale degradują tę pracę. Badania, uniwersytet to nie piaskownica, nie plac zabaw.

Virginia spojrzała na trzymaną w ręku puszkę piwa.

- Raczej plac boju - powiedziała. - Profesorskie togi okrywają czerwone od krwi zęby i pazury.

Uśmiechnął się.

- Jeśli tak to postrzegasz, po co chcesz w tym uczestniczyć?

- Żeby zdobyć uprawnienia zawodowe.

- Czyli tytuł doktora nauk humanistycznych? Po co?

- Żebym mogła pracować jako wykładowca.

- Kreatywne pisarstwo możesz wykładać bez dyplomu.

- Wiem, jak kiepska jest twoja opinia o kursach pisarstwa, często ją wyrażałeś.

Dlaczego teraz starasz się je zachwalić?

- Bo one nie są na poważnie. To zajęcia dla hobbystów. - Dave wstał i przeszedł do drugiego pomieszczenia, gdzie stała lodówka. Mówiąc, wyjął z niej następną puszkę piwa, otworzył ją i wrócił na wiklinowy fotel stojący przy osłoniętych siatką drzwiach na taras. Nie zapalili lampy i w pokoju było prawie ciemno. Komary, bzyząc, obijały się o siatkę. - Skoro chcesz mieć hobby, dobrze. Ale nie uda ci się przejść na dorosłą stronę płotu, Virginio. Tam panują inne zasady. Wszystko przyszło ci bez wysiłku. Nagroda Yale spadła jak z nieba. A potem, będąc moją żoną, nie musiałaś kołatać do zamkniętych drzwi. Może nie chciało ci się zastanawiać nad tym, dlaczego pewni krytycy potraktowali tak poważnie twoje wiersze i dlaczego wydawcy nigdy nie robili ci problemów. Nie musisz. Możesz pisać wiersze i bawić się rzeczywistością, jako artystka masz do tego prawo. Ale nie wynoś tego nastawienia z przedszkolnego ogródka. W moim świecie sukcesu nie mierzy się jedną czy dwiema nagrodami, lecz trwającą całe życie ciężką pracą. Niczego nie dostajesz za darmo. Na wszystko musisz zarobić. Proszę cię więc, nie mieszaj w tym, co udało mi się dla nas osiągnąć, bo czujesz się znużona albo niespełniona. Słyszałem opinie o naukowym establishmencie wschodniego wybrzeża wygłaszane przez twoich znajomych artystów. Dziecinne fochy. Naprawdę myślisz, że wydałabyś swoją ostatnią książkę tam, gdzie ją wydałaś, gdybym nie był członkiem prawdziwego literackiego establishmentu? Człowiek tkwi w sieci zależności. Od nich zależy sukces, a buntowanie się przeciw nim lub zaprzeczanie ich istnieniu to po prostu nieodpowiedzialna dziecinada. Nieodpowiedzialna także wobec mnie.

- Moja ostatnia książka była niewypałem. Biednym poronionym kadłubkiem na wózku. Niczemu nie zaprzeczam. Chcę tylko przestać iść w złym kierunku. Zawrócić na właściwą drogę.

- Drogę czy pielgrzymkę? - spytał łagodnie, podchwytliwie, przekrzywiając głowę. - Widzę, że nerwy masz w strzępach. Pozwoliłaś, żeby niezadowolenie z pracy i te pechowe poronienia wpędziły cię w depresję. Boli mnie, kiedy patrzę, jak się pogębiasz. Spróbuj pójść za moją radą. Jedź do Maine, pisz, wypoczywaj!

- Chcę zrobić doktorat. Na zachodzie.

- Słyszałem. I próbuję zrozumieć, ale bezskutecznie. Mówiąc w skrócie, mam zrezygnować z pierwszorzędnego stanowiska na harwardzkim wydziale anglistyki, żeby uczyć pierwsze klasy na jakimś zadupiu, ponieważ ty masz kaprys robić doktorat wśród kaktusów? Doprawdy trudno mi to zrozumieć. Rozmawiałaś może ostatnio ze swoją matką? To mi przypomina jej widzenie realiów. Doprawdy, Virginio, mam chyba prawo prosić, żebyś

się zastanowiła, czego żądasz, zanim narazisz nasz związek.

- Tak.

- Co: tak?

- Tak, masz takie prawo.

- No i?

- To działa w obie strony, prawda?

- Co działa w obie strony?

- Związek. Ja się duszę, Dave. Ty zużywasz cały tlen. Nie jestem drzewem. Próbowałam wydychać azot i tlen jak drzewa, starałam się być twoim więzem, ale zachorowałam na grafiozę. Umrę, jeśli nadal będę się starała tu tkwić wbrew wszystkiemu. Nie potrafię oddychać resztkami po tobie. Nie potrafię dłużej dostarczać ci tlenu. Jestem chora i boję się, że umrę. Przykro mi, że narażam nasz związek.

- No dobrze - powiedział Dave i było to jak huk opadającego topora. Wstał, wyrzwał przez siatkę, zasłaniając sobą cały otwór drzwiowy. - No dobrze. Bez poetyckich metafor. Czego ty chcesz, Virginio?

- Chcę zrobić doktorat w którejś uczelni na zachodnim wybrzeżu, a potem uczyć.

- Nie dotarło do ciebie nic z tego, co mówiłem.

Milczała.

- Powiedz mi, czego ty naprawdę chcesz - powtórzył.

*

Kolejne lata. Kawałki, skrawki letnich miesięcy, kiedy przyjeżdżała z Berkeley na tydzień lub dwa po letniej sesji, a przed rozpoczęciem jesiennego semestru, i odsypiała. Tylko tyle miała z tych pobytów - sen. Spała na plaży w słońcu, na hamaku w cieniu na cyplu, w łóżku w swoim pokoju. Sen i szum morza.

A potem tamto długie, hojne, obfite lato, kiedy mieszkała u babci na Bretońskim Czubie, bo pisała doktorat. „Nie dasz rady rozłożyć się u matki z tymi wszystkimi papierzyskami” - powiedziała babcia. „Potrzebujesz miejsca do pracy”. „Mówisz jak ja!” zaśmiała się na to Virginia. Ale trzy lub cztery razy w tygodniu nocowała w miasteczku, przy Cedrowej. Wstawała wtedy rano i schodziła na plażę, szła aż do Wrakowiska i z powrotem, witała dzień, myśląc o „Latach”, brodziła w wodzie, myśląc o „Falach”, wyśpiewywała morzu nonsensowne piosenki. Potem szła albo jechała samochodem gruntową drogą na Czub, do domu, gdzie były przestronne pokoje i szeroki dębowy stół pod oknem wychodzącym na morze, za którym zachodziło słońce. Pisała pracę doktorską i równocześnie wiersze - na marginesach notatek, odwrotach fiszek.

- A zatem to nie jest dziecko Davida.

- Nie widziałam go od trzech lat, babciu.

Jane Herne miała speszoną minę. Przysiadła zgarbiona na staromodnym fotelu, poprawiła się raz i drugi, skubnęła paznokcie jak pensjonarka.

- Lafayette i ja żyliśmy w separacji przez dwanaście lat - powiedziała w końcu tonem dość oficjalnym, prostując się z godnością. - Poprosił mnie o rozwód, kiedy zapragnął się ponownie ożenić. Myślę jednak, że gdyby był w moim życiu inny mężczyzna, sama wystąpiłabym o rozwód. Zwłaszcza gdybym się spodziewała dziecka.

- Dave nie chce rozwodu. Sypia z pewną dziewczyną, studentką, i chyba się boi, że jeśli będzie wolny, będzie się musiał z nią ożenić. Poza tym jeśli urodzę dziecko jako mężatka, będzie miało ojca w metryce. Inaczej niż ja... wybac mi to porównanie, babciu.

- To istotnie różnica - stwierdziła babka głosem bez wyrazu.

- Poznałam... biologicznego ojca wiosną we Fresno. Mieszka tam. Jest żonaty. Mają jedno dziecko, córeczkę, urodziła się kaleka. Rozszczep kręgosłupa, tak to się bodajże nazywa. Jest zupełnie niesamodzielna. Oboje z żoną opiekują się nią przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie chcą jej oddawać do zakładu. Jake mówi, że zdołali z nią nawiązać kontakt emocjonalny. On ma na imię Jake, Jacob Wasserstein. Uczy historii nowożytnej. To miły człowiek. Miły i dobry. Czuje się winny wobec żony i córki. W ogóle jest specjalistą od kwestii winy. Naucza o drugiej wojnie światowej, obozach koncentracyjnych, bombie atomowej...

- A zatem on...

- Tak, wie, że jestem w ciąży. Widziałam się z nim w czerwcu, zanim tu przyjechałam. Czuje się zarazem winny i szczęśliwy, czyli ma taki koktajl, jaki lubi najbardziej. Co nie znaczy, że zrobiłam to celowo. Krążek dopochwowy okazał się nieszczelny... - Virginia urwała, czując, że na twarz i szyję wypełza jej gorący rumieniec. Niepotrzebny, z gruntu nieszczerzy weryzm.

Czuła kamienny opór babki - nie dezaprobatę, nie osąd, ale opór: ścianę, która wzbraniała jej dostępu. Jej słowom - nieprzemyślanym, tanim. W życiu Jane Herne nic nie przyszło tanio, stwierdziła w duchu.

- No a... - Jane Herne szukała w myśli słów. Co z tą nauczycielską posadą w południowej Kalifornii...?

- Rozmawiałam już z przewodniczącym rady. Dostanę urlop na cały wiosenny semestr. W ogóle potraktowali mnie bardzo życzliwie. To jedna z zalet bycia mężatką, tak a propos. Ale potem rzeczywiście mogę się rozwieść. Rozmowa z tobą uświadomiła mi, że tak

powinnam zrobić. Powiem Dave'owi, że chcę rozwodu, a jeśli się nie zgodzi, sama wniosę sprawę. Boże, mam nadzieję, że się zgodzi!

- Tak byłoby dobrze - powiedziała sztywno babka. Po chwili dodała z większą swobodą: - Na ogół dopinasz tego, czego chcesz, Virginio. Upewnij się tylko, że naprawdę tego chcesz.

Virginia zamyśliła się na chwilę.

- Chcę urodzić dziecko. Wykładać w UCLA. Chcę tego. I wydać następny zbiór wierszy. I dostać Nagrodę Pulitzera. Mogę?

- Zapracujesz sobie na to. Jak zawsze.

- Nie, dziecko właściwie dostałam gratis. Nie sądzisz, że już czas, by w tej rodzinie urodził się chłopiec?

Jane Herne zapatrzyła się przez okno na niebo, zachodnie niebo nad oceanem.

- Dzieci się dostaje gratis - powiedziała - bo one do ciebie nie należą.

Fanny, 1918.

Moje pulchne, grzeczne dzieciątko, mój promyczek słońca, takie dobre, kochane dziecko. Nigdy nikogo nie skrzywdził, nie przysporzył mi żadnych trosk i nigdy się o niego nie martwiłam. Mój syn jest porządnym chłopcem. Dobrze wychowanym, solidnym. Wszyscy o tym wiedzą i wszyscy lubią Johnny'ego Oзера. Nawet kiedy widziałam straszne zdjęcia w gazetach, myślałam tylko o tych biednych cudzoziemcach. Wyjechał tak daleko. Uśmiechnięte twarze na dworcu w Portland, młodzi ludzie w oknach pociągu, roześmiani, machający rękami i kapeluszami, i ten rój ślicznych dziewcząt, które ich żegnały. Koszarowe anegdotki, dowcipy, wesołe piosenki, marsz na bój, marsz na bój, bębny bębnią; marsz na bój. Przyda się Johnny'emu rok albo dwa w wojsku, zobaczy świat. Chłopak trochę okrzepnie, mówił Will Hambleton, to maminsynek, puść go na wojnę, Fanny, zrobią z niego mężczyznę. Mężczyznę w błotnistym rowie, zaduszonego przez trujący gaz. Nigdy nie powiedziałam: nie jedź. Nie przypuszczałam, choć powinnam była wiedzieć. Dlaczego nie wiedziałam? Dlaczego się o niego nie bałam? Dlaczego nie bałam się zła?

Straciłam syna. Tak mówią. Straciła syna. Jak gdyby był rzeczą należącą do mnie, zegarkiem. Straciłam gdzieś zegarek. Straciłam syna. Byłam nieuważna, byłam głupia. Dziecka nie możesz zatrzymać. Nie możesz schować go w kieszeni, przypiąć do sukni. Musisz wypuścić je z rąk. W upalne ranki robiłyśmy z moją siostrzyczką Vinnie babki nad stawem. Lepiłyśmy z mokrej lepkiej gliny figurki, konie, domki, ludzi. Potem stawiałyśmy je

na błotnistym brzegu, żeby wyschły.

Jeśli się o nich zapomniało, podsiąkały wodą i zsuwały się po śliskim brzegu z powrotem do stawu. Kiedy przyszedłam pod wieczór, znalazłam tylko grudki i smugi błota, bezkształtne, nie przypominające już ludzi. Zrobią z niego człowieka. Głupia kobieto, ty nie straciłaś syna, ty się go pozbyłaś. Pozwoliłaś mu odejść, sama go wysłałaś i zapomniałaś o nim, aż obrócił się w błoto.

Kościste czerwone dłonie, nieśmiało przygarbione ramiona. Miękki łagodny głos. Był pogodnym, dobrym chłopcem. Sam wykierowałby się na mężczyznę, prawdziwego mężczyznę, na dobrego człowieka.

Przepraszam cię, Servine, tak bardzo cię przepraszam! Gdyby nie ja, przyniosłby ci chlubę.

Nie mógł się doczekać, kiedy wdzieje mundur. Myślał, że to wystarczy. Tak im przecież mówili, skąd miał wiedzieć? Dwudziestoletni młokos? To ja powinnam była wiedzieć. Ale ja się nie lękałam, że spotka go coś złego. Nie powiedziałam mu: mundur cię nie ochroni, musisz sam walczyć o swoje życie, Johnnie Ozer. Kiedy był malutki, bałam się o jego płuca. Dlatego sprzedałam mleczną farmę w dolinie pełnej kurzu i przyjechałam do Klatsand. W dzieciństwie Johnny śmiał się i kaszłał, śmiał i kaszłał. Bałam się o jego płuca, a pozwoliłam mu wdychać trujący gaz. Teraz sama się duszę. Chcę mu powiedzieć, mojemu dobremu synowi, żeby strzegł się zła, żeby bał się zła, ale jest już za późno.

Jane, 1967.

Oglądam światło na suficie, ruchliwe refleksy, które padają z dołu w górę, odbite od oceanu. Przeżyłam życie w wielkiej obecności morza. Wszystkie moje czyny skupione były tutaj, moje sprawy wśród innych na tym świecie, ale przez cały czas towarzyszył mi tamten, inny świat.

Robiłam to, co większość z nas. Staramy się odgrodzić od świata, zawijamy we własną skórę, unikamy zagrożeń, sądzimy, że prócz nas nie ma nic. Ale świat nas przenika i my go przenikamy, nie ma granicy. Póki żyję, wciągam do płuc powietrze i wydycham je ogrzane ciepłem mojego ciała. Kiedy jeszcze mogłam biegać, biegałam po plaży, zostawiając za sobą ślady stóp. Wszystkie moje myśli, czyny, dał mi świat, a ja mu je oddałam. Ale morza nie da się wetchnąć, wchłonąć. Morze nie zachowa odcisniętych śladów stóp. Podtrzymuje cię tylko tak długo, jak długo machasz rękami i nogami, a gdy stracisz resztkę sił, pozwala ci opaść na dno, niwecząc twoje starania. Morze jest bezwzględne. Niecierpliwe. Nocami, które

tak się dłużej, słyszę jego rozdrażnienie. Gdybym mogła podejść do wschodniego okna, ujrzałabym Góry Nadbrzeżne, niebieskawe pasmo o niezmiennym kształcie. One pozwalają myśli przebiegać wzdłuż falujących grzbietów, tak samo jak pozwalają przebiegać je twoim stopom. Leżąc tutaj, obserwuję chmury: te nie są płochliwe, zachowują spokój. Zmieniają się powoli, tają, a umysł w milczeniu wtapia się pomiędzy nie i zmienia tak samo cicho. Lecz niżej morze tłucze białą głową o skały jak stary szalony król, miażdży skałę na piach w mocnych palcach. Jest gwałtowne. Nie da się unieruchomić, uciszyć. W najspokojniejszej nocy wciąż słyszę jego głos. Powietrze jest ciche, śpiewa tylko na wietrze; ziemia jest cicha, jeśli nie liczyć głosów dzieci, a niebo milczy. Ale morze ryczy, wrzeszczy, syczy, grzmi bez ustanku, hałasuje od początku świata i będzie to robić dalej, zawsze i wciąż, dopóki słońce nie zgaśnie. To będzie śmierć par excellence - śmierć morza, które dla nas samo w sobie jest śmiercią, bezlitosną obcością. Wizja milczącego morza jest straszna. Myślę wtedy, że pokój jest kropelką przyboju, bańką piany, która zawisa na chwilę ponad tumultem fal. Myślę, że tłem wszystkich głosów jest bezsensowny, achromatyczny szum. Wydaje go płynący czas. Biegając do morza, strumienie i rzeki dostrajają swój śpiew do tego niemelodyjnego dźwięku, który jako jedyny jest wieczny. To dźwięk płonących gwiazd. Teraz, gdy moje istnienie jest ciszą, słyszę go wyraźnie. Tym samym dźwiękiem płonie każda komórka mego ciała. Leżę i zarazem unoszę się jak kropla wody, bańka piany, nad plażą światła. Biegnę. Biegnę, nie zdołacie mnie złapać!

Lily, 1943.

Jako mały chłopiec Edward Hambleton był we mnie zakochany. Ja też bardzo kochałam tego skrzata. Ilekroć mnie zobaczył, biegł mi naprzeciw co sił w nóżkach, czerwony na buzi, uśmiechnięty od ucha do ucha, i wrzeszczał: „Willy!” Ubrdał sobie, że tak mam na imię, może przez to, że do ojca ludzie mówili Will. Ja nazywałam go Bratkiem. Naprawdę był dla mnie jak brat.

Jego syna May i reszta Hambletonów nazywają Stoney, ale w papierach ma Winston Churchill Hambleton. Kiedy się urodził przedwcześnie, zadzwonili do Edwarda, był wtedy w Fort Ord. Dajcie mu na imiona Winston Churchill, powiedział. W takich czasach chłopiec powinien mieć wazkie imię.

Czasy są mroczne. Kiedy mama, Mary, Lorena Weisler i Hulse Chock rozmawiają, wysłuchawszy w radio wiadomości z frontu na Pacyfiku albo we Włoszech, myślę nieraz, że żyjemy w świecie, w którym zabrakło światła; już tylko radio łączy nas ze sobą. Żyjemy

przycupnięci na samej krawędzi morza ogarniętego wojną. W nocy, podczas zaciemnienia, miasto okrywa ciemność, jakby znowu rosła tu nieprzebyta puszcza. Jakby w ogóle nie było miasta, tylko las na skraju oceanu.

Mroczne czasy. Mama powiedziała tak kiedyś o tamtej wojnie, na której wujek John zginął we Francji. To były mroczne czasy, stwierdziła. Nie pamiętam wujka, tylko cień stojący między mną a wychodzącym na zachód oknem w czyimś domu, wysoki i roześmiany. Pamiętam też, że jechałam na koniu, a ktoś mnie podtrzymywał, idąc obok. Mama mówi, że to musiał być wujek John, bo przez jakiś czas pracował w stajni i woził mnie na starym kucyku po majdanie. Sam jeździł po plaży, ściglejszy niż wiatr. Miał dwadzieścia lat. Był w okopach, tak się wówczas mówiło. Edward ma teraz dwadzieścia dwa lata i jest na Południowym Pacyfiku. Aktor na ciemnej scenie teatru zmagania wojennych. Nie widział swojego synka. Chciałabym wiedzieć, czy żyje. Podobno nieraz mija wiele tygodni, nim rodzina dostanie zawiadomienie. Czasem przychodzą listy od żołnierzy, którzy już dawno nie żyją.

Niepotrzebnie go kocham. To jak czytanie listu od nieboszczyka. Nie ma sensu, żebym kochała kogoś poza mamą i Dzinia, i Dorothy. Dovey Hambleton nienawidzi mnie za to, że zostałam w Klatsand. Mówimy sobie „dzień dobry”. Dzień dobry, Lily, dzień dobry, Dovey - przez tyle lat! Nigdy nie odezwała się do Dzini. Pozostałe dzieci Dicky'ego mieszkają w Teksasie, opowiadała o nich Lorenie w sklepie, ale zamilkła, kiedy weszłam. Jej wnuki i wnuczki są rodzeństwem mojej córki. Córka, wnuczka, te słowa są jak noże. Nigdy ich nie wymawiam, bo kaleczą mi język. Mówię „mamo”, ale to słowo też czasem rani. Na szczęście jest Dorothy, moja przyjaciółka. Dorothy nigdy nie obróciła się przeciwko mnie. Przyjaciółka. To słowo słodkie jak mleko.

Włosy Dorothy spłowiwały, teraz je farbuje z powrotem na rudo. Odkąd urodziła dzieci, pogrubiał jej kark i nogi w kostkach. Nie porusza się już tak lekko jak dawniej, jak Dzinia, która biegnie ulicą niczym młody żreback, cała z nóg i końskiego ogona. Taka była Dorothy w czasach, kiedy bawiłyśmy się nad strumieniem. Całymi dniami bawiłyśmy się w dom, urządzałyśmy lalkom wesela. Teraz Dorothy jest tęga, powolna i szczerza, i wciąż piękna jak piękna czerwona krowa. Wie wszystko. Nie zamartwia się. Nie biada, że Cal i Joe są na wojnie. Przy niej wojna przestaje być zaciemnionym teatrem, wygląda raczej jak plac budowy pełen zaferowanych mężczyzn w ciężarówkach. Dorothy twierdzi, że Calowi znacznie mniej grozi teraz niż wtedy, kiedy kręcił z żoną pewnego drwala w Clatskanie. Armia to dla niego bezpieczniejsze miejsce. Joe z kolei wozi pranie w jakiejś bazie wojskowej w Georgii. Wojuję z milionem brudnych gaci, pisał. Dorothy czyta mi jego listy. Są zabawne, pełne humoru, bo

Joe to w ogóle miły człowiek. Dorothy za nim tęskni, choć w zasadzie wcale jej go nie brakuje, w tym sensie, że i bez niego jej świat jest kompletny, kulisty i kształtny. Kocham ją, bo ona spogląda na mnie z tego swojego krągłego świata i zaprasza do środka. Nie muszę tułać się gdzieś na obrzeżu, pod gołym niebem. Odkąd zaczęła się wojna, nie mogę chodzić po plaży, mając nad głową niebo. Odkąd widziałam anioły. Zniknęły, ale wciąż się boję, że usłyszę w górze szum ich skrzydeł. Oj, Lily, mówi Dorothy, nie dziwacz! Oj, Lily, ty to masz nierówno pod sufitem! Jak myślisz, Lily, czy mój mały synek jest śliczny czy prześliczny? Lily, zajmiesz się dziś po południu dziećmi, bo muszę jechać do Summersea? Lily, czy ta twoja córeczka jest mądra czy arcymądra? Dorothy potrafi wypowiedzieć wszystkie słowa. Ona się nie boi. Dlatego kocham ją, bardzo ją kocham.

Jane, 1966.

„Anioleczek” - mówi Lily, kiedy Jaye przybiega do niej z jakimś pytaniem albo kwiatkiem. „Chodź do Lily, aniołku!”

Ramiona ma szczuplejsze od rączek wnuczki.

Mam siedemdziesiąt dziewięć lat i wciąż nie wiem, czym jest miłość. Patrzę na konanie własnej córki i myślę, że dała mi bardzo mało radości, a złamała serce. Ale dlaczego serce pęka?

Nie rozumiem tego. Nie wiem, co jest dobre, co złe. Uważałam, że Lily podjęła złą decyzję zostając w domu i nie poddając się leczeniu. Uważałam, że Virginia popełnia błąd, przyjeżdżając tutaj, żeby z nią być. Zostawiła wszystko, co sobie wypracowała. Bez wahania rzuciła posadę na uniwersytecie. Podobno w przyszłym roku dostanie pełny etat w koledżu w Summersea. Mówi, że tego chce. Chce tu zostać. Uważałam, że robi błąd, rodząc dziecko mężczyzny, którego nawet nie chciała poślubić. Wszystko to wydawało mi się jednym wielkim błędem. Co ja tam wiem! Nie poradziłabym sobie bez niej. Nie jestem w stanie zaopiekować się Lily. Nie mogę podnieść rąk. Nie mogę unieść kota, muszę czekać, aż wskoczy mi na kolana, no chodź, staruszk, mówię, a on się ze mną droczy, siada i najpierw długo myje pyszczek. No i ta pielęgniarka. Specjalistka od opieki nad chorymi na raka.

Teraz nikt się nie wzdraga wymówić tego słowa. Nikt w rodzinie nigdy nie chorował na raka, może poza tym guzkiem, który miała moja babka w Ohio. Mama opowiadała, że wyglądał jak ziarenko, które przylgnęło do palucha stopy. Babka wyłuszczyła go, niewiele myśląc, palec krwawił przez całą noc i pościel trzeba było wyrzucić. Ale nie okazał się złośliwy. Matka też była zdrowa. Ja również.

Nie trawię tej kobiety. Mówi: „Leki ich otępiają” albo: „Nie wiedzą, co dla nich dobre” w obecności Lily, jakby ta była dzieckiem lub idiotką! Ale jest bardzo silna i pewnie zna się na tym, co robi. Lily znosi to bez sprzeciwu. Zawsze była cierpliwa, znosiła wszystkich i wszystko. Zawsze. Lily mnie zawstydzła.

Oddycham swobodniej, kiedy przychodzi Virginia z małą, a pielęgniarka wychodzi. Wieczory spędzamy we cztery, Jaye śpi, Lily drzemie, a my z Virginią siedzimy i rozmawiamy, czasem ona poprawia klasówki albo gramy w karty, w kriba. Z reguły ja wygrywam. To jedyna rzecz, do jakiej Virginia nie ma żadnych uzdolnień. Powiedziałam jej kiedyś: „Zdobywasz laury za poezje, ale nigdy nie próbuj zarabiać na życie grą w karty”.

Lily miała rację, chcąc umrzeć we własnym domu. Virginia miała rację, chcąc jej na to pozwolić. Ja nie chciałam Lily u siebie. Nie miałam ochoty patrzeć, jak umiera, tak samo jak nie mogłam patrzeć na to, jak żyje. Ona sama też miała opory. Urodziła się w San Francisco, lecz jej życie upłynęło w domu przy Cisowej. Nie opuściła go nawet na tydzień, jeśli nie liczyć tej jedynej wycieczki na Wystawę Światową, jeszcze przed wojną. Jej córka będzie mieszkać w moim domu. Córka poczęta w łóżu, w którym umiera matka. W małym pokoju z oknem wychodzącym na krzak różanecznika. Virginia powiedziała mi wprost, jak to ma w zwyczaju: Tak, jeśli zapiszesz mi dom na Czubie, będę w nim mieszkać. Powiedziała: Bardzo lubię Los Angeles, ale lepiej mi się pracuje tutaj. A szkoła? spytałam. Roześmiała się: Tu też mogę uczyć, nie gorzej niż tam. Jeśli zapiszesz mi dom, będę w nim mieszkać. Jaye będzie w nim dorastać.

To mnie cieszy. Virginia daje mi tyle radości. Podała się do Lefe'a: podobnie nosi głowę, zerka spod oka, ma ten błysk w spojrzeniu. Myślałam, że popełnia błąd, ustępując życzeniu Lily; błąd, rodząc to dziecko; błąd, przeprowadzając się tutaj. Być może odruchowo zakładamy, że jeśli kobieta wybiera wolność, popełnia błąd.

Brakuje mi mojej wolności. Biegania po plaży aż do Wrakowiska, boso, samotnie.

Wczoraj był u nas Edward i w trakcie rozmowy przyszło mi na myśl, że dziś to najbliższe biegania po plaży, na co mnie stać. Pogawędki z Virginią, z Edwardem. Kiedy z nimi rozmawiam, czuję, że jeszcze żyję. Że biegnę. Jak gdyby umysł był plażą, długą połącją piasku obrzeżoną falami i niebem. Mówimy z Virginią o ludziach. Uczniach i nauczycielach w jej koledżu, pisarzach, których poznała, jeżdżąc na kongresy i uroczystości rozdania nagród, lecz także o mieszkańcach miasteczka, których znam. Lubi słuchać o tym, jak tu było w czasach mojego dzieciństwa, i o tym, jak mieszkałam w San Francisco. Dla niej to bajka. Edward nie jest wiele od niej starszy, ale ma stary umysł. Może to dlatego, że był na wojnie. Lecz nawet jako chłopiec był skłonny do zadumy. Virginia fruwa, szybuje jak czapla, nieraz

ciężko mi za nią nadążyć. Edward brnie naprzód, usiłując dojrzeć drogę, zgłębić wszystko myślą, poznać, co jest słuszne. Ona jest wolna; on szuka wolności. Podziwiam to w nim. Mężczyzna, z którym kobieta może pomówić uczciwie, jest rzadkością. Edward zebrał całą uczciwość w rodzinie Hambletonów.

Od czasu do czasu mityguję się i mówię sobie wyraźnie w duchu: Edward jest rodzonym wujem Virginii. I zastanawiam się, czy on też tak o niej myśli. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. - Do Willa Hambletona nie odezwałam się od tamtego dnia ani słowem. Od dnia, w którym Lily powiedziała mi o wszystkim.

Dwadzieścia lat. Dziesięć tysięcy razy mijałam go na głównej ulicy. Mijałam psa, śmiecia.

Prędko zrezygnował z załatwiania spraw na poczcie. Posyłał kogo innego, Wanitę, Edwarda albo któregoś ze sprzedawców. Nie obsłużyłabym go. Gdy wchodził, ja wychodziłam na zaplecze i czekałam, aż pójdzie. Z początku twarz mnie paliła, potem zobojętniałam. Znajdowałam sobie coś do roboty, póki nie zniknie. Czasem wchodzili inni ludzie; prosiłam, żeby poczekał albo przyszedł później. Wiem, co sobie myśleli o stukniętej Jane Herne z poczty, która chowa urazę przez dwadzieścia lat i udaje, że Will Hambleton nie istnieje, chociaż Will Hambleton ma w kieszeni połowę miasta. Nie twierdzę, że postępowałam słusznie lub niesłusznie. Ale tylko tak mogłam postąpić.

Will Hambleton wychował najstarszego syna na łajdaka i nagradzał go za wyrządzone zło. Może gdybym miała jakikolwiek powód, zdołałabym przebaczyć chłopcu, ale nie staremu. Nie widzę powodu, dla którego miałabym mu wybaczyć.

Robiłam co mogłam, czyli nic. Co można uczynić przeciwko złu? Tylko je odrzucić. Nie udawać, że go nie ma, ale przyjrzeć mu się i odrzucić. Kara? Czym jest kara? Wyrównanie rachunków? Odwet? Dziecinada. W Biblii Bóg mówi: „Zemsta należy do mnie”, a potem diametralnie zmienia zdanie i wybacza wszystkim, bo nie wiedzą, co czynią. A kto to wie? Ja nie. Ale przynajmniej próbowałam się dowiedzieć. Nie wybaczę osobie, która nie starała się dowiedzieć, czy to, co robi, nie jest złe. Moim zdaniem tacy ludzie w głębi serca dobrze wiedzą, czym są ich uczynki, a popełniają je, bo mają taką możliwość. Władzę. Will ma władzę nad synami. Jego syn miał i wykorzystał władzę nad moją córką. Nie mogę wiele na to poradzić, ale nie muszę przyklaskiwać, uśmiechać się i służyć. Mogę obrócić się plecami. I tak właśnie zrobiłam.

Virginia, 1972.

Sama sobie umykam. Kształt jednak istnieje. Snująca się nad morzem mgła przybiera kształt, formę: ramię, błysk oka, ślady stóp ponad linią przyływu. Muszę ścigać, bo to pościg stwarza ofiarę. Gdzieś w tej mgle jestem ja.

Ciało nie jest odpowiedzią. Może to ono jest pytaniem. W spełnieniu seksualnej żądy znajdowałam to drugie, nie to, czego szukałam. Wierzyłam we wszystko, co wyczytałam w książkach; choć moje matki tego nie mówiły, wierzyłam: to drugie jest podstawą. Fundamentem. Tylko że niczego na nim nie zbudowałam.

Grunt może i pewny, ale obcy, nieznan, cudzy. Wędrowałam po nim jak turystka - zadziwiona, zdumiona i spłoszona; pątniczka pełna nadziei i czci, lecz nigdy nie znalazłam drogi do świątyni, choć widziałam znaki głoszące: „Miłość”, „Małżeństwo” i podążałam traktem wydeptanym przez tysiące stóp. Zabłąkałam się na krucjacie i nie dotarłam do Ziemi Świętej. Nie zbudowałam zamku, nawet domu; jedynie schronienia na noc, szałas z gałęzi i listowia jak dziki człowiek. Zawstydzona porzuciłam ten wielki stary kraj, weszłam na pokład i odpłynęłam do nowego świata. Tam zaczęłam szukać dla siebie nowego życia.

Ciało jest pytaniem w stopniu najwyższym. Cóż może być bardziej twoim własnym ciałem niż dziecko stworzone w łonie z twojego ciała, krwi, ducha? Szukałam w nim swojej istoty, nim zostało poczęte, poczęłam więc, wyobrażając sobie małe własne wcielenie, które mogłabym kochać miłością idealną. Kiedy jednak Jaye po raz pierwszy się we mnie poruszyła, zrozumiałam, że do mnie nie należy. Była tym drugim - innym życiem, nieskalanie odrębnym, bardziej niż jakiegokolwiek. Gdyby tak nie było, gdyby nie powierzono mi brzemienia, jakże mogłabym je wielbić miłością czystą?

Została więc ze mnie zrodzona w ostatniej długiej fali niewypowiedzianego bólu, a teraz hasa na swobodzie. Wraca, wchodzi do domu o czwartej po południu, mleko i ciasteczko, możemy się pobawić nad strumieniem? Nigdy dotąd nie opuściła domu na dłużej niż jedną noc lub dalej niż szkolną wycieczkę, ale wciąż ode mnie odbiega. Czuję, jak się napręża cienka pępowina z eterycznej stali, którą moja córka naciąga z każdym rokiem. Jest już taka wątła, że kiedy całkiem zniknie, będę się zastanawiać, czy rzeczywiście istniała. Przez całe tygodnie nie będę o niej myśleć, aż ostre szarpnięcie uwięzi sięgającej dna łona, dna serca, wyrwie mi krzyk bólu. Czuję to, kiedy stawiała pierwsze kroczki, kierując się nie do mnie, lecz w przeciwnym kierunku. Nie mogę za nią biec. Nie wolno mi jej ścigać, czynić jej swą ofiarą. Nawet ciało z mego ciała nie jest tym, za którym idę, potykając się z wysiłku. Moja dusza także stawia pierwsze kroki; upada pokonana, z pustymi rękami, wołając wniebogłosy, żeby ją ktoś pocieszył.

Och, obrazy! Jakże się tłoczą, spieszą, żeby mnie ukoić! Kołyszą mnie tak wysoko, że

kręci mi się w głowie! Mruczą niczym głos, który słyszysz, gdy przyciśniesz ucho do czyjejś piersi: nie płacz, maleńka, wszystko będzie dobrze, nie płacz.

Czy więc moje obrazy są tylko cielesne? Czy jest w nich choć odrobina duszy? Czym są owe słowa, którym zawierzyłam swoją nadzieję na istnienie? Czy mnie ocala, czy pewniej niż ja ocala moje dziecko? Wskażą mi drogę w poszukiwaniach czy będą zwodzić, wieść na manowce - przyzywający gest, błyszczące oczy, śmiech we mgle i ślady stóp wiodące na skraj wody, lecz już nie z powrotem?

Muszę myśleć, że są prawdziwe. Muszę im zawierzyć, iść za nimi. Nie mam innego przewodnika prócz cudownych obrazów, pięknych słów, które mnie przyzywają. Śpiewaj, śpiewaj z nami! nuca, więc śpiewam wraz z nimi. To jest świat, mówią i dają mi niesioną przez morze bańkę z zielonego szkła, w którym odbijają się drzewa i gwiazdy. To świat, powtarzam, ale gdzie ja w nim jestem? Chodź, chodź za nami! mówią słowa. To pościg tworzy ofiarę. Idę przez plażę otulona mgłą znad oceanu, wchodzę do ciemnego lasu. Na polanie stoi brązowoskóra niska stara kobieta. Wręcza mi coś - czarkę, gniazdo, koszyk - nie jestem pewna, co właściwie mi daje, lecz biorę to od niej. Nie może do mnie przemówić, bo jej język jest już martwy. Milczy. I ja milczę. Wszystkie słowa odeszły.

SAN FRANCISCO, LATO 1939 ROKU

Jane

Minęła połowa życia, odkąd widziałam mgłę sunącą przez Złote Wrota. Przerzucili nad nimi wielki czerwony most i podwójny most przez zatokę, stworzyli wyspę pełną świateł, kwiatów, wież i tryskających z wody fontann, ale mgła się nie zmieniła. Nadciąga nad miasto, lśnią w promieniach słońca niczym grzebień piany na gigantycznej powolnej fali. Potem się łamie i most znika. W ślad za nim znika śródmieście widoczne za szarą wodą. Znika wierzchołek Wieży Słońca. Woda blednie. Chodzimy w zimnej rozświetlonej szarej ciszy, zajadając gorące frytki z papierowych rozków.

Zabrałam wnuczkę do „City of Paris”, żeby kupić jej prawdziwą „wielkomiejską” sukienkę. Mówiłam jej kiedyś, że lustro oprawne w kość słoniową zostało kupione u Gumpsa, musiałyśmy więc pójść także do Gumpsa. Kupiłam jej porządną posrebrzaną szczotkę do włosów. Zaaklimatyzowałyby się tutaj w parę dni. Zerka niby spod oka i dostrzega wszystko. Po jednym dniu w hotelu może uchodzić za miejskie dziecko, mała światowa dama, o, jak zręcznie ujmuje widelec w restauracji, jakim pewnym ruchem rozkłada

serwetkę na kolanach. „Tylko wodę z lodem, proszę” - mówi. Virginia zawsze i wszędzie zachowuje zimną krew.

Za to Lily, biedna Lily... I pomyśleć, że to ona urodziła się w mieście, w szpitalu, który widać o, tam, na wzgórzu. Moja mała Francisca z San Francisco! Rozgląda się ze strachem jak zdziczała krowa i przewraca oczami. I ten kapelusz... Boże drogi, żeby moja córka chodziła po ulicy w takim kapeluszu! Lily nie jest światowa, jest taka, jaką ją stworzyłeś, dobry Boże. Ja tak. Kocham to miasto. Kiedy miałyśmy miejsce, gdzie dawniej stał hotel Alta California, pomyślałam: a gdybym tak przypadkiem spotkała Lafe'a Herne'a... Gdybym go spotkała, zawróciłabym i poszła z nim - nawet gdyby trzymał pod ramię tę babę z Santa Monica. Bądź co bądź ma dwoje ramion, prawda? Powiedziałabym mu, że oprócz niego jednego nigdy nie spotkałam mężczyzny, który byłby wart zachodu. Zasługuje na to, żeby usłyszeć te słowa, choć pewnie by go nie obeszły. Zaczęłyby mi współczuć, myślałby, że wypłakuję oczy z tęsknoty za nim i żałuję błędu, jaki popełniłam, odchodząc. Nie popełniłam błędu. Czymże jest miłość bez zaufania? Nie popełniłam błędu, ale chciałabym jeszcze zobaczyć, jak odwraca głowę i patrzy na mnie, ujrzeć ten błysk w jego oku. Ma teraz sześćdziesiąt lat. Wszystko minęło, wydaje się takie dalekie. Hotel Alta California został zburzony, cała Market Street przebudowana, i nie chodzi o to, że chciałabym wrócić do przeszłości. Nie. Chcę spotkać sześćdziesięcioletniego Lafayette'a Herne'a i przejść się z nim bulwarem pomiędzy fontannami i dywanami tęczowych rozchodników do Wieży Słońca. Iść z nim pod rękę, jak kiedyś. Oglądać z nim fajerwerki, tak jak oglądaliśmy je na Embarcadero w dniu Czwartego Lipca, tydzień po ślubie. Przeszłość nie wraca. Ludzie tylko raz biorą się za rękę. Miałam słuszość, pozwalając mu uwolnić dłoni.

Szybciej się teraz męczę. Kiedy wróciliśmy dziś wieczorem z wystawy, czułam się zmęczona, a Lily i mała były wykończone. Na ulicy przed hotelem wisiała gęsta mgła, gazeciarze nawoływali głośno i serce mi zlodowaciało. Wydawało mi się, że krzyczą: „Wojna!”

Lily

Jeszcze sześć dni i wrócimy do domu. Tym razem pociąg ruszy we właściwym kierunku. Nazywa się „Gwiazdą Wybrzeża”. Piękna nazwa. Bagażowy w pulmanie był bardzo uprzejmy, rozłożył mi łóżko, dowcipkował. Zwracał się do mnie „panienko”. „Czy panience wygodnie?” Ale kiedy obudziłam się w nocy, za oknem pokazały się góry: skąpane w blasku księżyca wyrastały z niecek wypełnionych czernią. Chciałabym już być w domu.

Jeszcze sześć dni. Nuży mnie przemierzanie tych nieskończenie długich alej na Wyspie Skarbów, a wiatr na promenadzie zawsze jest lodowaty. Są tam wielkie mapy świata i jakiś człowiek maluje obraz większy niż fasada budynku - Wenus wynurzającą się z morskiej piany w otoczeniu kwiatów i wiatrów. Wszystko jest duże, za duże, ludzi za wielu. Nie mogę nadażyć za mamą i Virginią. Chcą zobaczyć wszystko od mikroskopijnych żyłatek po olbrzymiego konia, zjechać do kopalni, zwiedzić Gabinet Osobliwości Ripleya, choć kiedy jakiś człowiek zaczął wydmuchiwać dym dziurą w czole, mama powiedziała „fuj!” i wyszła. Virginii też się nie podobało. Ale kobietę przeciętą na pół przez lustro koniecznie chciała obejrzeć. Jak one to znoszą? Skąd biorą odwagę, żeby wyjść na ulicę? Samochody pędzą z rykiem, skąd wiadomo, do którego wsiąść tramwaju i gdzie zatrzymuje się autobus? Jak rozpoznać nasz hotel pośród innych wielkich budowli, które wszystkie wyglądają podobnie? Byłam gotowa go minąć, kiedy zatrzymały mnie ze śmiechem. Co daje im siłę, by tak śmiało, tak pewnie poruszać się w tym dziwnym świecie pełnym obcych ludzi?

Virginia

Nigdy w życiu nie zapomnę piękna i przepychu Wystawy Światowej. Będę nosić je w sobie, póki tchu starczy, i mam nadzieję, że stanę się godna tej chwały.

Najwspanialszy był Koń. Szliśmy na przystanek autobusu, który wozi ludzi z powrotem do San Francisco, po całym dniu spędzonym na Wyspie Skarbów. Byliśmy zmęczone i zrobiło się zimno, wiatr nawiewał mgłę znad morza. Nagle zobaczyłam tablicę z napisem: NAJWIĘKSZY KOŃ ŚWIATA! Czy możemy go zobaczyć? spytałam. Babcia nigdy nie mówi „nie”, chyba że chodzi o Sally Rand. Tak więc poszliśmy obejrzeć Konia. Pan przy wejściu miał chyba zamiar powiedzieć, że nieczynne, ale babcia zajrzała do środka i wykrzyknęła: „Boże, jaki on piękny!” Od razu ją polubił i wpuścił nas jako jedyne zwiedzające, w spokoju i bez ścisku. Kiedy skasował pieniądze za bilety, zaczął nam opowiadać o Koniu.

Koń był dereszowatym perszeronem o sierści w takim kolorze, jaki czasem ma niebo nad morzem. Głowę miał wielką jak ja cała. Obejrzał się i popatrzył na nas wielkimi ciemnymi oczami o długich czarnych rzęsach. Stał w boksie na słomie, łagodny i tak majestatyczny, że ogarnął mnie podziw. Ten pan wyglądał przy nim jak mały chłopiec. Po chwili spytałam, czy mogę dotknąć Konia. Ten pan powiedział: „Oczywiście, skarbie”, więc dotknęłam lśniącej dropiatej nogi pod łopatką, a Koń znów odwrócił głowę. Dotknęłam olbrzymich miękkich chrap. Chuchnął na mnie ciepłym oddechem. Ten pan podniósł jedną z

przednich nóg Konia i odgarnął szorstkie kosmyki, żeby nam pokazać kopyto wielkie jak półmisek i przybitą do niego olbrzymią podkowę. Zapytał: „A może młoda dama chciałaby się przejechać?” Mama od razu jęknęła: „O, nie!”, a babcia: „Chciałabyś, Virginio?” Nie mogłam wydobyć głosu. Serce mi urosło, przestało się mieścić w piersi. Ten pan pomógł mi przeleźć przez ogrodzenie, a potem mnie podsadził wysoko, wysoko, i oto siedziałam na Największym Koniu Świata. Grzbiet miał szeroki jak łóżko, tak że nie mogłam objąć go nogami, i był ciepły. Dotknęłam grzywy, posplatanej w rządki schludnych białawych supelków, ciągnące się aż na szary kark. Koń stał bardzo cierpliwie. Nie mogłam nigdzie pojechać, bo był uwiązany w boksie. „Kiedy pan go wyprowadza?” - zapytała babcia, a ten pan odpowiedział: „Na ogół wcześniej rano, przed otwarciem wystawy. Prowadzam go na lince w tę i nazad po alei”. „To musi być piękny widok! ” - babcia na to. Od razu wyobraziłam sobie olbrzymiego Konia, który wybiega w cichy poranek jak grzmot, jak trzęsienie ziemi, pręży szyję, bije potężnymi kopytami.

Przez całą drogę powrotną autobusem i tramwajem myślałam o Koniu. W domu napiszę o nim poemat. Wyobrażę sobie to, czego nie widziałam, tętent kopyt Wielkiego Konia we mgle na cichych alejach pod Wieżą Słońca. Opiszę piękno i majestat, które widziałam na własne oczy. Urodziłam się bowiem po to, aby być wierną służką Chwały.

Jane, 1918.

Zamykam oczy i widzę fajerwerki. Rozchylające się ogniste kwiaty, jaskrawe chryzantemy, których płatki spadają na ciemną plażę. Aaaach! - wzdychają wszyscy. Myślę, że na tym świecie fajerwerki są najbliższe pełni szczęścia.

Przed hotelem łopot flag i przemówienia. Dzielni chłopcy, wielkie zwycięstwa. Porażka Hunów.

Zamykam oczy i widzę Braciszka, który biegnie po plaży. Ma trzy lub cztery latka, biegnie przed nami, Mary i mną. Opiekowałyśmy się nim w soboty, mama miała dzięki temu coś jakby wakacje, wolne od pracy w sklepie. Dziewczęta, miejcie go na oku! Pomykał po plaży tu i tam jak nasionko dmuchawca. Miał wtedy trzy albo cztery lata. Byłyśmy o niego spokojne, bo bał się wchodzić do wody.

Za każdym razem, kiedy mijam szyld: WYNAJEM ZAPRZĘGÓW, widzę go na tym ładnym gniadym podrostku, na którym jeździł po plaży latem, nim to się zaczęło. Przed wojną. Za każdym razem.

Hambleton urządził piknik. Rozwiesili na płocie girlandy z czerwonej, białej i

niebieskiej bibułki, pozatykali flagi dosłownie na każdym drzewie. Willie Weisler wciąż powtarzał, że wojna powinna jeszcze potrwać, żeby zdążył się zaciągnąć.

- Mam szesnaście lat, ale jestem dość duży, żeby zabijać szwabów, prawda? Prawda?

- Dość głupi - ucięła jego matka.

Słusznie. Nie mówi się o Szwabach, kiedy ma się na nazwisko Weisler. Zwłaszcza przy mnie i mamie. Dotknęło mnie jednak to, że go zganiała. Kobiety nieraz mówią tak do swoich synów - jakby gardziły nimi za coś, czego w gruncie rzeczy się od nich wymaga. Mężczyźni są inni. Zło jest dla nich powodem do dumy. W czasie pikniku Will Hambleton zabrał Dicky'ego na bok i sprzął za jakąś przewinę, upewniając się, że wszyscy słyszą, jaki jego syn jest nieposłuszny, że tylko prac. Uzmysłował to dobitnie i samemu Dicky'emu. Głupie przechwałki.

Nawet Mary zawsze nazywa Cala łobuzem, choć to biedny łagodny psiaczek. Trzeba mu jedynie, żeby go pogłaskać i rzucić dobre słowo. Ale tego właśnie Mary i Bo mu skąpią. Jakby uważali, że im nie wolno. Łobuzem w tej rodzinie jest Dorothy. Cieszę się, że bawią się z Lily, bo Lily jest za bardzo rozmarzona, żyje wyobraźnią, ślepa na świat jak ćma.

- Miastowe dziecko - powiedziała mama, kiedy po raz pierwszy odwiedziłyśmy ją w Klatsand. W ogóle nie brudzi sukieneczek. Jakby nie dotykała ziemi.

- Ja za to dostatecznie się brudziłam - przypomniałam.

- Ty nie byłeś miastowym dzieckiem - odparła. - Urodziłaś się na farmie, trzydzieści mil od najbliższego domu.

- Urodziłam się już brudna - zaśmiałam się, ale to jej nie rozbawiło.

Niektóre moje żarty rażą jej poczucie godności. Teraz też się nie uśmiechnęła. Wyglądała na przemęczoną, chyba po raz pierwszy w życiu. Wiem, że poczuła ulgę, kiedy od niej przejęłam agencję pocztową. Myślałam, że rozpocznie budowę na Bretońskim Czubie, jak zawsze planowała. Zaproponowałam, żebyśmy się tam przeszły, oczyściły źródło, ale zbyła mnie machnięciem ręki. Chciałabym jakoś podnieść ją na duchu i nie potrafię. W gruncie rzeczy nie musi budować domu, mogłaby zamieszkać z nami, ale na to jest zbyt niezależna. Te pokoiki nad sklepem wydają mi się dziś o wiele ciemniejsze niż dawniej. Jakby jej całe życie pociemniało. Czuję ten mrok w jej obecności. A jednak matka jest ze mnie dumna, wiem o tym. To grunt, na którym mogę stanąć.

Jak chryzantemy, rozkwitają i więdną w ciemności.

Widzę nocne fajerwerki na plaży i fale, które rozbłyskują na chwilę w deszczu kolorowych iskier. Widzę Braciszka, który galopuje plażą o zachodzie, coraz dalej i dalej.

- A może byśmy tak wzniesli toast - Will Hambleton wstaje zza długiego stołu - za

nowego właściciela hotelu Exposition!

Mówi o sobie. Nie może być już wątpliwości, kto jest wielkim białym wodzem w Klatsand. Nigdy nie pojmowałam, jakim cudem mama potrafi się z nim dogadać. Nie daje się wziąć na lep tych jego napuszonych mów, a on o tym wie, chyba dlatego. Nie znoszę tego człowieka. Kiedy widzę, jak się rozpycha, jak naciska na innych tą beczułkowatą pierśią, nalaną gębą i tubalnym głosem, mam ochotę go uderzyć. A przy nim szczebiocząca Dovey, wrzaskliwe, rozhukane chłopaki i Wanita, którą Hambletonowie wychowują dokładnie na odwrót niż synów: chwalą za to, czym w istocie gardzą. Mała wystrojona papuga. Wanita to ładna dziewczynka, ale mój Boże, te falbanki i riuszki! Weszła na krzesło, żeby wyrecytować wierszyk „Ojczysty sztandar”. Wystarczył mi jeden rzut oka na minę mamy.

Zaraz potem przyłapałam Dorothy, tego rudego łobuza, jak przedrzeźnia Wanitę schowana za krzakiem. „Łoj, czysty śtadar!” - sepleniała, krygując się teatralnie. Miałam ochotę wybuchnąć śmiechem, ale musiałam ją uciszyć. Will nie lubi, kiedy ktoś stroi sobie żarty z niego lub jego rodziny, a stoi o wiele wyżej niż Bo i Mary. Przypuszczam, że zaprosił ich na piknik wyłącznie dlatego, że Mary jest moją przyjaciółką. Do mnie nie ma śmiałości. Nie wie, jak mnie ugryźć. Bywam w Portland. Mieszkałam w San Francisco. Lafe zarządzał wielkim hotelem. Will boi się, że wiem coś, czego on nie wie. Mogę mieć jakieś pomysły. To odbiera mu spokój.

No cóż. Ja za to wiem, co zrobiłby Will, gdybym go zachęciła choć jednym słowem, gestem. Do czego i tak dąży, nawet bez zachęty. Ma to wypisane na twarzy, dość wyraźnie. Jakby węszył. Kiedy mężczyźni patrzą na ciebie w ten szczególny sposób, kiedy ich ciała zaczynają na ciebie reagować, od razu o tym wiesz, podobnie jak wiesz, że dzień jest ciepły i nie musisz się nad tym zastanawiać. Ale kiedy wyobrażam sobie Willa Hambletona nago, widzę wielką gomółę sera. Na samą myśl o schadzce - w przerwie na lunch? gdzie? w czyjejs sypialni przy opuszczonych roletach? - żołądek podjeżdża mi go gardła. Potem Will wróciłby do domu, do Dovey. Tak jak Lafe wracał do mnie.

I właśnie dlatego chciałby to zrobić. Nie z miłości ani nawet pożądania. Chce zyskać przewagę. Władzę. Matkę zdołał przewyższyć tylko saldem konta w banku, a to zbyt mało, aby go zaspokoić. Jest dla niego równoprawną współniczką, niezależną od niego. Nie boi się go. Gdyby udało mu się zaciągnąć mnie do łóżka, miałby władzę nad nami obydwoma. I przy tym satysfakcję, że zdradza żonę. - No cóż, Will, marzyć każdy może. Obejdz się smakiem.

Czasami i ja sobie marzę, ale nie ma w tym kraju mężczyzny, za którym bym się obejrzała. Nie wiem, czego chcę, nie wiem, czy w ogóle czegokolwiek chcę. Może tego, by poznać kogoś aż do głębi. Nikogo naprawdę nie znam. Oczywiście Mary jest moją

przyjaciółką, przestajemy ze sobą od małego, a jednak są obszary, których ze sobą nie dzielimy. Jakbym miała w sobie rejon, w którym obowiązuje zakaz wstępu, nawet dla mnie. Lafe mógł go zwiedzić, ale zawrócił. Inni ludzie też noszą w sobie takie miejsca, lecz nie umiem do nich dotrzeć.

Lorena Weisler. - ilekroć na nią patrzę, dochodzę do wniosku, że widzę tylko powłokę, którą wdziewa na siebie jak suknię. Na pikniku Dovey opowiadała o nowym wzorze szydełkowym, który pokazała jej pani Jakaśtam z Portland, bardzo misternym. Lorena stwierdziła wtedy: „Szatan i tak wetknie grzech w leniwe dłonie”. Powiedziała to takim uprzejmym, cichym głosem, że i Dovey, i Mary w ogóle nie zwróciły na to uwagi, na sens tego zdania, a mnie też omal nie umknął. Spojrzałam na Lorenę. Cicha, spokojna niczym rybka w akwarium, a mieści w sobie całe nieodkryte światy. Ta kobieta to jedna wielka tajemnica. Przez lata mieszkasz obok, rozmawiasz z nią co dzień i w ogóle jej nie znasz. Łowisz tylko migawki, spadające gwiazdy, błyski w mroku, ostatnie iskry fajerwerku, który gaśnie i znów poruszasz się po omacku. Ale póki świeci, widzisz to coś, może duszę, co na jedną krótką chwilę objawia ci nieznany kraj. Błysk na grzywie fali w ciemności.

Virginia, 1968.

Zeszłego lata, po pogrzebie babci, odwiedził mnie Edward Hambleton. Zawsze najpierw dzwonił, tym razem przyszedł bez uprzedzenia. Rozsypywałam właśnie babcinym sposobem fusy po kawie na rabatce, kiedy ujrzałam go na podjeździe. Był długi letni wieczór, słońce zachodziło, zmieniało barwy od bladego złota do oranżu, łososiowej, ciemniejszej czerwieni...

Jaye już spała. Na pogrzebie była cicha, czujna, trochę wystraszona. Po powrocie do domu zaczęła płakać, twierdząc, że zgubiła swojego pluszowego lwa Leona, i nalegając, żebyśmy zaraz poszły go poszukać na cmentarzu. Znalazłam lewka na tarasie, gdzie go zostawiła, i wtedy dostała ataku hysterii. Musiałam ją zamknąć na chwilę w pokoju, choć serce mi krwawiło z żalu. Chciałam utulić ją w ramionach i płakać wraz z nią. W końcu ucichła, bujałyśmy się razem na fotelu, milcząc. Zasnęła, nim zaniósłam ją do łóżka. Leona położyłam obok; miejsce po drugiej stronie zajął stary kot Punkin, który tęsknił za babcią i łaknął towarzystwa.

Edward przyszedł pieszo, sam. Staliśmy w ogrodzie oblanym burzą płomienistych barw, przysłuchując się szumowi fal.

- Kochałem twoją babcię. I twoją matkę - powiedział.

Wyraźnie chciał dodać coś więcej. Nie wiedziałam co i ani mi się śniło mu w tym pomagać. Serce miałam pełne po brzegi smutku, osamotnienia i urody wieczoru. Byłam gotowa słuchać, lecz nie poddawać gotowe słowa, prowadzić go za rękę. Wypada, by mężczyźni nauczyli się języka naszego kraju, zamiast oczekiwać, że będziemy mówiły za nich.

Edward zawahał się na chwilę i rzekł:

- Ciebie też kocham.

Požoga na niebie rzeźbiła mu twarz czerwonym światłocieniem. Drgnąłam, pomyślałam więc, że chcę coś powiedzieć, i pośpiesznie uniósł rękę. Znałam ten jego gest, często go widywałam, gdy w rozmowach z babcią szukał w myśli słów, pojęć.

- Kiedy byłaś na studiach, w późnych latach czterdziestych, przyjeżdżałaś do domu na święta i wakacje. Kelnerowałaś wówczas w tej starej rybnej restauracji i przychodziłaś do sklepu po zakupy dla matki. - Uśmiechnął się tak szczerze, tak szeroko, że i ja się uśmiechnęłam. - Byłaś moją radością - dodał. - Chcę, żebyś mnie zrozumiała: między mną a May nie było żadnych niesnasek. Zawsze byliśmy zgodną parą. Kiedy wróciłem z wojska, czekała na mnie żona i dziecko. To było zdumiewające. Piękne. Potem przyszedł na świat Tim. Dobrze mi szło w sklepie i nigdy nie pragnąłem niczego poza tym, co mam. Ale ty byłaś moją radością. - Ponownie uniósł dłoń, choć nie próbowałam się odezwać. - Wyjechałaś na wschód, wyszłaś za męża. Rozwiodłaś się, zrobiłaś karierę naukową. Straciłem cię z oczu na wiele lat. Ale czasem chodziłem do sklepu Dorothy. Za ladą widziałem twoją matkę, delikatną, płochliwą jak dziki leśny królik, i nagle wszystko się zmieniało. Albo gawędziłem z Jane po zebraniu rady miejskiej i wtedy też to czułem. Nie przyjemność czy zadowolenie, ale po prostu radość. To, co znalazłem przy May i chłopcach, mogłem ogarnąć, ująć w dłonie, zatrzymać. To było szczęście. Tamto było nieuchwytnie, trzeba było pogodzić się z tym, że umknie. Ale prawdziwsze.

Obaj jego synowie są teraz w Wietnamie, pomyślałam ze smutkiem, spuszczać spieszony wzrok.

- Mam rodzinę z ciała - powiedział. - Rodziców, braci, siostrę, żonę i synów. Wy zawsze byliście rodziną mojej duszy.

Podniósł głowę, patrząc na płonące niebo. Wiatr się zmienił, wiał teraz od lądu, niosąc zapach lasu i nocy.

- Jesteś córką mojego brata - rzekł Edward.

- Wiem - odparłam, bo nie byłam pewna, czy on wie, że ja o tym wiem.

- To nie ma znaczenia - podjął. - Dla niego, dla nich nie znaczyło to nic prócz

przemilczeń i kłamstw. Dla mnie to, że jakkolwiek by mi zależało, musiałem odpuścić. Zrezygnować. Teraz wszystko ulatuje i nie ma już się czego chwycić. Oprócz prawdy. Prawdy o tej radości, najprawdziwszej rzeczy, jaka była mi dana. - Oderwał wzrok od nieba, spojrzął na mnie i znów się uśmiechnął. - Dlatego chciałem ci podziękować - dokończył.

Wyciągnęłam do niego ręce, lecz ich nie ujął. Nie dotknął mnie. Odwrócił się, obszedł dom, jego kroki zachręściły na podjeździe. Po chwili wracał już drogą do miasta, a ostatnie barwy zachodu gasły, szarzały i mierzchły.

Uwierzyłam w to, co powiedział. Wierzyłam w tę prawdę, tę radość. I chciało mi się płakać nad nim, nad zmarnowaną miłością.

Edward był moją pierwszą miłością, kiedy miałam trzynaście, czternaście lat. Wiedziałam, kim był, ale cóż to miało za znaczenie? Miły, smukły młodzieniec, który ożenił się z May Beckberg i wstąpił do wojska. Ja byłam tylko zadurzoną smarkulą. Przechowywałam niedopałek papierosa, który zostawił na popielniczce w domu mojej matki, kiedy przyszedł się pożegnać. Nosiłam go w medalionie na łańcuszku i nigdy nie zdejmowałam. Jego żonę i dziecko otaczałam nabożną czcią. To była czysta platoniczna miłość. Taka, jaka jest możliwa tylko, gdy jej obiekt jest nieosiągalny. Jego radość, za którą mi dziękował, była chyba czymś jeszcze o stopień wyższym, bardziej bezcielesnym - niematerialną bańką, którą dotyk byłby zniszczył.

Sama nie wiem, czy może być coś więcej. Obejmował swoich synów tak jak ja Jaye tamtego wieczoru i dzisiaj, tulił ich do snu przy sercu, chronił. Wydaje nam się wówczas, że je mamy, ale kiedy się budzą, uciekają. Synowie Edwarda odeszli; teraz parają się śmiercią i tylko śmierć może ich dotknąć.

Jeśli zginą, Edward pójdzie za nimi. Nie na dotknięcie ręki, lecz z dala. A May, ta silna kobieta, zostanie sama. Być może zawsze była sama. Edward myśli, że miał ją dla siebie, ale cóż w życiu mamy naprawdę?

Lily, 1965.

Kiedy byłam bardzo malutka, mama zabrała mnie na dół do holu, żeby mi pokazać świece na choince. Było to w hotelu, w którym mieszkaliśmy, odkąd pamiętam. Przypominam sobie tę scenę ze wszystkimi szczegółami, jak na obrazku w książce. Obracam stronę i widzę następny obrazek. Wokół ciemnozielone gałęzie przetykane lśnącymi wstążkami i lametą, a pośród nich niezliczone okrągłe światy - małe i duże, czerwone, srebrne, niebieskie, zielone - i płonące świece. Płomyki mnożą się w kolorowych globach,

otoczone mglistą aureolą.

Ktoś musiał mnie posadzić pod drzewkiem. Może nie chodziłam jeszcze samodzielnie. Siedziałam wśród gałęzi, pod ich kopułą, w zapachu żywicy i słodkim aromacie wosku, oglądając kolorowe światy spowite blaskiem. Tuż obok wisiał bardzo duży srebrny świat. Odbijała się w nim cała reszta ozdób, w których on się z kolei odbijał, wszystkie płomyki, błyski przemykające po lamecie i ciemne pierzaste igliwie. A poza tym wszystkim - dwoje okrągłych oczu. Czasem było je widać, a czasem nie. Myślałam, że należą do jakiegoś zwierzątka, które mnie obserwuje. Srebrna bańka najwyraźniej była żywa, całe drzewo żyło - świat pełen światów.

Mam uczucie, jak gdybym przez całe życie widziała tamto drzewo, płonące świece, błyszczące oczy, barwy, rozłożyste przepastne gałęzie ciągnące się w dal bez końca.

- Widzisz aniołka, tam na szczycie? - spytał męski głos.

Wolałam patrzeć na gałęzie lśniących światów, drzewny kosmos, który mi się przyglądał okrągłymi oczami. Rozpłakałam się, gdy mężczyzna podniósł mnie w górę.

- Widzisz anioła, Lily?

Fanny 1898

Czekaliśmy na odpływ, żeby przebrodzić potok. Kiedy konie weszły powoli w wodę, pomiędzy czarnych drzew w dole strumienia zerwał się nagle olbrzymi ptak i zatoczył nad nami koło.

- A cóż to jest?! - wykrzyknęłam. Ptak wydawał się większy od dorosłego człowieka.

Woźnica odparł:

- To wielka czapla siwa. Wypatruję jej, ilekroć tu jestem.

Miasteczko jest właściwie zapadłą dziurą. Koniec świata, jak mawiała Henrietta Koop. W sklepie szwarc, mydło i powidło. Należy do pana Aleca Macdowella i jego syna Sandy'ego i tam właśnie będę pracować. Jest tu jeden ładny dom należący do jakiejś rodziny z Astorii nazwiskiem Norsman, która jak mi powiedziano, rzadko tu bywa. Kuźnia i stajnia wynajmująca konie są własnością pana Kelly'ego. Do tego jakaś nędzna farma po drugiej stronie potoku i czternaście domów pomiędzy pniakami wyrąbanych drzew. Ulice wytyczono równo i porządnie, ale pokrywa je półmetrowa warstwa błota.

Pan Sandy Macdowell przygotował dla mnie dom. „Przygotował” w takim sensie, w jakim to rozumie mężczyzna. Dwuizbowa chata stoi na uboczu pod ciemnymi świerkami na skraju wydm. Ulica kończy się nieco wcześniej, dalej biegnie już tylko piaszczysta droga. Pan

Macdowell nazywa ją Morskim Traktem. Mówił, że będą tędy jeździć dyliżanse, kiedy skończą przecinkę wiodącą przez ten górzysty cypel na północ od miasta. Teraz poczta dostarczana jest plażą z południa - wtedy, kiedy kurier zdoła nią przejechać. Zimą, przy wysokich falach, często bywa to niewykonalne. Pan Macdowell przeprosił za wygląd domu - a raczej chaty. Istotnie jest mała i ciemna. Piec ciągnie dobrze, a pod ręką jest pełno drewna, którym mogą palić. Dach przecieka. Pan Macdowell wyraził nadzieję, że nie będę się czuła osamotniona. W danej chwili było to jedyne puste lokum; niebawem urządzią mieszkanie na piętrze, na tyłach sklepu. Powtarzał mi dziesięć razy, że nie mam się czego bać, aż w końcu powiedziałam:

- Panie Macdowell, nie jestem strachliwą kobietą.

- Też tak myślę - odparł.

Zapewnił mnie, że w pobliżu nie ma żadnych Indian, a pumy nikt nie widział od dziesięciu lat. Tymczasem za Wrakowiskiem żyje jedna Indianka, staruszka, widziałam ją już dwukrotnie. Dziś rano wstałam wcześniej, żeby napalić w piecu, póki dzieci śpią. Deszcz przestał padać. Przystanąłam na chwilę na progu w pierwszym brzasku i wtedy zobaczyłam łosie. Szły rzędem na południe przez wydmy, jeden za drugim, wyższe od koni, część dźwigała poroża rozgałęzione jak młode drzewka. Policzyłam je: było ich trzydzieści dziewięć. Każdy z nich przechodząc, patrzył na mnie ciemnym błyszczącym okiem.

Virginia, 1975.

Każda historia ma swoją wersję oficjalną, tę cytowaną, przechowywaną w archiwach. Ale z czasem każda historia rodzi córkę poczętą w nieprawym łóżu, która wymyka się spomiędzy zasznurowanych warg, spomiędzy napiętych w porodowym bólu ud, wierci się, wije, wypycha na świat, a potem ucieka z wrzaskiem: wolność! Wolność! Wolność! W końcu gwałci ją bóg i zamyka w archiwum, gdzie okrywa się siwizną, ale najpierw rodzi własne dziecko.

Historia opowiada, że zrozpaczona matka szukała swojej córki na ziemi i w morzu. Dopóki płakała, dopóki szukała, nie skiełkowało ani jedno ziarno, nie zakwitł żaden kwiat. Gdy wreszcie odnalazła dziewczynę, przyszła wiosna. Dzikie trawy wydały nasiona, rozśpiewały się ptaki, zachodni wiatr przyniósł ożywczy deszczyk.

Ale dziewczyna, która już nie jest dziewczyną, lecz kobietą, połowę każdego roku musi spędzić z mężem w podziemiu. Toteż na pół roku wraca do męża, pozostawiając matkę w słonecznym świecie. Kiedy córka jest martwa, a matka płacze, nadchodzi jesień i zima.

Ta opowieść jest prawdziwa. Przeszła do historii.

Ale zawsze rodzi się dziecko, które ma do opowiedzenia własną historię, nieoficjalną, niepotwierdzoną - pogłoskę.

Odsłużyła swój czas w podziemiu. Przez połowę wieczności zasiadała w podziemnych salach jako królowa Piekieł. Układała na półkach prawnicze kodeksy i wciągała akta do archiwum. Przeżyła u boku męża wyznaczony czas i oto zbliżała się pora jej powrotu. Wiedziała o tym od korzeni, które zwieszały się z niskich kamiennych sklepień - stożków korzeniowych wielkich drzew, dębów, brzoź, kasztanowców, bo tylko największe sięgały tak głęboko. Po drodze wypuszczały cieniutkie włókna, skręcone koniuszki, zwisające po omacku z wilgotnego ciemnego tynku, który tutaj stanowił niebo. Gdy dziewczyna ujrzała wyciągnięte błagalnie cienkie palce korzeni, zrozumiała, że drzewa proszą, by wróciła i sprowadziła wiosnę.

Poszła do swego męża, sędziego. Stała przed trybunałem, jakby przyszła ze skargą. Nieuskarżający się na nic umarli, cienie oczekujące sądu, ustąpili jej miejsca. Rozepchnęła ich tak, jak zielony kielek rozpycha warstwę mokrych liści pod koniec zimy, jak strużka ciemnej wody rozpycha nawilgły lód. Stała przed złotym sędziowskim tronem, między srebrnymi kolumnami, na posadzce z drogich kamieni, i przedstawiła swoją sprawę:

- Panie, zgodnie z naszą umową nadszedł czas, bym odeszła.

Nie mógł temu zaprzeczyć, choć chciałby. Litość nie ma przystępu do władcy Podziemia, lecz wiąże go sprawiedliwość. Jego piękna ciemna twarz zmierzchła. Spojrzał na nią oczyma niczym srebrne monety i nie przemówił, a tylko skinął głową.

Odwróciła się i odeszła. Lekkim krokiem pokonała korytarze i schody wiodące wzwyż. Pies rozszczękał się, a stary wioślarz nachmurzył, widząc ją stojącą na pustym ciemnym brzegu, ale ona tylko się roześmiała. Weszła do łodzi i przewiózł ją na drugi brzeg, gdzie czekały rzesze. Tam wyskoczyła lekko i pobiegła coraz jaśniejszymi chodnikami, a potem wąską szczeliną wyszła na światło dnia.

Pola były czarne i rozmiękle po długich śniegach i deszczach. Jej stopy, w podziemiu takie czyste, zaraz pokryły się warstwą czarnego błota. Włosy, w podziemiu zawsze suche i schludne, potargał wiatr i zmoczył deszcz. Śmiała się, biegnąc długimi susami jak łania. Do domu, do matki.

Nareszcie przybiegła. Ogród był zaniedbany, zszarzały po zimie. „Zajmę się nim” - powiedziała do siebie. Drzwi domu stały otworem. „Oczekują mnie” - stwierdziła z zadowoleniem. Stół był nakryty, ale piec w kuchni zimny, a w pokojach nie było nikogo.

Czyżby wyszły mi na spotkanie? pomyślała. Widocznie się spóźniłam. Dlaczego nie

zaczekały tutaj?

Rozpaliła w piecu. Wyjęła chleb, ser, czerwone wino. Kiedy zapadł zmrok, postawiła lampę w oknie, żeby matka i babka, brnąć w deszczu, zobaczyły światło. „Patrz!” - zakrzykną. „Wróciła!”

Ale one nie przyszły. Minęła noc, minęły następne dni. Dziewczyna wysprzątała dom i zasadziła warzywa w ogrodzie. Pola pozieleniały, drzewa wypuściły liście, przy ścieżkach rozkwitły kwiaty: żonkile, pierwiosnki, dzwonki i stokrotki. Ale ani matka, ani babka nie wróciły do domu. Gdzie się podziewały? Ruszyła przez pola, żeby je odszukać. I wkrótce znalazła.

Nie chcę relacjonować tej historii. Nie chcę opowiadać, jak dziecko widzi babkę spaloną żywcem, a matkę zgwałconą przez wrogów, sojuszników, żołnierzy, partyzantów, patriotów, wiernych, niewiernych, terrorystów, maruderów, kontrastów i tych, którzy są za. Przez korporacje, prezesów, pracodawców i robotników, przywódców, wyznawców, rządzących, rządzonych, rządy i maszyny. Uwięziona w maszynie, schwytna przez zębate koła, jest ciałem rozdartym na strzępy, wytrzewionym, zgniecionym przez czołg, przez ciągnik, gąsienice i koła miazdzą miękkie ramiona, kości pękają, tryska krew, osocze i uryna, bo ciało nie jest trawą, jest mięsem. Nie chcę mówić, że dziecko widzi boga i widzi, co bóg uczynił. Nie chcę opowiadać historii tego dziecka - wiosny świata - które wyszło z domu i ujrzało babkę oblaną benzyną, z wieńcem płomieni na siwej głowie. Ujrzała nogi matki rozciągnięte na boki przez maszynę, a między nimi lufę strzelby wepchniętej w głąb łona, nim ktoś pociągnął za spust.

Biegła. Biegła jak kobieta, ciężkim krokiem, zdyszana, jej piersi kolebały się przy każdym kroku. Dobięła do szczeliny i dalej, schodami w dół. Nie zapłacała przewoźnikowi, rozkazała mu: „Wiosłuj!”, a on zmilczał i usłuchał. Pies też podkulił ogon. Pobiegnęła dalej, ciężko, długim korytarzem do sali sądowej, do pałacu z klejnotów pod kamiennym niebem.

Poczekalnie i przedsionki były jak zwykle pełne cieni, liczniejszych jeszcze niż przedtem. Rozstąpiły się, robiąc jej przejście.

Jej mąż i wuj siedział na tronie, ferując wyroki, sądząc wszystkich, którzy do niego przyszli, i wszystko, co mu przedłożono.

- Twoja matka nie żyje - powiedziała. - Twoja siostra nie żyje. Zabili Ziemię i Czas. Co pozostało?

- Pieniądz - odparł jej mąż.

Jego tron odlany był z litego złota, kolumny ze srebra, posadzka wyłożona mozaiką z brylantów, szafirów i szmaragdów, a ściany wytapetowane tysiąc dolarowymi banknotami.

- Rozwodzę się z tobą, Królu Mierzwy - powiedziała.

I jeszcze raz:

- Rozwodzę się z tobą, Królu Mierzwy.

I trzeci:

- Królu Mierzwy, biorę z tobą rozwód.

Gdy to powiedziała, pałac Sądu skurczył się i stał kupką gnoju, zaś mroczny sędzia przemienił się w żuka uwijającego się wśród ekskrementów.

Wróciła na górę, nie oglądając się za siebie.

Kiedy doszła nad rzekę, wielkie czarne fale biły o brzegi. Pies wył. Przewoźnik dusz próbował zawrócić na przeciwległy brzeg, ale jego łódź zaczęła wirować, wywróciła się do góry dnem i zatoniła. Dusze zmarłych rozproszyły się w wodzie jak połyskujące płatki.

Rzuciła się w nurt. Płynęła przez ciemność, dała się jej unosić, kołysać, zanieść aż do ujścia, gdzie czarne wody rozlewały się na powitanie morza huczącego za zaporą.

Słońce opadało, znacząc na falach świetlistą ścieżkę.

Na brzegu morza leżał wyrzucony rydwan z soli o iskrzących się strzaskanych kołach. Kości białych koni poniewierały się na piasku. Martwe wodorosty niczym białe włosy oploty kamienie.

Położyła się obok, wśród kości morskich ptaków, kawałków plastyku i otrutych ryb w szumowinie czarnej ropy. Leżała, aż przyływ przedarł się przez zaporę. Fale łamały się na jej ciele i łamały jej ciało. Stała się pianą. Bytem z wody i powietrza, który zarazem jest i go nie ma.

Kobieta z piany wstała i przeszła przez plażę, kierując się ku ciemnym wzgórzom. Poszła do domu, gdzie w kuchni czekało jej dziecko. Zobaczyła światło w oknie, widoczne w zapadającym zmroku. Kim jest ta, która je zapaliła? Czyim dzieckiem jesteś? Kto jest twoim dzieckiem? Czyja historia zostanie opowiedziana?

Dano nam to samo imię, powiedziałam.

ŻYCIORYSY

Fanny Crane Shawe Ozer

1863 urodzona nieopodal miejscowości Oxford w stanie Ohio

1883 bierze ślub z Johnem Shawe, wyjeżdżają na zachód na ranczo pod Owyhee w stanie Oregon

1887 narodziny córki Jane

1890 śmierć Johna Shawe

1892 ślub z Servine'em Ozerem; kupują krowią fermę w pobliżu Calapuyi w stanie Oregon

1896 narodziny syna Johna; śmierć Servine'a Ozera

1898 przenosi się do Klatsand w stanie Oregon, zwanego wówczas Osadą nad Rybim Potokiem. Podejmuje pracę w sklepie Aleca i Sandy'ego Macdowellów. Mieszka przy Morskim Trakcie, poniżej dzisiejszej ulicy Golterii.

1900 - 1916 prowadzi agencję pocztową Klatsand

1900 - 1919 mieszka na piętrze nad sklepem Macdowellów

1902 kupuje 50 akrów ziemi na Bretońskim Czubie na północ od Klatsand

1904 wykupuje sklep Macdowellów na spółkę z Willem Hambletonem

1912 kupuje połowę bloku ulic przy Cisowej; buduje dwa domy na wynajem

1915 oddaje córce jeden z domów przy ulicy Cisowej

1918 syn John zabity we Francji

1919 umiera na grypę

Jane Shawe Herne

1887 urodzona na Little Owyhee Ranch w stanie Oregon

1891 - 1898 mieszka na fermie pod Calapuyą

1898 - 1908 mieszka w Klatsand, gdzie uczęszcza do szkoły powszechnej

1898 - 1905 liceum w Summersea

1905 praca w sklepie

1906 - 1907 praca w restauracji hotelu Exposition

1908 wychodzi za Lafayette'a Rogera Herne'a, zastępcę dyrektora hotelu Exposition
1908 - 1915 mieszka w San Francisco w hotelu Alta California, gdzie Lafayette Herne jest dyrektorem

1912 narodziny córki Lily

1915 separacja z mężem, powrót do Klatsand

1915 - 1935 mieszka wraz z córką przy ulicy Cisowej w Klatsand

1915 - 1916 pracuje jako sekretarka w hotelu Exposition

1916 - 1960 prowadzi urząd pocztowy w Klatsand

1919 - 1927 współwłaścicielka sklepu wraz z Willem Hambletonem

1926 rozwodzi się z Lafayette'em Herne'em

1927 sprzedaje odziedziczone po matce udziały w sklepie Willowi Hambletonowi; inwestuje w ziemię i budownictwo w Klatsand

1932 wybrana na radną Klatsand, pełni tę funkcję do 1948

1935 buduje dom na Bretońskim Czubie i mieszka w nim 1935 - 1968

1948 wybrana na stanowisko burmistrza Klatsand, piastuje je do 1954

1960 przekazuje 30 akrów ziemi (górną część posiadłości na Bretońskim Czubie graniczącą z terenem należącym do stanu Oregon) na rzecz tworzonego parku stanowego Breton Head

1968 umiera na serce

Lily Frances Herne

1912 urodzona w San Francisco w stanie Kalifornia

1915 - 1966 mieszka w domu przy ulicy Cisowej w Klatsand w stanie Oregon

1929 narodziny córki Virginii

1945 - 1962 pracuje jako sprzedawczyni w sklepie papierniczym i upominkowym „U Dorothy” w Klatsand

1966 umiera na białaczkę

Virginia Herne

1929 urodzona w Klatsand w stanie Oregon

1935 - 1944 szkoła powszechna Union School w Klatsand

1944 - 1947 liceum w Summersea,

1947 - 1951 Reed College w Portland

1951 - 1953 Uniwersytet Stanu Pensylwania

1952 wychodzi za Davida Torrance'a Halla

1952 - 1957 mieszka kolejno w Pensylwanii, Rhode Island, Massachusetts

1954 wydaje pierwszy tomik poezji, *Kształty kamienia*, wyd. Rose Press, nagroda Uniwersytetu Yale dla młodych poetów

1957 *Czas wygnania*, wiersze, wyd. Harvard University Press

1957 separacja z mężem

1957 - 1962 studia doktoranckie na Uniwersytecie Stanu Kalifornia w Berkeley

1962 dyplom doktorski z filologii angielskiej

1962-1966 adiunkt na wydziale anglistyki Uniwersytetu Stanu Kalifornia w Los Angeles

1963 narodziny córki Jaye; rozwód z Davidem Hallem Od 1966 wykłada literaturę angielską w okręgowym koledżu North Coast w Summersea w stanie Oregon jako: 1966-1967 adiunkt, 1967-1969 docent, od 1970 profesor

1967 przenosi się wraz z córką z domu przy Cisowej do domu na Bretońskim Czubie

1969 *Wilcze głosy*, wyd. University of California Press

1971 *Droga przez wydmy*, poezje, wyd. Vashon Press

1976 *Poza ciszą*, wiersze, wyd. Capra Press, nagrodzona Western States Award

1978 *Odcięcie*, wiersze, wyd. Harper&Row, nagrodzona American Book Award i in.

1979 *Poezje wybrane*, wyd. Harper&Row

1983 *Persefona zawraca*, wyd. Harper&Row, Nagroda Pulitzera w dziedzinie poezji